GMYZ I WYBRANOWSKI ODSŁANIAJĄ:

Jak działał parasol ochronny rozpięty nad Kwaśniewskimi

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 8/361 17–23 LUTEGO 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zbrodnia w Jedwabnem – próba rekonstrukcji wydarzeń z 1941 r.

KASZPIROWSKI – JAK TO SIĘ STAŁO, ŻE OMOTAŁ AŻ TAK WIELU POLAKÓW?

W Unii Europejskiej kwitnie neokolonializm

WOJNA O CELIBAT

Czy progresiści przegrali pierwsze starcie – raport „Do Rzeczy"

„EMERYTOWANY PAPIEŻ" BENEDYKT XVI

KARD. ROBERT SARAH

PAPIEŻ FRANCISZEK

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 69,5 tys. egzemplarzy

intercity.pl

Graz | Praga | Berlin | Wiedeń

JUŻ OD
9,90 €

POZNAWAJ EUROPĘ DZIĘKI NOWYM POŁĄCZENIOM Z KATOWIC, KRAKOWA, TRÓJMIASTA I PRZEMYŚLA!

PKP INTERCITY. TYSIĄCE POWODÓW DO PODRÓŻOWANIA.

Szczegóły oferty i rozkład jazdy na intercity.pl

PKP INTERCITY

eprasa.pl 631be42f7a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Motłoch w Pucku

Wydaje się, że to, co się wydarzyło 10 lutego w Pucku, kiedy to grupa radykalnych kodziarzy wygwizdała i obrzuciła publicznie wyzwiskami prezydenta, stanowi przekroczenie kolejnej granicy. Oczywiście żyjemy, jak wiadomo, w demokracji i Andrzej Duda może się podobać lub nie. Ci, którzy uważają, że sprawuje swoją funkcję niewłaściwie, już w maju będą mogli zagłosować na swojego kandydata.

Podobnie nie jest niczym niezwykłym demonstrowanie niechęci i pokazywanie sprzeciwu – jednak wszystko to musi mieścić się w granicach prawa i dobrego obyczaju. Tymczasem to, co można było zobaczyć w Pucku, przypominało najazd wandali. Był to, nie waham się powiedzieć, przykład chamstwa i zdziczenia. Musiało to tym bardziej uderzać, że prezydentowi przeszkadzano podczas wygłaszania przemówienia z okazji setnej rocznicy zaślubin Polski z morzem – tak jakby dla gwiżdżącego i wyjącego motłochu nie miało to żadnego znaczenia. Polska? Zaślubiny z morzem? O ile jeszcze można zrozumieć tych, którzy przynieśli transparenty nawołujące do przestrzegania konstytucji, o tyle haseł: „Duda jesteś wstydem narodu", „Marionetka" i „Będziesz siedział" nie da się usprawiedliwić.

Nie wiem jednak, czy czymś jeszcze gorszym od tego pokazu bezczelności nie było późniejsze zachowanie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, wicemarszałek Sejmu i kontrkandydatki obecnego prezydenta. Zamiast zachować się przyzwoicie – to znaczy potępić chamstwo wrzeszczących demonstrantów – wicemarszałek Sejmu podeszła do nich i, wyraźnie ukontentowana, zdawała się im gratulować. Czego? Gwizdów? Wulgaryzmów? Tak tylko można zrozumieć jej uśmiech, kiedy padają słowa: „Czy było słychać?". Ani jednego gestu zniesmaczenia, ani jednego znaku, że coś tu jest nie w porządku. Żadnej oznaki zawstydzenia. Żadnego poczucia, że prezydent jest głową państwa, że stanowi jego symbol i w trakcie takich uroczystości, kiedy to oddaje hołd nardowi i jego dążeniu do niepodległości, podobnego zachowania tolerować nie wolno. Nie. Zamiast potępienia zadowolenie i satysfakcja. Przykro to powiedzieć, ale taki brak wyczucia i niezdolność do szybkiej reakcji bardzo źle świadczą o obecnej wicemarszałek. Nie tylko o niej zresztą: tolerancja dla zdziczenia obciąża też tych polityków PO, którzy jej towarzyszyli. Ciekawe, jak mogli tego nie zauważyć: Czy naprawdę chcieliby, żeby tak wyglądał spór polityczny? Na wyzwiska, gwizdy i przekleństwa?

To zresztą kolejny przykład, nie wiem, który to już raz, wielkiej hipokryzji. Ludzie, którzy na co dzień mają usta pełne wezwań do dialogu, porozumienia, którzy przez wszystkie przypadki odmieniają jedność i spokój, nagle zaczynają się zachowywać, jakby odebrano im rozum. Nie zauważają własnej agresji. Jedyne, o czym marzą, to to, by ktoś się odwinął, by udało się im kogoś sprowokować. Za niczym tak bardzo nie tęsknią jak za ofiarą. Ile daliby za to, by wreszcie mogli pokazać, jak strasznie są prześladowani? A tu nic i nic. Aż się boję myśleć, do czego jeszcze są zdolni. Żałosne to wszystko i tanie. Taki ten ich protest, jak jego poparcie. I to przekonanie, że im wszystko wolno. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 631be42f7a

TEMAT TYGODNIA

18 KRYSTIAN KRATIUK
ZWYCIĘSTWO KONSERWATYSTÓW?
Rozczarowanie dla postępowych komentatorów

KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA
POWOLNA ROZGRZEWKA
Kampania Andrzeja Dudy

28 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
KIDAWA-BŁOŃSKA WESZŁA W BUTY KOMOROWSKIEGO

30 PIOTR SEMKA
MARSZ PRZEZ CIEMNĄ DOLINĘ

33 ROZMOWA CEZAREGO GMYZA I WOJCIECHA WYBRANOWSKIEGO
PARASOL NAD KWAŚNIEWSKIMI

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WITAJCIE W NASZEJ BAŃCE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLSKA ELSA W HOLLYWOOD

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
JAK TO SIĘ ROBI
Skąd wziął się sukces „Parasite"

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JAKŻE PIĘKNA KORONA!

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 RYSZARD VORBRICH
NARZUCANIE POSTĘPU
Neokolonializm w UE?

58 MAREK KLECEL
SEKSUALIZM TOTALNY

61 PIOTR GURSZTYN
„ZWIJANIE POLSKOŚCI"

62 ŁUKASZ WARZECHA
JAKIE OBOWIĄZKI MAJĄ ŚLIMAKI?

HISTORIA

64 MAREK KAMIŃSKI
ZAMIAST EKSHUMACJI
Odpowiedzialność za Jedwabne

68 MAREK JUREK
GRUPA 1 SIERPNIA

70 GABRIEL MICHALIK
CO NAM DAŁ KASZPIROWSKI

ŚWIAT

74 CEZARY GMYZ
WALKA O SCHEDĘ PO MUTTI
Kryzys polityczny w Niemczech

76 ROZMOWA Z BYŁĄ PRACOWNICĄ KLINIKI ABORCYJNEJ
W KLINICE ABORCYJNEJ WIDZIAŁAM PIEKŁO

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
ZARABIANIE NA REWOLUCJACH
Rośnie fortuna Elona Muska

86 OLIVIER BAULT
DOTACJA ZA „PRAWORZĄDNOŚĆ"

PODRÓŻE

88 MACIEJ PIECZYŃSKI
BOSO PRZEZ DŻUNGLĘ
Cejrowski u źródeł Orinoko

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM CZAUDERNĄ
MAMY POLSKI CANCER PLAN
Zmiany w leczeniu nowotworów

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (73), WARZECHA (79), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), KUCHARCZYK (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 631be42f7a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **L'Osservatore Romano/AP/East News, Polaris/East News, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 69,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

dziękując za wszystkie przesyłane do redakcji listy i e-maile, przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Rugi uczelniane", Agnieszka Niewińska, „DRz" 4/2020

Z najwyższym niepokojem przyjąłem fakt, że na uczelniach pojawili się jacyś nowi następcy „pryszczatych" (najwyraźniej niemający pojęcia, do jakich tradycji historycznych nawiązują), próbujący rozliczać profesorów ze zgodności wykładanej przez nich wiedzy z wyznawaną przez kolejną generację aktywistów ideologią. O ile mnie pamięć nie myli, idea uniwersytetu (stanowiąca jeden z fundamentów naszej cywilizacji) polega na przekazywaniu wiedzy przez profesorów studentom, nie na pouczaniu profesorów przez studentów, co z wykładanej wiedzy będą mieli ochotę przyjąć i zaakceptować. Student może się z poglądami profesora nie zgadzać lub ich nie akceptować (jak mówi znane powiedzenie – często mądrość przychodzi z czasem), ale jest zobowiązany udowodnić egzaminami, że przynajmniej zrozumiał, czego nie akceptuje. W ostateczności zmienić uczelnię lub wykładowcę. Jeżeli jakaś ideologia będzie znowu narzucać, co wolno, a czego nie wolno głosić na uczelniach, wolność nauki będzie zagrożona. Powinniśmy być mądrzejsi od Zachodu przynajmniej o to jedno historyczne doświadczenie.

W tym konkretnym przypadku głoszona ideologia jest sprzeczna z elementarną wiedzą (ideologiom to, jak wiadomo, nie przeszkadza: „biada faktom", tym właśnie różnią się od nauki): o przynależności gatunkowej świadczy posiadany zestaw genów, nie stadium rozwoju – od gąsienicy motyla po ludzki płód (oraz wynikający z genotypu potencjał rozwojowy: gdybym takiemu studentowi zniszczył wygrany kupon totolotka, miałby do mnie pretensję o utratę miliona złotych, nie kilku gramów papieru; może przynajmniej to zrozumieją).

Tragedią naszych czasów jest to, że o tym, czym jest aborcja, decydują często osoby w aborcję zamieszane, zwłaszcza w społeczeństwach zachodnich, narzucających swe poglądy światu. Nie znam drugiego takiego przypadku w historii, aby o kategorii czynu decydowały osoby tak żywotnie jego oceną zainteresowane. Byłoby to najciekawsze doświadczenie socjologiczne w historii, gdyby jego wyniki nie decydowały o życiu milionów, a w przyszłości wręcz miliardów: syndrom postaborcyjny rządzi światem i jest to, jak już napisałem, być może największą tragedią naszych czasów.

Obowiązkiem uniwersytetów jest się temu przeciwstawić, na tym polega ich misja, od tego, jak od mało czego, zależą losy cywilizacji. I to nie jest, niestety, przesada.

Jacek Jankowski, Legnica

„Księżniczka się urodziła. 52 lata", Sławomir Jastrzębowski, „DRz" 6/2020

Szanowny Panie Sławomirze Jastrzębowski!

[...] Księżniczka nie jest córką króla, tylko księcia. Po angielsku duchess is duke's daughter. Może ten tytuł być nadany żonie królewicza. Proszę zauważyć, że potomkowie króla Zjednoczonego Królestwa to królewicze bądź królewny (prince or princess), podczas gdy książę małżonek Filip to duke, Kamila, Katarzyna i inne żony królewiczów to zaś duchess.

Przy okazji w Zjednoczonym Królestwie nie ma królowej, bo Elżbieta byłaby nią, gdyby Filip był królem. Ponieważ jest on księciem małżonkiem, to ona jest królem. Gdyby Jadwiga, oddając rękę Władysławowi Jagielle, nie oddała również korony, to do końca życia byłaby królem, a tak była również królową. To, że angielskie queen należy czasem tłumaczyć jako królowa, a czasem jako król, nie powinno nikogo dziwić. W końcu angielskie university znaczy zarówno szkoła wyższa (nie mylić z high school), akademia (nie mylić z academy), jak i uniwersytet.

Ja wiem, że w słownikach można znaleźć coś innego, niż napisałem. Niestety, jest to raczej dowód na braki wiedzy redaktorów słowników niż obalenie tego, co napisałem.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Jerzy Maciejowski, Szkocja

Od autora

Szanowny Panie,

dziękując za ten godny uwagi list, przyłączamy się do ubolewania nad brakiem wiedzy zawodowych tłumaczy w tym jakże ważnym dla nas wszystkich obszarze.

Łączę wyrazy szacunku

S.J.

eprasa.pl 631be42f7a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Trudny postęp, ale postęp

Niebawem minie 10 miesięcy od objęcia władzy na Ukrainie przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i można już stwierdzić, że w dialogu historycznym Warszawa-Kijów „drgnęło". Jeszcze jesienią 2019 r. władze ukraińskie cofnęły zakaz polskich prac ekshumacyjnych. W tej chwili trwa przerwa zimowa w poszukiwaniach (obawiano się mrozów skuwających ziemię), ale już wiosną polscy badacze mają wrócić do pracy w dwóch lwowskich dzielnicach: Zboiskach i Hołosku, gdzie spoczywają nasi żołnierze, którzy stawili opór Niemcom we wrześniu 1939 r. IPN szykuje się do prac ekshumacyjnych w Mużyłowicach koło Jaworowa, gdzie bohaterzy z 49. Huculskiego Pułku Strzelców roznieśli w ataku na bagnety esesmanów z dywizji „Germania".

Ruszył dialog historyczny między polskim IPN a jego ukraińskim odpowiednikiem. Planowane są debaty badaczy z obu krajów na najtrudniejsze tematy. Dyplomaci dopinają szczegóły wspólnych obchodów walk wojsk polskich i oddziałów Ukraińskiej Republiki Ludowej Symona Petlury w 1920 r. Wiele wskazuje na to, że w maju wspólnie obchodzić będziemy odbicie Kijowa z rąk bolszewików, a w sierpniu udział Ukraińców w obronie Polski przed nawałą Tuchaczewskiego i Budionnego. Na tle tych zwiastunów powrotu do dialogu dyplomaci ukraińscy w Kijowie i Ukraińcy w Polsce podnoszą kwestię zniszczonych miejsc pochówku żołnierzy UPA na terenie Polski. Dla wielu Polaków nawet niewielki krzyż z tryzubem to gloryfikacja UPA, a dla Ukraińców to jedynie chrześcijańskie uczczenie zmarłych. Najwięcej emocji budzi sprawa zbiorowej mogiły w Monasterzu koło Werchraty w powiecie lubaczowskim, gdzie spoczywają członkowie UPA, którzy zginęli w walce z obławą NKWD w marcu 1945 r. Pogrzebano tu ok. 60 upowców pod małym kopcem z czarnym krzyżem z ukraińskim tryzubem. Wielu Polaków twierdzi, że to pomnik UPA i zapewne z tego powodu był on już parę razy niszczony. Tyle że to mogiła wojenna, a tryzub to godło Ukrainy od wieków, a nie symbol UPA. Własne cmentarze mają w Polsce także Niemcy, w tym esesmani, a jednak władze polskie i niemieckie odkryły sposób, aby w cywilizowany, ale nie wyzywający sposób znaleźć symbolikę funeralną akceptowalną dla obu stron. Dlaczego inaczej miałoby być z grobami członków formacji, której nazwę Polacy uważają za nierozerwalnie związaną z masakrami Polaków?

Co da niszczenie takich miejsc pochówku oprócz rozgoryczenia po stronie ukraińskiej? Jak powiedziano mi w naszym IPN, wszystkie zniszczone lub wysprejowane polskie groby na Ukrainie w ostatnich latach zostały wyczyszczone. Można wymagać od strony ukraińskiej i Ukraińców w Polsce, by pomniki na polskiej ziemi nie gloryfikowały UPA, która kojarzy się Polakom jak najgorzej, ale walka z krzyżem na mogiłce zbiorowej zmarłych to coś, co winno być obce naszej kulturze. Trzeba z tym coś zrobić i to jak najszybciej. ©℗

FOT. POOL/REUTERS/FORUM

POŻEGNANIE Z ŁUKASZENKĄ?

Nie udała się próba ocieplenia relacji prezydenta Białorusi z przywódcą Rosji poprzez wspólną grę w hokeja. Moskwa odmówiła Mińskowi sprzedaży rosyjskiej ropy po cenach niższych niż rynkowe. Odrzuciła też prośbę o rozłożenie kredytu w wysokości 10 mld dol. To duży cios w słabą białoruską gospodarkę, który zwiększa ryzyko przymusowej integracji tego kraju z Rosją. Łukaszenko próbuje wciąż opierać się próbie przekształcenia Białorusi w jedną z rosyjskich prowincji, jednak bez pomocy Zachodu nie ma większych szans na pokonanie Putina. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Hejt powszedni

Kolejny z niezliczonych antypisowskich hejtów urządziły liberalno-lewicowe salony córce prezydenta. Wiadomość, że podejmuje ona pracę w kancelarii prawnej w Londynie, została propagandowo przekształcona w faktoid „córka Dudy emigruje" i, jak to zawsze działa, obudowana piętrowo komentarzami ukierunkowującymi emocje lemingów. Piętrowo to znaczy, że osoby rozpoznawalne i media wysokonakładowe pozostają na pewnym poziomie oględności, natomiast armia internetowych trolli i różne „soki z buraka" konkretyzują rzucane z góry aluzje już bez żadnych zahamowań i językiem kloacznym.

Dość oczywista sprawa, że młoda prawniczka robi karierę, której jednym z etapów jest praca za granicą, staje się w ten sposób propagandową narracją, że „państwo PiS się wali", „nawet ich własne dzieci stąd wyp…" (wypadają, powiedzmy), wzbogaconą soczystymi opowieściami, jak bardzo „ich" Polacy nienawidzą i jak to niby „oni" wiedzą.

A gdyby Kinga Duda podjęła pracę nie w Londynie, tylko gdzieś w Polsce? To byłby hejt, że „tatuś jej załatwił" i jak to „oni" ustawiają swoje dzieci. Doprawdy córka ważnego i w związku z tym nienawidzonego przez jakąś część publiki polityka nigdy nie będzie mieć racji. Już dawno temu, gdy na polski rynek wchodziły pierwsze tabloidy, pewien aktor zauważył, że stał się obiektem polowania z nagonką i cokolwiek by zrobił, zawsze zostanie zelżony. Jeśli nie przyjmie jakiejś propozycji, to napiszą, że się skończył. Jeśli przyjmie – to że bierze każdą chałturę. Jeśli pojawi się gdzieś z żoną, to napiszą, że ta go pilnuje, jeśli bez żony – to że kryzys w związku i się rozwodzą. Odmówi wypicia z kimś kieliszka – nosa zadziera, nie odmówi – pijak! Jeśli zatrzymanie się przez byłą premier w hotelu o mniej więcej normalnym standardzie może być podstawą ogłoszenia, że „zamieszkała w luksusowym pałacu" – to już wszystko przechodzi.

Tylko że ongiś ten dyskurs nieustannego poniżania osób publicznych ograniczał się do najniższej sfery mediów, do gazet jako okładkowe sensacje traktujących zrobione fotoobiektywem przez trzy szyby zdjęcia, na których ktoś tam wypija do obiadu kieliszek wina. Wojna politycznych plemion sprawia, niestety, że sensacje w rodzaju „nawet córka prezydenta ucieka z tego kraju" rozchodzą się szeroko na równi z normalnymi newsami. ©℗

CZERWONE I CZARNE

Obywatele naprawdę wykluczeni

WOJCIECH WYBRANOWSKI

Nie chodzą na marsze KOD, nie krzyczą o konstytucji, nie awanturują się w obronie „wolnych sądów". Co nie znaczy, że ich nie ma. Są, nawet jeśli dla urzędników z Ministerstwa Sportu kolejny raz okazują się być niewidzialni. O kim mowa? O niepełnosprawnych sportowcach. W ubiegłym tygodniu okazało się, że zawodnicy, którzy mają reprezentować Polskę na Igrzyskach Osób z Zespołem Downa, Trisome Games 2020, mogą mieć problem, by dotrzeć do Turcji. Powód – któryś z pełnosprawnych, choć najwyraźniej mało kumatych urzędasów z resortu sportu odmówił im finansowego wsparcia eskapady.

Problem „niewidzialności" niepełnosprawnych sportowców wraca cyklicznie niezależnie od władzy. W 2012 r. państwowy LOT odmówił przewiezienia sportowych wózków inwalidzkich na igrzyska paraolimpijskie w Londynie. Ktoś poszedł po rozum do głowy dopiero, gdy sprawę opisała „Rzepa". Półtora roku temu sportowcy grający w rugby na wózkach inwalidzkich musieli zbierać pieniądze w sieci, by polecieć na mistrzostwa świata.

W grudniu 2019 r. prezydent Andrzej Duda, dziękując polskim paraolimpijczykom za rozsławianie Polski poza granicami kraju, mówił, iż „dewizą niepełnosprawnych jest to, że niemożliwe nie istnieje". Zapewne i teraz udowodnią to polscy zawodnicy borykający się z zespołem Downa; jak śpiewał zespół Luxtorpeda w dedykowanym paraolimpijczykom utworze: „Kiedy duch i serce jest silniejsze niż ciało, to ból wśród nieszczęść uczynił cię skałą".

Niemożliwe prędzej stałoby się jednak możliwe, gdyby nowa minister sportu krytyczniej przyjrzała się decyzjom, zwłaszcza tym podejmowanym przez podległych jej biurokratów. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O idiotach tańczących na grobach

We Włoszech Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu obchodzony jest powszechnie. Chodzi o tysiące inicjatyw, małych i wielkich. Przemawia prezydent w obecności członków rządu i korpusu dyplomatycznego. Wszyscy podkreślają, że to szczególnie ważne w Italii, gdzie reżim Mussoliniego wprowadził w 1938 r. haniebne ustawy rasowe, a faszyści przyłożyli rękę do masowej zbrodni.

Tym trudniej pojąć, że w Mondovi w Piemoncie ktoś w nocy na drzwiach Aldo Rolfiego napisał: „Juden Hier" i namalował gwiazdę Dawida. Pan Aldo jest włoskim Żydem, synem bohaterskiej Lidii, która w wieku 18 lat w 1943 r. została łączniczką włoskiego ruchu oporu. Schwytana rok później, torturowana, została wywieziona do obozu w Ravensbrück. Udało się jej przeżyć. Zmarła w 1996 r. Jej towarzyszka broni, inna łączniczka partyzantów, nadal żyje w Turynie. Staruszka doczekała się tego, że na ścianie na podwórku kamienicy, w której mieszka, w tym roku inny zideologizowany kretyn napisał: „Zdechnij, brudna Żydówko".

Niby można tłumaczyć, że w 60-milionowym narodzie zawsze się znajdzie kilku debili. Ale już nie można. Prestiżowy Instytut Badań nad Włochami opublikował doroczny 1000-stronicowy raport. Jak się okazuje, aż 15 proc. Włochów, pięć razy więcej niż 10 lat temu, uważa, że Holokaust to jedno wielkie propagandowe kłamstwo, a co piąty, że Mussolini, który doprowadził swój kraj do ruiny, był wielkim przywódcą.

10 lutego to we Włoszech Dzień Pamięci o wymordowanych przez partyzantów Tity w ramach czystki etnicznej włoskich mieszkańcach Istrii i Dalmacji. Ofiary wrzucano do rozpadlin skalnych w okolicach Triestu i Rijeki. W zbrodni brali również udział włoscy komuniści. Pewnie dlatego w tym roku ktoś na poświęconych tragedii tablicach w Casale Monferrato i Pomezii wymalował sierpy i młoty oraz napisy „faszyści".

Jako że chodzi o zbrodnie komunistów, Dzień Pamięci 10 lutego obchodzi się dopiero od 15 lat. Przedtem nie wolno było o tym mówić głośno. „Człowiek" nie zawsze brzmi dumnie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Afera jajkowa

„Koszyk Dudy, czyli »dobra zmiana« w naszych portfelach. Poszliśmy do tej samej Biedronki, którą odwiedził Andrzej Duda w 2015 r., i zrobiliśmy takie same zakupy. Ale zdrożało!" – napisała „Gazeta Wyborcza", przedstawiając porównanie cen produktów. Robię to incydentalnie, ale tym razem muszę sam siebie zacytować, bo dla odpowiedzi – warto.

„Przepraszam, ale jak to są »takie same zakupy«, skoro na jednym paragonie są jajka od kur z chowu klatkowego, a na drugim z wolnego wybiegu – wiadomo, że ich cena jest wyższa, nie mówiąc już o inflacji. Można wykazać błędy PiS na tyle sposobów, ale żeby potykać się o paragon?" – zapytałem. I wtedy odezwał się jeden z autorów tekstu.

„Chcieliśmy kupić takie same jajka jak Andrzej Duda. Nie było. Kupiliśmy i tak najtańsze" – stwierdził Bartosz Wieliński. „Nie krytykuję pomysłu, bo dobrze sprawdzać polityków i monitorować skalę inflacji, uważam jednak, że nie było sensu pisać o takich samych zakupach, bo siłą rzeczy nie mogły być takie same. Więc to jak porównywanie jabłek z pomarańczami" – odparłem.

Tymczasem do debaty włączył się drugi kolega z „Wyborczej". „O, nie widziałem, że prezydent Duda akceptuje męczenie kur w ciasnych klatkach po to, by sobie kupić tańsze jajka" – ripostował Paweł Wroński. „Ale to jest dyskusja o jajkach, które w 2015 r. kupił prezydent, czy o tym, że napisaliście, że zrobiliście takie same zakupy, a jednak nie zrobiliście?" – starałem się dociekać. „Jajka, które kupił prezydent w 2015 r., jeśli ich nie zjadł, są już zbukami" – kontynuował Wroński.

Gdy wspomniałem coś o „sprowadzeniu sprawy do absurdu", dodał: „Okay. Nic nie zdrożało. Jest byczo, a prezes NBP Glapiński dba o poziom inflacji". „Tyle kombinowania, żeby nie przyznać, że »zrobiliśmy te same zakupy«, to nie to samo, co »zrobiliśmy podobne zakupy«. A na tym opiera się główna teza tekstu – ze wzrostem cen nawet nie polemizuję, bo to fakty. Tylko właśnie faktów trzeba się tutaj trzymać, zamiast upraszczać" – rzuciłem na odchodne. Chyba lepiej podsumował to jednak Filip Memches. „Jak ktoś nie ma argumentów, to pozostaje mu błaznowanie". Prawda? ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

Coraz więcej ofiar koronawirusa

Do co najmniej 1483 wzrosła w ubiegłym tygodniu liczba ofiar śmiertelnych wirusa z Wuhan. W całych Chinach zakażonych jest 63 851 osób. W Państwie Środka wyleczono już i wypisano ze szpitali ok. 7 tys. pacjentów, u których zdiagnozowano zakażenie nowym koronawirusem.

Władze Chin muszą poradzić sobie też z nowym problemem: ofiarami śmiertelnymi wśród personelu medycznego. Według oficjalnych danych groźnym koronawirusem z Wuhan zaraziło się już 1716 lekarzy i pielęgniarek, z czego sześcioro już zmarło. Rząd w Pekinie może więc mieć coraz większy problem z zapewnieniem nowych osób do opieki nad zarażonymi. Na szczęście poza Chinami liczba przypadków koronawirusa nie rośnie gwałtownie. Poza Państwem Środka liczba osób, u których zdiagnozowano koronawirusa z Wuhan, wzrosła do co najmniej 580 w 24 krajach. Najwięcej zarażonych wykryto w Japonii, Singapurze oraz Tajlandii. W Europie najwięcej zakażonych jest w Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii, we Włoszech oraz w Hiszpanii i Rosji. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" wirus spowodował śmierć dwóch osób spoza Chin. Do piątku w Polsce nie było potwierdzonego przypadku osoby z wirusem.

Pasażerowie w ochronnych maskach przed dworcem kolejowym w Szanghaju

FOT. ALY SONG / REUTERS / FORUM

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ostrzegła w zeszłym tygodniu, że epidemia stanowi dla świata potencjalnie większe zagrożenie niż terroryzm. Pierwsza szczepionka przeciw wirusowi ma być dostępna za półtora roku. ©℗ *(jap)*

Sejm zdecydował: OFE do likwidacji

Sejm uchwalił w czwartek ustawę o przeniesieniu środków z OFE na Indywidualne Konta Emerytalne (IKE).

Nowe przepisy zakładają, że ok. 154 mld zł, które obecnie znajdują się w OFE, trafią na indywidualne konta IKE (wówczas będą podlegały dziedziczeniu) lub na nasze subkonto w ZUS.

Przekazanie pieniędzy z OFE do IKE nastąpi automatycznie – zgodnie z sejmowym planem operacja ta ma się odbyć 27 listopada. Automatycznie pobrana zostanie również opłata przekształceniowa, która odpowiada wartości 15 proc. aktywów netto OFE. Rząd podkreśla, że po przekazaniu pieniędzy na IKE zgromadzone oszczędności staną się wreszcie formalnie prywatnymi środkami Polaków.

Pieniądze te będzie można wypłacić w części lub w całości po osiągnięciu wieku emerytalnego.

Drugą możliwością jest przeniesienie środków na subkonto w ZUS. Taki wariant pozwala uniknąć opłaty przekształceniowej. Osoby, które wybiorą ten wariant, muszą od 1 czerwca do 1 sierpnia złożyć pisemną deklarację.

Średnia kwota zgromadzona na rachunku członka OFE wynosi 10 233 zł. *(jap)* ©℗

Inflacja w górę

Ceny towarów i usług wzrosły w styczniu 2020 r. o 4,4 proc. w porównaniu ze styczniem roku 2019 – podał w piątek Główny Urząd Statystyczny (GUS).

To oznacza, że ceny w Polsce rosną najszybciej od ponad ośmiu lat. W porównaniu z grudniem 2019 r. ceny wzrosły aż o 0,9 proc.

Wśród przyczyn tak szybkiego tempa wzrostu cen ekonomiści wymieniają m.in.: drożejącą żywność, wzrost kosztów utrzymania mieszkań, wyższe ceny energii elektrycznej, rosnące ceny usług, a także podwyżkę płacy minimalnej.

Zdaniem przedstawicieli rządu wzrost inflacji rekompensują szybko rosnące wynagrodzenia Polaków. Dzięki rządowym programom spadł również wskaźnik ubóstwa i wzrósł dochód rozporządzalny. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

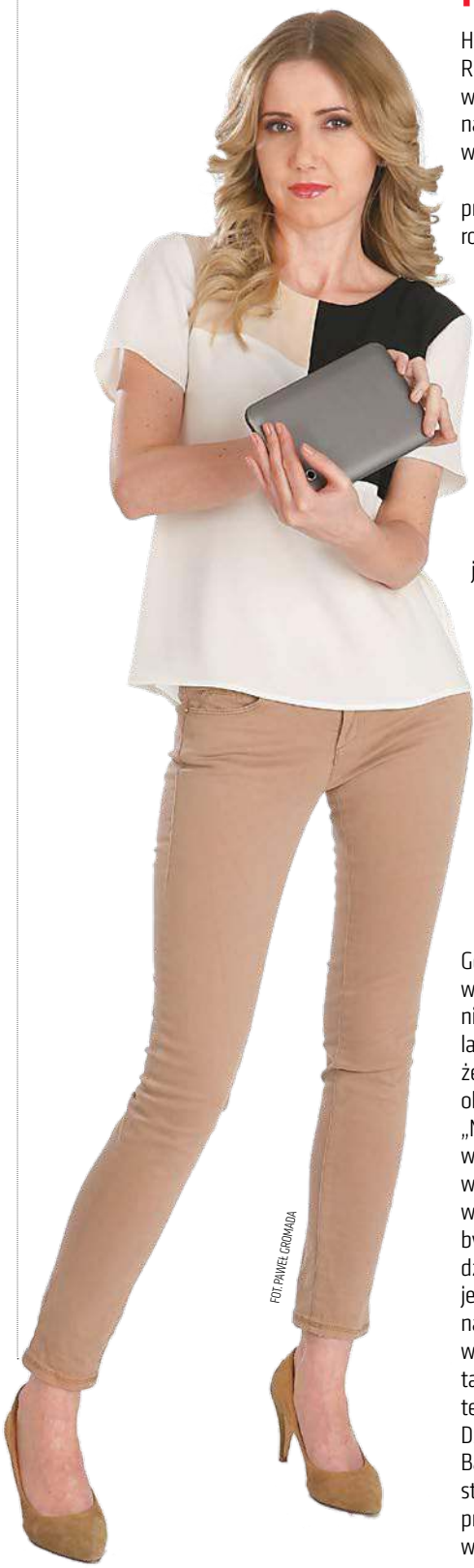
FOT. PAWEŁ GROMADA

I WTEDY WCHODZI ONA. KINGA

Hitem tego tygodnia bez wątpienia była Kinga Rusin i jej relacja z zamkniętej imprezy z największymi gwiazdami Hollywood. Znalazła się na niej po gali oscarowej, o czym poinformowała w obszernym wpisie na Instagramie.

„Tylko około 200 osób na małej, klubowej przestrzeni z najlepszą muzyką, z zakazem robienia zdjęć" – tak zaczęła swój opis imprezy. „Impreza, na której wszyscy mogą się wyluzować i zaszaleć! Każdy dostaje na wejściu... kapcie (nie weszłam w tę opcję) i bawi się bez skrępowania do białego rana" – napisała podekscytowana. Dalej było tylko lepiej. „Zaczęło się od rozmowy z Adele o moich szpilkach [...]. Rozmowa z Adele była przepustką do miłej konwersacji z Rihanną [...]. Jay-Z uczył mnie układu tanecznego, Beyoncé patrząc na mój brokatowy, świecący garnitur, stwierdziła ze śmiechem, że ją przyćmiłam, z Leo DiCaprio tańczyłam przez chwilę za rękę [...]. Charlize Theron zaproponowała mi kawałek pizzy, kiedy z ciekawości zajrzałam do pudełka, które niosła" – relacjonowała zachwycona Rusin, która jako dowód obecności na imprezie zamieściła zdjęcie z piosenkarką Adele. Znaleźć się na zamkniętej, prywatnej imprezie, by następnego dnia zrelacjonować ją ze szczegółami w Internecie. No ale jak tu się nie pochwalić tym, że przyćmiło się Beyoncé?!

PULITZER TO ZA MAŁO!

Gdyby Kinga Rusin nie istniała, należałoby ją wymyślić! Bo cała historia ma ciąg dalszy. Kinga nie spodziewała się, że jej wpis wywoła taką lawinę memów i dowcipasów, ale i oburzenia, że zdradza kulisy prywatnego party. Kinga oburzona postanowiła odpowiedzieć na zarzuty. „Nagle mikrorelacja z udziału w imprezie gwiazd wywołała dyskusję o tym, co wolno, a czego nie wolno dziennikarzowi" – zaznaczyła, zmieniając wersję zdarzeń, bo poprzednio twierdziła, że była na imprezie prywatnie, a teraz, że jako dziennikarka. Zdjęcie z Adele na wszelki wypadek jednak usunęła, po czym kontynuowała wywód na temat trudów dziennikarskiej profesji. „Oczywiście naraziłam się wielu osobom w Los Angeles takim materiałem. Ale taka jest cena pisania tekstów »insiderskich«. I trzeba trochę odwagi. Dziennikarze cały czas wszystkim się narażają. Bardziej narażam się myśliwym czy Ministerstwu Środowiska. Więc na pewno nie będę się przejmować zakazem wstępu na jakieś imprezy w USA. A miłą nagrodą są zaproszenia udzielenia wywiadów w światowych telewizjach" – skwitowała Rusin. Tylko Pulitzer może wynagrodzić Kindze to poświęcenie. W ostateczności chociaż jakiś marny Grand Press. Koniecznie w kategorii dziennikarstwo śledcze.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

PÓJŚĆ ZA CIOSEM

Pamiętacie niedawną aferę w „Dzień dobry TVN"? Tę, w wyniku której stacja musiała przepraszać wszystkich fanów koreańskiego popu za to, że obraziła jednego z piosenkarzy, nabijając się z jego wyglądu? No właśnie. W ramach retorsji stacja zamiast ukarać prezenterów, ukarała reportera od sondy ulicznej, wyrzucając go z pracy. Ten, nie myśląc za wiele, postanowił wykorzystać zaistniałe zamieszanie i na fali całej afery rozpoczął zbiórkę w Internecie na wyjazd do... Korei! „Nazywam się Adam Feder, jestem reporterem. Pewnego pochmurnego dnia poszedłem na bazar ze zdjęciem koreańskiego piosenkarza i... przestałem być reporterem »Dzień dobry TVN«. Za to teraz założyłem kanał na YouTube. Mój pierwszy cel to reportaż z Korei, gdzie chcę zgłębić zjawisko K-Popu" – napisał w opisie zbiórki. „Uznałem, że powinienem zrobić to, co należy, czyli pojechać z kwiatami i bombonierką do Korei Południowej, na spotkanie gwiazd K-Popu" – dodał.

To się musi skończyć skandalem, i to międzynarodowym. Aż dorzucimy się do tej zbiórki!

TAKI

Dziennikarz Wirtualnej Polski Michał Wróblewski był świadkiem ciekawej rozmowy aktorki Emilii Krakowskiej z polityk Koalicji Obywatelskiej Katarzyną Lubnauer. Znana aktorka sama zaczepiła posłankę i powiedziała jej:

– Kochana, nie możecie odpuścić. Musicie z nimi walczyć. Walczcie! Musicie coś z tym zrobić, z tą władzą. Oni muszą odejść. Przecież zamordowano nam prezydenta. W Polsce nie może tak dłużej być! – przekonywała, nawiązując do zabójstwa Pawła Adamowicza w Gdańsku. Tacy zwolennicy to prawdziwy skarb! Dla PiS oczywiście. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wszyscy skupiają się na tym, iż Andrzej Duda został wygwizdany w Pucku na rocznicy zaślubin tego kraju z morzem. Nikt natomiast nie skupi się na sednie problemu – po co Duda w ogóle tam był i dlaczego w XXI w. wciąż wykazujemy się takim brakiem wrażliwości.

Przypomnijmy czytelnikom posiadającym nową maturę: otósh

sto lat temu w Pucku polski generał wrzucił pierścień do morza i na pamiątkę tego wydarzenia teraz jest cała ta afera.

Czy jednak ktokolwiek wziął pod uwagę, iż był to akt jednostronny, w którym ten kraj postanowił patriarchalnie podporządkować sobie morze, nie pytając go o zgodę? A jeśli nawet przyjąć, iż ten akt nadal obowiązuje, to kaman – nie możemy go zmienić?

Zaślubiny są rzeczywiście soooo 1920, nie możemy tego zmodyfikować w jakiś związek partnerski albo poliamoryczny, włączając do niego również Tatry? Of kors za ich zgodą.

Co za siara. Być może pamiętacie, jak w grudniu pewnemu irańskiemu kierowcy zepsuła się ciężarówka gdzieś pomiędzy Siedlcem Dużym a Koziegłowami (WTF). W reakcji na to mieszkańcy tego kraju zrobili zrzutkę i co kupili Irańczykowi?

Tak, zgadliście, kupili mu nową ciężarówkę, iżby mógł nią wrócić do siebie do Iraku (czy tam Iranu, wszystko jedno).

Tym samym ponownie Polska przyczyniła się do zwiększenia ruchu kołowego, ciężkiego transportu i emisji spalin. A można było kupić rower, hulajnogę elektryczną, cokolwiek ekologicznego.

A dlaczego przypominamy o tym akurat teraz? A dlatego, iż Polacy chcą nakręcić o tym wydarzeniu film dokumentalny. Eh, czyli najpierw nabroić, a potem się tym chwalić, cały ten kraj.

Jak tam, przetrwaliście tegoroczne walentynki, czyli święto nietolerancji, heteronormatywności i patriarchatu? U nas było dość trudno, bo Nowy z Tarnowa wymyślił sobie, iż zrobi nam w korpo romantyczny dzień, i uruchomił anonimową pocztę walentynkową.

Na szczęście, pomimo wielu różnych prześladowań, humor nas nie opuszcza i postanowiliśmy strollować Nowego i jego pomysł.

Otósh do specjalnie zaimprowizowanej na tę okazję skrzynki pocztowej wrzucaliśmy walentynki skierowane tylko do osób tożsamych płciowo z nadawcą. Dzięki temu Nowy, który następnie odczytywał kartki i je rozdawał, robił się coraz bardziej speszony i zmieszany, na koniec się wściekł i uciekł do domu, mamrocząc coś, iż zepsuliśmy mu święto.

A żeby dzień był już całkiem udany, zorganizowaliśmy sobie na koniec konkurs na najlepszy esej na temat „Patriarchalne oblicze walentynek jako próba narzucenia heteronormatywności w dyskursie publicznym". Konkursu of kors nikt nie wygrał, iżby nie wyróżnić jednych kosztem drugich, tak prawdę mówiąc, to nawet nikt nie napisał takiej pracy. Ale i tak było fajnie xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Z większym rozmachem

Jacek, mamy problem z tą dotacją. To znaczy – kasę dostaniesz, ale Grodzki nam namieszał. Wiesz, żeby nie na ciebie, tylko na onkologię dać.
Demagog, Ryszard, demagog. Jak my wszyscy.
No wiem, ale nie będzie to ładnie wyglądać. Rozmawiałem z Jarkiem i doszliśmy do wniosku, że musisz to jakoś uzasadnić.
Ale że w jakim sensie?
Zrobiłeś film o tym Zenku, fajnie...
Widziałeś?
Zwariowałeś?
Słusznie, strata czasu. Ale ciemny lud... i tak dalej.
No to teraz musisz zrobić coś takiego... jak by ci to... z misją, żeby za serce chwytało, żeby matki płakały i dzieci tuliły, a faceci ukradkiem łzy ocierali. Żeby pokazać, że te 2 mld to nie na darmo, rozumiesz. Masz jakiś pomysł? Może jakaś ludzka historia, może onkologiczna właśnie, że niby tefaupe propaguje piękne postawy.
No... coś tam myślałem.
Że?
Może to nie do końca to, o czym mówisz, ale będzie się oglądać.„Zenek 2", tylko z większym rozmachem: zagrają Lady Gaga, Krzysztof Krawczyk, Zenek oczywiście, a jako gwiazda będzie Sabrina z tymi swoimi... Pamiętasz Sabrinę, co nie? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Posłanka Pawłowicz powinna pokochać Konstytucję RP. Wszystkie walentynkowe amory wysyłamy dzisiaj w stronę Trybunału Konstytucyjnego do Pani Pawłowicz".

***ROBERT BIEDROŃ**, europoseł, kandydat na prezydenta, w programie Tłit w Wirtualnej Polsce*

eprasa.pl 631be42f7a

Sposób na oszczędzanie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 631be42f7a

Rekordowo dużo Polaków deklaruje, że regularnie odkłada pieniądze. Wciąż jednak oszczędzamy mniej niż inni Europejczycy. Jak zacząć oszczędzanie? Jakie są na to proste sposoby?

Do przełomu doszło w zeszłym roku. W czerwcu 2019 r., podczas badania koniunktury konsumenckiej prowadzonego przez Główny Urząd Statystyczny we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim, 53 proc. Polaków zadeklarowało, że oszczędza pieniądze. To pierwszy taki wynik od 1997 r., kiedy to GUS zaczął badać koniunkturę konsumencką w Polsce (najgorzej było w 2003 r., gdy zaledwie 17,3 proc. Polaków deklarowało, że oszczędza, a 82,7 proc. przyznawało, że nic nie odkłada). Systematyczną poprawę widać od 2012 r. W 2018 r. średnio aż 46,25 proc. badanych deklarowało ankieterom, że oszczędza. I chociaż w sierpniowym wydaniu raportu GUS „Koniunktura konsumencka – sierpień 2019 r." odnotowano pogorszenie zarówno obecnych, jak i przyszłych nastrojów konsumenckich, to oszczędzający Polacy wciąż byli w większości.

Skłonność do odkładania pieniędzy rośnie wraz ze wzrostem dochodów Polaków. Wciąż jednak oszczędzamy mniej niż inni Europejczycy. Z danych Eurostatu za 2018 r. wynika, że najwyższą stopą oszczędności – czyli stosunkiem oszczędności do dochodów – gospodarstw domowych w UE mogą pochwalić się mieszkańcy takich krajów jak Luksemburg (21,4 proc.), Niemcy (18,5 proc.) oraz Szwecja (18 proc.). Średnia dla Unii Europejskiej wyniosła 10,3 proc. Polska znalazła się poniżej średniej z wynikiem 4,2 proc., wyprzedzając jednak takie państwa jak Cypr, Litwa czy Rumunia.

GRZECHY I MITY

„Człowiek biedny ceni sobie każdą złotówkę, bogaty każdy grosz" – mówi stare polskie przysłowie. „Skup się na oszczędzaniu" – od lat radzi znajomym i nie tylko znajomym Warren Buffett, jeden z najbardziej znanych inwestorów na świecie. Warto go posłuchać, bo sam Buffett, prowadząc jak na miliardera bardzo oszczędny tryb życia, pod koniec stycznia 2020 r. zajmował trzecie miejsce wśród najzamożniejszych mieszkańców globu z majątkiem wycenianym na 87,3 mld dol. „Myślę, że największym błędem jest nieuczenie się nawyków oszczędzania odpowiednio wcześnie. Oszczędzanie jest nawykiem. Potem następuje szybkie bogacenie się" – przekonuje bogaty inwestor. Inny słynny Amerykanin, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, Benjamin Franklin, również zalecał oszczędzanie. „Sposób na to, by każdy miał pełne kieszenie: wydawaj zawsze mniej, niż zarabiasz" – przekonywał.

Mimo to na świecie wciąż żyje wiele takich osób, które nie oszczędzają w ogóle. Argumentują one, że zarabiają zbyt mało, aby odłożyć jakiekolwiek pieniądze. Niestety, wiara w hasło: „Zacznę oszczędzać, gdy będzie mnie już na to stać" to jeden z mitów, który bardzo szkodliwie wpływa na naszą sytuację finansową. Osoby o najniższych dochodach muszą znaleźć sposób na oszczędzanie, ponieważ brak jakiejkolwiek „poduszki finansowej" – czyli prywatnego „funduszu awaryjnego" składającego się z pieniędzy odłożonych na „czarną godzinę" – sprawi, że w razie awarii samochodu czy choćby konieczności nagłej wizyty u dentysty będą musiały ratować się zaciągnięciem drogiej pożyczki. Jej późniejsza spłata może być w takim wypadku dużym obciążeniem dla domowego budżetu. Dużo łatwiej jest bowiem oszczędzać co miesiąc po 100 zł i zgromadzić w ciągu roku 1,2 tys. zł niż w razie nagłej potrzeby wziąć „chwilówkę" na taką samą kwotę. „Chwilówki" są bowiem koszmarnie drogie i pożyczywszy 1,2 tys. zł, po roku trzeba oddać czasem nawet 1885 zł, co oznacza, że co miesiąc będziemy musieli znaleźć w domowym budżecie nie 100 zł, ale aż 157 zł.

Wielu ekspertów zaleca odkładanie co najmniej 10 proc. miesięcznych dochodów oraz połowy wszelkich premii i dodatkowych wpływów. Aby nasze marzenia o oszczędzaniu się ziściły, wystarczy co miesiąc tuż po otrzymaniu pensji odkładać na rachunek oszczędnościowy nawet niewielki odsetek wypłaty. Zasada ta dotyczy nawet najsłabiej zarabiających. Zakładając, że z pensji minimalnej na rachunek oszczędnościowy (oprocentowany 1 proc. w skali roku) odkładamy zaledwie 5 proc. kwoty, którą dostajemy do ręki, to po roku będziemy mieli już 1157 zł, a po dwóch latach 2323 zł (już po uwzględnieniu podatku od zysków kapitałowych). W przypadku osób otrzymujących średnie wynagrodzenie (3677 zł netto) po odłożeniu na rachunek oszczędnościowy co miesiąc 10 proc. wypłaty po roku będziemy mieli już do dyspozycji 4435 zł, a po dwóch latach – aż 8907 zł.

Inne wymówki brzmią: „Oszczędzanie oznaczałoby poważne wyrzeczenia", „Brakuje mi dyscypliny" czy też „Nie umiem oszczędzać, bo wszystkie pieniądze zawsze mi się rozchodzą". Z tego typu argumentami łatwo można sobie poradzić. Najczęściej bowiem kluczem do rozwiązania problemu nie jest kwestia finansowa, lecz psychologiczna. Aby skutecznie oszczędzać, musimy posiąść umiejętność odkładania przyjemności w czasie. Do tego przydaje się silna motywacja. Powodów do rozpoczęcia oszczędzania można znaleźć wiele. Pierwszym z nich jest chęć posiadania „poduszki finansowej", co znacząco zwiększa komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa. To tzw. motyw przezornościowy. Ograniczenie zbędnych wydatków ułatwia także motyw konsumpcyjny. Aby mieć motywację do regularnego odkładania pieniędzy, wystarczy pomyśleć, co fajnego zrobimy, gdy uda się już zgromadzić na rachunku większą kwotę. Takim celem mogą być wakacje na „rajskiej" wyspie, remont mieszkania, budowa domu lub choćby zgromadzenie oszczędności na spokojną starość.

Pierwszym krokiem, który warto poczynić, szukając oszczędności, powinno być dokładne przeanalizowanie stałych wydatków, np. rachunków za media, opłat za zajęcia pozalekcyjne, abonamentów na telewizję, Internet czy telefon komórkowy oraz zmiennych wydatków, takich jak np.: wakacyjne wyjazdy, zakupy nowych gadżetów elektronicznych, bilety do kina, obiady na mieście czy wyjścia do kawiarni. Odkładanie pieniędzy wcale nie musi się wiązać z poważnymi wyrzeczeniami. Wystarczy zrezygnować z niepotrzebnych wydatków, aby zaoszczędzić pieniądze na coś wartościowego. Przy tej okazji często przywoływanym przykładem jest tzw. efekt latte, nazywany również „współczynnikiem małej czarnej".

Pojęcie to upowszechnił amerykański autor książek o tematyce finansowej David Bach. Zwrócił on uwagę na ludzi kupujących codziennie kawę w lokalnej kawiarni. Teoretycznie jest to drobny

eprasa.pl 631be42f7a

wydatek: w wielkomiejskich kawiarniach za małą czarną trzeba zapłacić ok. 10 zł. Jeśli jednak kawę na mieście kupujemy każdego roboczego dnia, to jej koszt w skali miesiąca rośnie do 200 zł, a w skali roku do nawet 2,4 tys. zł. A przecież wystarczy zaparzać sobie kawę w biurze, aby nie rezygnując z przyjemności, znacząco ograniczyć zbyt łatwe wydawanie ciężko zarobionych pieniędzy. Ci, którzy nie są bywalcami kawiarni, mogą sobie obliczyć, ile pieniędzy wydają na małe przekąski, np. w fast foodach.

Aby nie zniechęcić się do pomysłu oszczędzania, można jednego miesiąca zrezygnować z drogich obiadów na mieście, a dopiero w kolejnym miesiącu wyeliminować przejażdżki taksówkami. Można też połączyć oszczędzanie z dbaniem o własne zdrowie i wyrzucić z życia różnego rodzaju używki czy słodzone napoje gazowane.

Krytycznym okiem warto spojrzeć również np. na rachunek za telefon komórkowy czy abonament internetowy i sprawdzić, czy konkurencyjni operatorzy nie oferują tańszych rozwiązań. Jeśli kończy nam się abonament, sprawdźmy, czy dzięki np. zmianie dostawcy nie uda nam się zdecydowanie obniżyć miesięcznych rachunków. Podobny efekt może przynieść analiza ofert finansowych – czasem wystarczy zmienić typ konta na bezpłatne lub zmienić bank na taki, który nie pobiera opłat za najczęściej wykonywane operacje lub oferuje je taniej niż konkurencja. Z opublikowanego we wrześniu 2019 r. raportu NBP porównującego opłaty w złotych pobierane przez polskie banki za prowadzenie rachunku płatniczego oraz realizację wpłaty gotówkowej, polecenia przelewu i polecenia zapłaty na rachunki odbiorców w innych bankach wynika, że tego typu zmiana może pozwolić nam bez żadnych wyrzeczeń zaoszczędzić od kilku do kilkunastu złotych miesięcznie.

Sporo pieniędzy można również zaoszczędzić, dokładnie planując zakupy. Dzięki rygorystycznemu trzymaniu się listy sporządzonej przed wejściem do supermarketu można ograniczyć ryzyko, że kupimy za dużo jedzenia, które później wyrzucimy. W odkładaniu pieniędzy pomóc może również rozważne korzystanie z różnego rodzaju sklepowych promocji i obniżek. Często dokładnie ten sam produkt można kupić sporo taniej. Przeglądając gazetki promocyjne, korzystając z kuponów rabatowych w sklepowych aplikacjach na smartfony czy z internetowych porównywarek cen, można zaoszczędzić kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt procent. Trzeba jednak uważać, aby nie nabrać się na jedną z wielu sztuczek marketingowych i przy okazji oszczędzania nie wpaść w pułapkę zakupów towarów, które co prawda są przecenione, ale są nam również kompletnie niepotrzebne. Źródłem realnych korzyści finansowych nie zawsze są również promocje typu „piąty produkt 80 proc. taniej".

Gdy uda nam się już zgromadzić oszczędności, z pewnością nie warto trzymać ich „w skarpecie"

Przed zrobieniem większych zakupów warto też sprawdzić, czy nasz bank nie oferuje jakiejś formy promocji na dany produkt lub usługę (np. w formie kodów rabatowych lub zwrotu pieniędzy na konto za rezerwację hotelu we wskazanym serwisie hotelowym lub zakup paliwa na stacji danej sieci).

Duże oszczędności może też przynieść rezygnacja z posiadania prywatnego samochodu i przesiadka do transportu publicznego. Odpadają bowiem nie tylko koszty zakupu paliwa, lecz także ubezpieczenia (co najmniej kilkaset złotych rocznie), przeglądów czy też napraw. Decyzję o rezygnacji z własnego auta w dużych miastach ułatwiają też firmy oferujące wynajem samochodu na minuty, a także firmy realizujące przejazdy w cenach konkurencyjnych do tradycyjnych taksówek. Skutecznym sposobem na oszczędzanie jest również ograniczanie kosztów zużycia energii oraz wody.

JAK ZMUSIĆ PIENIĄDZE DO PRACY

Gdy uda nam się już zgromadzić oszczędności, z pewnością nie warto trzymać ich „w skarpecie". Wartość tak bezproduktywnie przechowywanych oszczędności z roku na rok uszczupla bowiem strata wynikająca ze wzrostu cen. Najprostszym i stosunkowo najbezpieczniejszym sposobem na zniwelowanie lub choć zmniejszenie strat wynikających z inflacji jest ulokowanie pieniędzy na koncie oszczędnościowym lub wpłacenie ich na lokatę w banku. Depozyty tego typu są gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny do równowartości 100 tys. euro, czyli ok. 425 tys. zł.

Oszczędzanie może być krótkoterminowe (np. gdy od stycznia odkładamy pieniądze, aby latem polecieć na egzotyczne wakacje) lub długoterminowe (nie musi mieć ani konkretnego celu, ani jasno określonego terminu, gdyż służy np. pomnażaniu lub ochronie zgromadzonego kapitału).

Dla osób, które nie wiedzą, kiedy będą potrzebowały ulokowanych w banku pieniędzy lub które nie mają zbyt wielkich środków, dobrym rozwiązaniem mogą okazać się konta oszczędnościowe. Można na nich ulokować nawet bardzo małą kwotę. Z tego typu rachunków najczęściej można w każdej chwili wypłacić potrzebną gotówkę, choć trzeba taką możliwość zweryfikować na etapie podpisywania umowy z bankiem, wiele banków umożliwia bezpłatną wypłatę z konta tylko jeden raz na miesiąc, a za pozostałe pobiera już prowizję.

Eksperci radzą, aby nie próbować oszczędzać tego, co pozostaje po wszystkich wydatkach, ale przeciwnie – po otrzymaniu wypłaty odłożyć wyznaczoną kwotę na konto oszczędnościowe, a na wydatki przeznaczyć kwotę, która wówczas pozostanie.

Doskonałym pomysłem jest też założenie konta oszczędnościowego z myślą o dziecku. Wpłacając 100 zł miesięcznie na rachunek oprocentowany na np. 1,5 proc. w skali roku, na 18. urodziny będziemy mogli wręczyć świeżo upieczonemu dorosłemu 24 155 zł, co może wystarczyć np. na wkład własny do kredytu hipotecznego na mieszkanie. W tak długim okresie oszczędzania skorzystamy bowiem z działania procentu składanego – otrzymamy więc 24 155 zł, mimo że wpłacimy na konto 21 600 zł. Reszta będzie pochodzić z odsetek, w tym z oprocentowania kwot dopisywanych na rachunek w wyniku regularnej kapitalizacji.

Ciekawą propozycją dla osób, którym brakuje dyscypliny, aby samodzielnie odkładać pieniądze, są powiązane z rachunkami oszczędnościowymi programy automatycznego oszczędzania. Tego typu produkty ma w ofercie wiele polskich banków. Sposób działania programu jest prosty: przy każdej płatności kartą lub np. przy każdym przelewie i wypłacie z bankomatu odprowadzają

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. ADOBE STOCK

na rachunek oszczędnościowy ułamek wydawanej kwoty (najczęściej klient banku może wybrać, że będzie to np. od 1 do 10 proc. transakcji). Jak to działa? Jeżeli w sklepie wydajemy np. 8 zł, to automatycznie z konta bieżącego bank pobiera dodatkowo 80 gr, które trafiają na rachunek oszczędnościowy. Można też wybrać sposób, w którym rachunek będzie zaokrąglany, np. do 5 lub 10 zł. W tym ostatnim przykładzie na konto oszczędnościowe automatycznie trafiłoby więc 2 zł. Po roku regularnego oszczędzania nawet drobnych kwot może się okazać, że na rachunku mamy wystarczająco dużo pieniędzy, aby np. wyjechać na wymarzony romantyczny weekend.

Aby zachęcić do oszczędzania, banki i instytucje finansowe mają też w ofercie promocje dla oszczędzających długoterminowo, które premiują tych, którzy pieniądze odkładają systematycznie. Niektóre przyznają wówczas wyższe oprocentowanie, inne zwalniają np. z opłat za nabycie jednostek funduszu inwestycyjnego. Aby o oszczędzaniu nie zapominać, wiele banków oferuje automatyczne pobieranie wybranej kwoty z naszego konta.

Zazwyczaj nieco wyższy zysk niż konta oszczędnościowe przynoszą lokaty terminowe. Można je założyć np. na tydzień, miesiąc, trzy miesiące, sześć miesięcy, rok czy dwa lata. Po upływie ustalonego terminu bank może zamknąć lokatę i zwrócić pieniądze na rachunek bieżący lub – zgodnie z naszą dyspozycją – odnowić lokatę na kolejny okres (warto jednak sprawdzić, jakie oprocentowanie będzie obowiązywało po automatycznym wznowieniu). Wadą lokat terminowych jest brak swobodnego dostępu do zdeponowanych pieniędzy. Nie należy więc zakładać lokat z pieniędzy, które mogą być nam nagle potrzebne, ponieważ zerwanie lokaty przed terminem będzie wiązało się z utratą wszystkich lub przynajmniej części należnych odsetek. Obliczając zysk z lokaty, trzeba również uwzględnić wynoszący 19 proc. podatek od zysków kapitałowych.

Zarówno przed założeniem konta oszczędnościowego, jak i lokaty warto porównać ofertę różnych banków. Niektóre w promocji oferują bowiem – dla nowych klientów lub na nowe środki – oprocentowanie sięgające 3–4 proc.

Starając się zachować siłę nabywczą pieniędzy, można część ulokować na rachunku oszczędnościowym lub lokacie, część w obligacjach skarbowych, a część w funduszach

w skali roku. Najczęściej atrakcyjne warunki są jednak ograniczone w czasie i obowiązują tylko do określonych kwot.

I chociaż oferta banków dla oszczędnych jest obecnie wyjątkowo mało atrakcyjna, to i tak trzymanie pieniędzy na lokacie lub rachunku oszczędnościowym jest korzystniejsze niż trzymanie „bezrobotnych" pieniędzy na nieoprocentowanych rachunkach bieżących. Okresowo wyższa stopa inflacji od stopy oprocentowania lokat bankowych może skłaniać Polaków do poszukiwania alternatywnych sposobów lokowania pieniędzy. Jednym z najpopularniejszych jest zakup obligacji oszczędnościowych Skarbu Państwa. Tylko w 2019 r. Polacy wydali na ich zakup aż 17,3 mld zł, czyli o 36 proc. więcej niż rok wcześniej. W ofercie Ministerstwa Finansów są obligacje na okres od trzech miesięcy do 12 lat, zarówno o stałym oprocentowaniu, jak i o zmiennym, oraz obligacje indeksowane inflacją.

Oprocentowanie obligacji trzymiesięcznych jest stałe i wynosi 1,5 proc. Dwulatki są już oprocentowane na 2,1 proc. Z kolei od obligacji indeksowanych inflacją wysokość wypłacanych odsetek jest zmienna i zależy od wysokości stopy inflacji. W przypadku obligacji 10-letnich w pierwszym okresie odsetkowym można liczyć na 2,7 proc., a w kolejnych do inflacji dodawana jest marża w wysokości 1,5 proc.

Aby zachować siłę nabywczą oszczędności – jednocześnie pamiętając o zmniejszającej ryzyko zasadzie dywersyfikacji – można część pieniędzy ulokować w banku na lokacie lub rachunku oszczędnościowym, część w obligacjach skarbowych, a część np. w funduszach inwestycyjnych (w zależności od skłonności do ryzyka może to być np. fundusz pieniężny, obligacji, akcji czy też inwestujący na rynku złota). Za zgromadzone oszczędności można też kupić nieruchomość, waluty (np. dolara amerykańskiego, euro czy franka szwajcarskiego) lub samodzielnie zainwestować pieniądze na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Inwestowanie w akcje, a także w złoto czy nieruchomości wiąże się jednak z wysokim ryzykiem utraty części lub całości zgromadzonego kapitału, więc wymaga sporej wiedzy.

Niezależnie od tego, jak ulokujemy lub zainwestujemy odłożone pieniądze, a także jakim wynikiem zakończą się te inwestycje, nawyk regularnego oszczędzania powinien ułatwiać nam sukcesywne powiększanie majątku osobistego. O oszczędzaniu warto bowiem pamiętać nawet wówczas, gdy nie mamy żadnych powodów, aby narzekać na dochody. Nawet wśród miliarderów jest wielu takich, którzy latają tanimi liniami, jeżdżą używanymi samochodami, a markowe produkty kupują na wyprzedażach (tak robi choćby wspomniany wcześniej Warren Buffett).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

dwaj panowie g

Jak kampania, to i sztaby. Ten od prezydenta Andrzeja Sebastiana pracuje już niemal codziennie. Wbrew oficjalnym uśmiechom konwencja Solidarnej Polski o sądach nie wzbudziła w tym gronie zachwytu. A nawet wręcz przeciwnie. Na Nowogrodzkiej wręcz zgrzytano zębami. „Nie o konwencję chodzi" – opowiadała nam pewna zirytowana wiewiórka, „lecz o termin, panowie, o termin".

Wciąż ścierają się dwie koncepcje. Zwolennicy pierwszej mówią, że jeśli Andrzej Sebastian odpuści w sprawie sądów, to na pewno nie wygra. A jeżeli nie odpuści, to może wygra. Tak czy inaczej uradzono, żeby w warstwie werbalnej nieco odpuścić.

À propos sądów – zorganizowana przez „GazPol" manifestacja wspierająca reformę sądownictwa niektórych zasmuciła. I nie chodzi nam wcale o członków sędziowskiej nadzwyczajnej kasty, lecz zwykłych, ciężko pracujących polityków Zjednoczonej Prawicy, którzy bardzo chcieli przemawiać. Tak się jednak składa, że wystąpienia polityków na manifestacji oddolnej, obywatelskiej i spontanicznej odbierałyby jej założony sens. Więc wystąpić nie mogli. Stąd smutek.

Szczególnie smutny był z tego powodu pewien młody obiecujący prawicowy polityk działający aktywnie w Brukseli, który bardzo, ale to bardzo chciał wystąpić. Nie możemy podać nazwiska, więc zdradzimy tylko, że on akurat nie był niezadowolony, iż na całej manifestacji nie było ani jednego logo PiS.

Uwaga, zapowiadamy najgorętszą imprezę tygodnia. Co tam jakieś konwencje partyjne czy prezydenckie – we wtorek odbędzie się gala z okazji XXX-lecia Krajowej Rady Sądownictwa. W ładnym miejscu, na Zamku Królewskim. Wieść ta wprawiła w prawdziwą ekscytację rozmaite „GazWyby" i tefaueny. Mamy dla nich złą wiadomość: ci, na których najbardziej polują, będą na gali nieobecni. Żadnych prezydentów, premierów, naczelników państwa, podobno nawet minister sprawiedliwości wykpi się wiceministrem.

Pojawić się mogą natomiast ministrowie obrony, byli lub obecni, w tym jeden wyjątkowo lubiany przez „GazWyby" i tefaueny ze względu na gustowną siwą bródkę i nietuzinkową sprawność fizyczną. Uprzedzając ataki wypływające z odmętów szaleństwa, zauważamy, że owszem, szefowie MON mają co nieco wspólnego z sądami. Na przykład nadzorują sądy wojskowe.

Ponieważ przygotowywaliśmy tę rubrykę w dniu Świętego Walentego, trochę nas już mdliło od tych serduszek, różyczek i buziaczków. Postanowiliśmy więc przygotować z tej okazji wyliczankę nienawistną. Oto ona.

Lubicie, gdy wsadzają na dołek kogoś z listy stu najbogatszych? My też. Niebawem będziecie więc mieli dużo do lubienia.

Lubicie, gdy uchylają immunitety? My też. I w tej materii też niebawem będziecie mieli dużo do lubienia. Chociaż od chwili, kiedy Senat odmówił uchylenia immunitetu niejakiemu Kogutowi, nie do końca jesteśmy pewni wyniku tego głosowania.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Lubicie, gdy za kraty wsadzają prezydentów? My też. Nie, nie, nie chodzi o prezydenta Andrzeja Sebastiana. Przypominamy, że w Polsce, by mieć tytuł prezydenta, a nie jakiegoś tam burmistrza, trzeba mieć pod sobą 100 tys. mieszkańców albo przynajmniej stać na czele byłego miasta wojewódzkiego.

Lubicie, gdy zamykają skorumpowanych prawników? My też. A najbardziej kochamy, gdy wsadzają tych, którym nie trzeba uchylać immunitetów. Gwoli ścisłości przypominamy jednak, że sędziego i prokuratora można też trzepnąć, jak się go trafi na tzw. gorącym.

Lubicie, gdy dobierają się do tyłka ministrom? My to wprost uwielbiamy (bez podtekstów prosimy). I nie ma dla nas znaczenia, czy to minister były czy obecny. Oczywiście bardziej wolimy jednak, jak zamykają tych, którzy są przy władzy.

W świetle powyższych nienawistnych informacji wcale nie dziwią nas i nigdy nie dziwiły zapowiedzi PeŁo, że zlikwidują CBA (Grzegorz Odstrzelony Schetyna zapowiadał też likwidację IPN). Pewien naiwny dziennikarz dużej gazety próbował nas ostatnio przekonać, że to był element programu starej złej PeŁo Grzegorza, a nie nowej, lepszej PeŁo Borysława BoBu Budki. Niestety, mylił się, jak to często ludzie naiwni.

A oto dowód: nie minęły 24 godziny, a już Bart Simpson polskiej polityki, czyli Bartłomiej Sienkiewicz herbu Nie Wstaję Przed Południem, wbrew swym przyzwyczajeniom z czasów, gdy rządził MSW, wyrwał się z łóżka o świcie, by zapowiedzieć w pewnym der portalu, że sprawę CBA trzeba będzie „załatwić do spodu". Nie dziwi nas ta deklaracja. PeŁo ma duże doświadczenia ze spodem. Za każdym razem, kiedy jej polityk walnie coś, co wydaje się dnem, od razu słychać pukanie partyjnych kolegów od spodu.

W związku z powyższym proponujemy zabawną grę towarzyską związaną z działalnością KOD i aktywnością działaczy PeŁo. Wybieracie, co wam się bardziej podoba: skandować do urzędującego prezydenta „Ty ch…" podczas uroczystości państwo-

eprasa.pl 631be42f7a

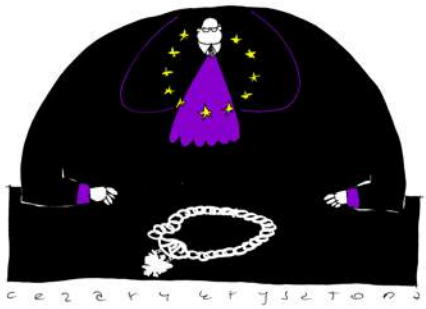

wych, jak to było w Pucku, czy modlić się przed posłem Peło do drzewa, na którym rozbiła się limuzyna premier Bełaty. Następnie walicie się w czoło z rozpaczy, o ile wcześniej nie opadną wam ręce. Prawda, że zabawne? Prawie tak jak spot Hołowni o Smoleńsku.

Wracając do CBA – niesłychanie podobało się nam, że podczas debaty sejmowej nad wotum nieufności wobec Maria Kamińskiego poseł Gawkowski z Eselde pokazał na mównicy kajdanki, grożąc swym politycznym przeciwnikom. Jesteśmy dumni, że Gawkowski nawiązuje do trudnych lat pionierskiej działalności lewicy w Polsce. W owych czasach były i inne tej działalności symbole, nie tylko kajdanki. Także piwnice, odwrócone taborety, no i zwykła, lecz skuteczna broń palna. Owe pionierskie lata, przypomnijmy, przypadają głównie na lata 40. i 50. XX stulecia.

Uwaga, niemiecka Fundacja Konrada Adenauera za tydzień z kawałkiem będzie rękami ambasadora RFN wręczać polskim dzieciom nagrody za najlepsze prace zgłoszone do konkursu „Wybaczenie". Zawsze to interesujące, kiedy ludożercy uczą zjadanych barbarzyńców prawdziwego znaczenia słowa „wybaczać". Przecież oni też cierpieli. Na niestrawność.

Apropos trudnych relacji polsko-niemieckich. Mało kto wie, że Polka, pewna pani, która kierowała przez lata polskim oddziałem Instytutu Goethego w Warszawie, w nagrodę kontynuuje swą misję jako ważna figura w Niemczech, w głównych władzach instytutu. Biorąc pod uwagę cele instytutu, uważamy, że owa pani szkodzi Polsce i jej interesom bardziej niż Gerhard Schröder, kiedy został dyrektorem w Gazpromie. Rozważamy więc, czy by tu o niej więcej nie napisać.

Rzecznik dyscypliny finansów publicznych wszczął tymczasem postępowanie w sprawie byłego ambasadora w Japonii niejakiego Izydorczyka. Facet zrobił sobie parę minut sławy, jadąc po dyrektorze generalnym MSZ w mediach nieprzepadających za dobrą zmianą. „Zapomniał" poinformować, że nie wyleciał z placówki za obronę demokracji, lecz nader swobodny stosunek do grosza publicznego. A swoją drogą, że też nie wpadliśmy na to, żeby wypłacać żonie diety w delegacji.

Na koniec rzecz najważniejsza. Lodówka. Fridgegate wstrząsa Platformą Łobywatelską. Jak zapewne słyszeliście, bo „Superak" napisał, „wraz z odejściem Grzegorza Schetyny z pomieszczenia, które było jego gabinetem, zniknęła także lodówka na wino i wartościowa papierośnica na cygara". „Nie wiem, gdzie jest ta lodówka" – odpowiada Borysław BoBu Budka, a żałobę pogłębia to, że lodówkę władze partii dostały wiele lat temu od Janusza Palikota. Rzadko zdarzają się anegdoty, które w cudnym skrócie oddają na 100 proc. charakterystykę jakiejś partii. To właśnie jedna z takich historyjek. ©℗

REKLAMA

Kup
ubezpieczenie
OC
już od 376 zł rocznie!
w rewelacyjnej cenie!

LINK 4

Sprawdź
22 444 44 44
www.link4.pl lub zapytaj Agenta

Cena zależna od wielu zmiennych. Składka 376 zł: na dzień 6.09.19 r., kierowca 55 lat, prawo jazdy 33 lata, pow. myślenicki, historia ubezp. pow. 4 lat, brak szkód. FIAT Seicento 0.9 Kat 2000 rok. Sprawdź swoją cenę. Szczegółowe informacje oraz wyłączenia odpowiedzialności znajdziesz w OWU na www.link4.pl

REKLAMA

eprasa.pl 631be42f7a

Krystian Kratiuk

Wbrew usilnym prośbom progresywnych biskupów papież Franciszek nie zniósł kapłańskiego celibatu. Czy zapisy adhortacji „Querida Amazonia" mogłyby brzmieć inaczej, gdyby nie wyjątkowo silny opór w łonie Kościoła?

Zwycięstwo konserwatystów?

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. TIZIANA FABI/AFP/EAST NEWS

Długo oczekiwana adhortacja papieża Franciszka okazała się wielkim rozczarowaniem dla postępowych komentatorów. Nie zawiera bowiem ani zgody na wyświęcanie kobiet, ani nie znosi celibatu kapłanów, choćby tylko na terenie Amazonii. Jednak czy wszystko aby na pewno jest jasne?

CZY BYŁY NA TO SZANSE?

O ile postulat wyświęcania kobiet od początku nie przypadł papieżowi do gustu (choć Franciszek w swym „dialogicznym" stylu reaktywował komisję mającą ustalić, czy to w ogóle możliwe), o tyle można było odnieść wrażenie, że w sprawie celibatu decyzje ważyły się do ostatniej chwili. Po kolei jednak.

W dokumencie roboczym zeszłorocznego synodu ds. Amazonii zamieszczono – do rozważenia – propozycję wyświęcania na kapłanów tzw. viri probati, a więc sprawdzonych w swym środowisku żonatych mężczyzn, żyjących „po Bożemu" i mających stabilną rodzinę. Czym argumentowano ten pomysł? Otóż Amazonia jest rozległym terenem, w którym w odległych od siebie miejscach, zwłaszcza w dżungli, żyją ochrzczeni pozbawieni dostępu do mszy świętej. Do niektórych wspólnot kapłani docierają zaledwie raz na kilkanaście miesięcy. I to właśnie „duszpasterską troską o zapewnienie częstego uczestniczenia w Eucharystii" tłumaczono postulat zniesienia kapłańskiego celibatu.

Propozycja ta wywołała liczne kontrowersje. Sekretariat synodu tłumaczył jednak, że zawarto ją w dokumencie roboczym na prośbę biskupów z Amazonii, którzy sami już dawno wpadli na ten pomysł, ale aby go zrealizować, potrzebne były rewolucyjne decyzje samego papieża. A synod mógłby podjęcie takich decyzji ułatwić.

Tuż przed rozpoczęciem synodu – wpływowy podczas obecnego pontyfikatu – kard. Walter Kasper (nazywany nawet przez niektóre media „teologiem papieża Franciszka") zapowiedział, że jeśli synod poprosi papieża o zniesienie celibatu, to „Ojciec Święty zapewne to uczyni". Przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec kard. Reinhard Marx oznajmił zaś, że zniesienie celibatu „byłoby ważnym krokiem nie tylko dla Amazonii".

Już podczas samego synodu postulat wyświęcania viri probati powrócił,

eprasa.pl 631be42f7a

choć nie stanowił głównego tematu obrad biskupów, za to najbardziej interesował media – w tym te na co dzień zupełnie niezajmujące się wewnętrznymi sprawami Kościoła. Podczas obrad dało się jednak usłyszeć, że celibat jest… „nienaturalny" dla amazońskich plemion, i że może to być kolejny argument za jego ograniczeniem.

Okazało się, że zdecydowana większość ojców synodalnych popiera pomysł radykalnych zmian i otrzymał on niezbędne poparcie dwóch trzecich głosów. Punkt ów wzbudził co prawda najwięcej kontrowersji wśród uczestników synodu (przeciwko jego przyjęciu głosowało 41 z nich, żaden inny punkt nie spotkał się z tak liczną opozycją), ale biskupów delegatów na synod wybrano z takiego klucza, by 128 z nich podniosło rękę za zniesieniem obowiązkowego celibatu dla kapłanów posługujących w Amazonii.

Tak więc ostatecznie ojcowie synodalni oficjalnie zwrócili się do papieża o „ustanowienie kryteriów i przepisów ze strony właściwego organu, aby umożliwić wyświęcanie na kapłanów odpowiednich i sprawdzonych żonatych diakonów – członków ludu Bożego z danej wspólnoty, zapewniwszy im uprzednio odpowiednią formację".

Najważniejsze jednak zdanie tego punktu to zdanie ostatnie, brzmiące: „Niektórzy ojcowie synodalni opowiadali się za uniwersalnym podejściem do tego tematu". Chodziło im zatem o możliwość wyświęcania żonatych mężczyzn na kapłanów nie tylko w Amazonii, lecz także w innych miejscach Kościoła powszechnego. Stało się jasne, że w synodzie amazońskim chodzi więc nie tylko o rozwiązania dla południowoamerykańskiej dżungli, lecz także że nieprecyzyjnie napisana adhortacja papieża może otworzyć pole do dowolnej interpretacji biskupom w innych miejscach świata – tak było przecież z adhortacją „Amoris laetitia" i recepcją fragmentów dotyczących Komunii Świętej dla rozwodników żyjących w nowych związkach.

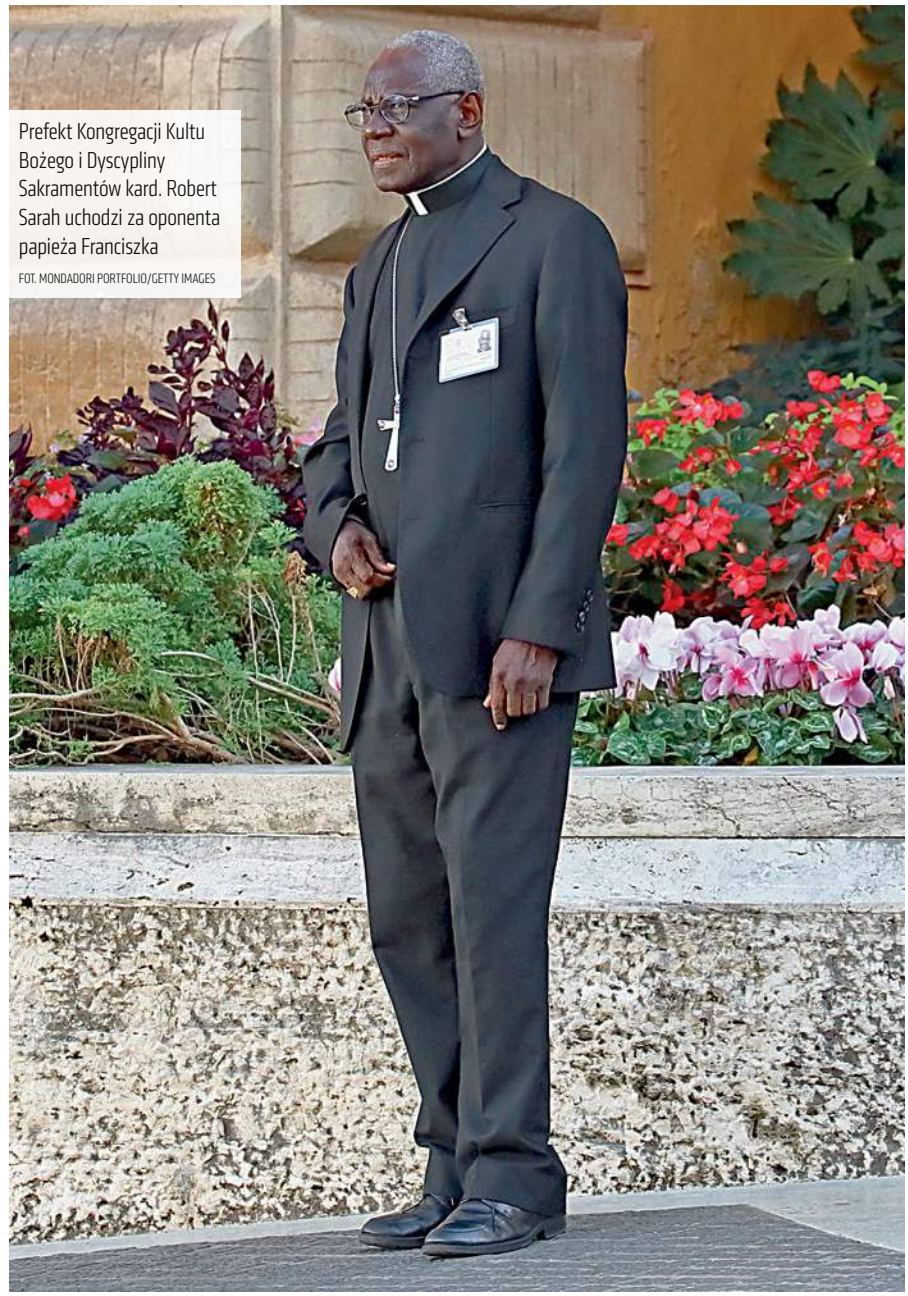

Prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów kard. Robert Sarah uchodzi za oponenta papieża Franciszka

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

BITWA O KSZTAŁT ADHORTACJI

Papież nie ukrywał swego entuzjazmu dla przebiegu synodu i jego wyników, choć unikał odnoszenia się do poszczególnych punktów dokumentu końcowego. W Kościele zaś rozpoczęła się batalia o kształt papieskiej adhortacji – szczególnie właśnie w kwestii celibatu.

W mediach latynoamerykańskich potrzebę powołania viri probati potwierdzali biskupi krajów Amazonii. W Europie liczni hierarchowie – szczególnie niemieckojęzyczni – promowali ten pomysł. Biskup niemieckiego Essen, Franz-Josef Overbeck, przekonywał, że „dawny czas" już definitywnie minął i konieczne są zupełnie nowe rozwiązania dla Kościoła. Stwierdził nawet, że „księża powinni otrzymywać dyspensę i pojmować żony, bo bez tego Kościół nie przetrwa".

Bardziej umiarkowany był kard. Christoph Schönborn, gdyż przyznał, że wyświęcanie żonatych diakonów na prezbiterów „byłoby niewątpliwie bardzo dużym przeskokiem i wiązałoby się z licznymi trudnościami, bo tacy diakoni mają przecież swoje życie zawodowe, ale rzecz nie jest zasadniczo niemożliwa i posługa viri probati jest możliwa równolegle do posługi celibatariuszy". Purpurat podkreślił jednak, że „podstawową formą" kapłaństwa w Kościele rzymskokatolickim jest celibat, który określił mianem skarbu.

Doszło nawet do tego, że Konferencja Episkopatu Austrii (w tym wspomniany kard. Schönborn) gremialnie i oficjalnie poparła prośbę synodu amazońskiego o zgodę papieża na wyświęcanie żonatych mężczyzn na księży.

Ożywili się jednak również konserwatyści – a konkretnie dobrze już znana niewielka grupa hierarchów mająca odwagę opierać się zarówno krzykliwej progresywnej mniejszości, jak i wyłamać się z grona wciąż przecież w takich

eprasa.pl 631be42f7a

sprawach milczącej większości biskupów całego świata.

I tak celibatu bronił m.in. bp Athanasius Schneider, pomocniczy biskup Astany. Odniósł się do padających podczas synodu stwierdzeń, jakoby mieszkańcy Amazonii byli niezdolni do zachowania celibatu – uznał taki pogląd za rasistowski oraz dyskryminujący, gdyż „wszystkie ludy i plemiona wezwane są do świętości". Duchowny przyznał również, że istnieje pewne podobieństwo tezy o niezdolności do zachowania celibatu do poglądów zwolenników dopuszczenia niektórych rozwodników w nowych związkach do Komunii – obydwa sądy opierają się bowiem na twierdzeniu, jakoby istniały grupy osób niezdolnych do wypełniania pewnych zasad religijnych. Chociaż oczywiście między jednym a drugim istnieje różnica – wszak celibat, w przeciwieństwie do zakazu cudzołóstwa, nie jest przykazaniem, lecz szczególnym powołaniem danym pewnym ludziom.

Głos zabierał wielokrotnie również były prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller – podczas licznych wystąpień przypomniał historię Kościoła i głębokie zakorzenienie praktyki celibatu w obrzędach sakramentu święceń oraz fakt, że kapłan reprezentuje Chrystusa, który przecież żył w celibacie. Stanowczo zaprzeczał również, jakoby zniesienie bezżeństwa mogło zapobiec wykorzystywaniu przez niektórych duchownych osób małoletnich – takie absurdalne argumenty pojawiały się bowiem w mediach liberalno-lewicowych. Niemiecki hierarcha podkreślał, że „w takich twierdzeniach kryje się fałszywa antropologia", a w dodatku przecież przestępstwa takie mają miejsce nie tylko wśród duchownych – a więc nie tylko wśród żyjących w celibacie.

Swego rodzaju nowość w wewnątrzkościelnych debatach stanowiło wystąpienie pozostającego od kilku lat w cieniu emerytowanego kard. Camillo Ruiniego – jednego z najbliższych współpracowników Jana Pawła II. Wystąpił jednoznacznie w obronie obowiązkowego celibatu, przywołując autorytet wyniesionego na ołtarze papieża Polaka, który – zdaniem włoskiego duchownego – „nie wyobrażał sobie zniesienia celibatu".

INTERWENCJA „PAPIEŻA SENIORA"?

Naprawdę wysoką temperaturę debata osiągnęła jednak po zabraniu głosu przez dwóch innych hierarchów – „emerytowanego papieża" Benedykta XVI i prefekta Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów kard. Roberta Saraha. Książka zawierająca teksty obu duchownych wywołała w Watykanie istną burzę – a także nieskrywaną wściekłość progresistów.

Bomba wybuchła w połowie stycznia. Kardynał Sarah poinformował, że lada dzień światło dzienne ujrzy książka napisana przezeń wspólnie z Benedyktem XVI. Publikacja nosi tytuł „Z głębi naszych serc", a poświęcona jest w całości obronie kapłańskiego celibatu.

W tym momencie w mediach społecznościowych podniósł się niebywały rwetes ujawniający prawdę skrzętnie ukrywaną do tej pory przez progresywnie nastawioną część Kościoła – otóż okazało się, że zwolennicy zmian są w dyskusjach wręcz absurdalnie brutalni. Zaczęła się bowiem agresywna nagonka – i to nie na byle kogo, ale na „papieża seniora". Pisano o nim, że lepiej by umarł, że zapomniał, iż miał pozostać ukryty dla świata i milczeć, że jest już niedołężnym starcem, którego otoczenie powinno lepiej chronić przed prowokacjami ze strony tak nieprzejednanych wrogów papieża Franciszka, jakim ma być rzekomo kard. Sarah. Sam gwinejski hierarcha otrzymał nie mniej poważne ciosy – oskarżono go o kłamstwo, o wykorzystanie niczego nieświadomego Benedykta XVI i oczywiście, a jakże, o prowadzenie kampanii wyborczej przed kolejnym konklawe.

Jako że w sferze publicznej wciąż pokutują mylne przekonania na temat postawy kard. Saraha, przypomnijmy pokrótce jego wersję wydarzeń. Kardynał Sarah opublikował bowiem w Internecie listy, które wymienił z Benedyktem. Opisał, jak wysłał do niego list z prośbą o napisanie tekstu na temat kapłaństwa, ze szczególnym uwzględnieniem celibatu, do publikacji w gazetach. Po dwóch tygodniach dotarła doń odpowiedź, w której były papież wyznał, że sam – zanim dostał list kardynała – zaczął pisać tekst na ten temat i że przekaże kardynałowi gotowy tekst, gdy zostanie on przetłumaczony na język włoski. Gdy do tego doszło, kardynał – biorąc pod uwagę objętość i jakość tekstu – uznał, że nie można go opublikować w gazecie lub czasopiśmie, i zaproponował Benedyktowi XVI wydanie książki złożonej z tekstu papieża seniora i własnego tekstu pisanego w tym samym czasie. Po wymianach zdań na temat książki 19 listopada kardynał przekazał jej wydruk, zawierający okładkę, wspólne wprowadzenie i konkluzje.

Przypomnienie tych wydarzeń wydaje się bardzo ważne z jeszcze jednego punktu widzenia – otóż kilkanaście godzin po rozpętaniu się afery w mediach społecznościowych głos zabrał sekretarz „papieża seniora" abp Georg Gänswein, który – wbrew upublicznionym listom – sugerował, że papież Benedykt XVI nie wiedział, że książka będzie jego współautorstwa i że jego zdjęcie znajdzie się na jej okładce.

Wszystko to przypominało jakąś paskudną grę, w której chodzi o wycofanie się Benedykta XVI z podjętej już decyzji i z zabrania głosu w tej niezwykle ważnej wewnątrzkościelnej debacie. Arcybiskup Gänswein zapowiedział, że kolejne wydania książki „Z głębi naszych serc" będą podpisane „Kardynał Sarah przy wkładzie Benedykta XVI" – tak jakby miało to jakiekolwiek znaczenie dla wagi tekstu napisanego przez byłego papieża. A jednak abp Gänswein zdecydował się na podważenie prawdomówności zaprzyjaźnionego z Benedyktem kard. Saraha, na którego spadła po tym kolejna fala zmasowanej krytyki. Skąd więc ten ruch arcybiskupa? Niektórzy komentatorzy sugerowali, że otrzymał on takie polecenie od władz Watykanu – warto bowiem pamiętać, że abp Gänswein nie pełnił wówczas wyłącznie funkcji osobistego sekretarza „papieża seniora", lecz także funkcję prefekta Domu Papieskiego – podlegał więc bezpośrednio papieżowi Franciszkowi. Plotki o „srogim zdenerwowaniu" w Watykanie po dopuszczeniu do publikacji książki Benedykta XVI potęguje tylko decyzja o wysłaniu przez Franciszka abp. Gänsweina na bezterminowy urlop – decyzję tę ogłoszono na kilka dni przed publikacją adhortacji „Querida Amazonia"...

W tym czasie Biuro Prasowe Watykanu, komentując zapowiedź publikacji książki kardynała i byłego papieża, przypomniało wypowiedź papieża Franciszka z konferencji prasowej na pokładzie samolotu lecącego do Rzymu z Panamy, gdy Ojciec Święty powiedział: „Przychodzi mi na myśl pewne zdanie św. Pawła VI: Wolę oddać życie niż zmienić prawo dotyczące celibatu". I dodał: „Osobiście uważam, że celibat jest darem dla

eprasa.pl 631be42f7a

Kościoła. Nie zgadzam się, by pozwolić na celibat opcjonalny: mogłaby jedynie pozostać taka możliwość w miejscach najodleglejszych – myślę o wyspach Pacyfiku [...], kiedy istnieje potrzeba duszpasterska, tam pasterz musi myśleć o wiernych".

Czy myśląc o wyspach Pacyfiku i potrzebie duszpasterskiej, papież miał na myśli dokładnie to miejsce, czy tylko podawał przykład, który mógłby zostać przecież odniesiony do Amazonii? Tego nie wyjaśniono.

Powstają jednak inne pytania, np.: Czy Benedykt XVI zdawał sobie sprawę, że zabranie przezeń głosu w tej debacie może odwrócić jej losy, i czy uczynił to w takiej właśnie intencji? Czy papież Franciszek, gdyby chciał przystać na prośbę ojców synodalnych, zmieniłby zdanie pod wpływem zamieszania wokół książki swego poprzednika? Czy ktokolwiek, w Watykanie i w Kościele powszechnym, wyobraża sobie sytuację, w której papież emeryt mówi coś skrajnie odmiennego niż urzędujący papież o tak zasadniczej kwestii jak celibat?

Pytania te potęguje z pewnością jeszcze jedna przesłanka – otóż opublikowanie adhortacji Franciszka było kilkakrotnie odkładane w czasie. Tuż po synodzie Watykan zapewniał, że stanie się to bardzo prędko, już do końca roku 2019, gdyż papieżowi bardzo podobał się dokument końcowy synodu. W okolicach Bożego Narodzenia było już jasne, że ta obietnica nie zostanie dotrzymana – termin przesunięto na styczeń. W styczniu zaś odsunięto go „jeszcze o kilka tygodni", by w końcu adhortacja ujrzała światło dzienne 12 lutego. Warto przy tym odnotować, że w drugiej połowie stycznia do biskupów na całym świecie zwracał się poufnie brazylijski kard. Cláudio Hummes, prosząc ich o przygotowanie się do entuzjastycznego przyjęcia adhortacji, która wnosi sporo nowego.

KTO JAK TO SOBIE ZINTERPRETUJE

Co zatem papież Franciszek napisał o celibacie w swej adhortacji? Otóż… nic. Owszem, sporo miejsca poświęcił kwestii kapłaństwa i „inkulturacji posługi", a pewne fragmenty „Querida Amazonia" wprost można interpretować jako skierowane do tych, którzy pragnęliby zniesienia celibatu. I tak np. w punkcie 90. czytamy: „Ta nagląca potrzeba skłania mnie do zachęcenia wszystkich biskupów, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, by nie tylko krzewili modlitwę o powołania kapłańskie, lecz także byli bardziej szczodrzy, ukierunkowując tych, którzy okazują powołanie misyjne, do wyboru Amazonii" – a więc odpowiedź na prośbę o rozwiązanie problemu terytorialnych trudności w docieraniu do ludów Amazonii papież rozwiązuje sugestią pracy nad nowymi powołaniami oraz bardziej ochoczym kierowaniem misjonarzy na ten teren. Tak to z pewnością zinterpretują konserwatyści.

Jednak – jak to zostało już powiedziane wcześniej – dokumenty papieża Franciszka odznaczają się pewną charakterystyczną cechą: otóż różni biskupi potrafią je interpretować całkowicie odmiennie. I tak np. zarówno Piotr Sikora z „Tygodnika Powszechnego", jak i Paweł Chmielewski z PCh24.pl zauważyli, że na początku nowej adhortacji papież Franciszek zaznacza wyraźnie, że jego tekst nie zastępuje dokumentu końcowego synodu. Co więcej: papież „oficjalnie przedstawia" ów dokument synodalny. Takie sformułowanie pojawia się pierwszy raz w historii posynodalnych adhortacji. A przecież dokument synodu postulował wyświęcanie żonatych, zaś papież w „Querida Amazonia" w tej sprawie nie zajął wprost żadnego stanowiska.

Co może zatem oznaczać to, że papież „oficjalnie przedstawia" dokument synodu? Czy to realizacja ścieżki przedstawionej w konstytucji apostolskiej „Episcopalis communio" z 2018 r., w której zapisano, że dokument końcowy synodu może mieć udział w nauczaniu zwyczajnym Ojca Świętego, jeśli tylko papież o tym zdecyduje? „Episcopalis communio" wskazuje, że owocem prac sesji synodu jest dokument końcowy. Jeśli jest on wyraźnie zaaprobowany przez ojców synodalnych i przez Ojca Świętego, to ma udział w papieskim nauczaniu zwyczajnym. Jeśli zgromadzenie synodalne zostanie wyposażone przez biskupa Rzymu w głos decydujący, zgodnie z kanonem 343. Kodeku Prawa Kanonicznego i kiedy dokument końcowy jest ratyfikowany i promulgowany przez następcę św. Piotra, wtedy uczestniczy w papieskim nauczaniu zwyczajnym. W takim przypadku dokument końcowy ma być opublikowany z podpisem Ojca Świętego oraz członków synodu. Czy więc „oficjalne przedstawienie" dokumentu synodu amazońskiego zawarte w punkcie 3. „Querida Amazonia" spełnia te kryteria?

Rzecznik Watykanu stwierdził, że nie – dodając jednak tajemniczo – iż „wszystkie zapisy dokumentu końcowego powinny być odczytywane przez pryzmat adhortacji".

Jednak już godzinę później bliski Franciszkowi, wspomniany uprzednio, kard. Schönborn podkreślił doniosłość „oficjalnego przedstawienia" dokumentu synodalnego w adhortacji. Jego zdaniem najnowsza adhortacja to „fundamentalne »tak« papieża dla wyników synodu dla Amazonii bez natychmiastowego przekładania tych wyników na konkretne działania. Ten ostateczny dokument ma dla Franciszka dużą wagę, taką jakiej nie miały do tej pory inne dokumenty synodalne". Austriacki hierarcha mówi wprost: „W związku z ewentualnym rozszerzeniem wyjątków od celibatu synod dla Amazonii otworzył drzwi, ale papież najwyraźniej nie zamknął ich ponownie, a w każdym razie Franciszek nie oferuje prostych rozwiązań". Zdaniem kardynała „doświadczenie synodu pokazało także, jak bardzo słuszne jest to, że papież nie podejmuje czarno-białych decyzji". Przyznał również, że wie, iż pewne grupy będą rozczarowane dokumentem, ale według hierarchy rozczarowani będą zarówno ci, którzy oczekiwali wyraźnego „tak", jak i ci, którzy żądali wyraźnego „nie" dla wyjątków od celibatu. Stanowisko kard. Schönborna można rozumieć wyłącznie albo jako podkreślenie paramagisterialnej wagi dokumentu końcowego synodu, albo jako zwyczajne tworzenie zamętu.

Jedno jest jednak pewne – progresiści mogą zechcieć zinterpretować owe zapisy nowej adhortacji po swojemu. Zresztą po jego publikacji nie kryli zadowolenia, choć może być ono oczywiście strategią utrzymywania dobrej miny do złej gry. Skoro jednak przedstawicielom niemieckiego Kościoła wolno iść własną „drogą synodalną" i nie są za to w żaden sposób ukarani przez Watykan (mimo głoszenia nauk jawnie sprzecznych z moralnością katolicką, choćby w kwestii oceny aktów homoseksualnych) czy rzeczywiście trudno sobie wyobrazić amazońskiego (albo i znów niemieckiego!) biskupa, który wprowadza posługę viri probati, gdyż uznał, że skoro papież nie powiedział „nie", a dokument synodalny mówi „tak", to znaczy, że wolno?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym „Polonia Christiana".

eprasa.pl 631be42f7a

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 631be42f7a

Kamila Baranowska

Powolna rozgrzewka

Pięć lat temu siłą Andrzeja Dudy był skuteczny i sprawnie działający sztab. Od tego, czy obecny okaże się równie zgraną drużyną, będzie w dużej mierze zależeć wyborczy sukces prezydenta

Szału nie ma – odpowiada jeden z polityków PiS, kiedy pytamy go o kampanię prezydenta Andrzeja Dudy i wrażenia z działalności sztabu wyborczego. Trudno o lepsze podsumowanie tych pierwszych dni kampanii i zderzenie oczekiwań z rzeczywistością.

Kampania prezydencka oficjalnie ruszyła w pierwszym tygodniu lutego. Było zatem dużo czasu, żeby się do niej solidnie przygotować. Sądząc po wypowiedziach zarówno polityków PiS, jak i ludzi z otoczenia prezydenta Andrzeja Dudy, wszyscy mieli świadomość, że stawka tych wyborów jest wysoka, a wygrana może być trudniejsza niż pięć lat temu. Mając w pamięci profesjonalizm tamtej kampanii, jej dobrą organizację, przemyślaną strategię i ciężko pracujących na sukces sztabowców, można było przypuszczać, że teraz będzie tak samo. Albo nawet lepiej. A jak jest? Okazuje się, że sztab, którego skład powinien być znany od dawna i który od wielu tygodni powinien już po cichu pracować nad kampanią, powstawał za pięć dwunasta i do końca nie było wiadomo, kto stanie na jego czele. Początkowo miała to być Beata Szydło jako nawiązanie do zwycięskiej kampanii sprzed pięciu lat oraz odpowiedź na kobiecą twarz po stronie głównej partii opozycyjnej. Jednak zbyt wiele osób w obozie Zjednoczonej Prawicy uznało, że to zły pomysł, bo za bardzo wzmocniłby Szydło, także sam Andrzej Duda nie był jednoznacznie pewien tego rozwiązania. Wobec wątpliwości i wewnątrzpartyjnych podziałów Jarosław Kaczyński zdecydował, że będzie dwóch szefów sztabu i drugim, od spraw organizacyjnych, będzie Joachim Brudziński. On sam, jak słyszymy, niespecjalnie palił się do objęcia tej funkcji, ale prezes nie pozostawił mu wyboru. Brudziński ma zadbać o to, by w czasie kampanii panował spokój, jeśli chodzi o wewnątrzpartyjne i wewnątrzkoalicyjne rozgrywki. Innymi słowy – by nikomu nie przyszło do głowy wykorzystanie tego newralgicznego dla PiS czasu do walki o własne wpływy. Teraz wszyscy, bez względu na sympatie, mają grać do tej samej bramki. – Już raz przed wyborami parlamentarnymi Joachim skutecznie wziął to wszystko za twarz tak, że był względny spokój. Teraz ma to samo zadanie – mówi nam dobrze zorientowany polityk PiS.

ZA DUŻO GENERAŁÓW

Problem w tym, że zarówno Szydło, jak i Brudziński są europosłami, siłą rzeczy nie będą mogli poświęcić całego swojego czasu działalności kampanijnej, bo będą musieli bywać także w Brukseli. Starzy kampanijni wyjadacze, z którymi rozmawiamy, kręcą z niedowierzaniem głowami, że można było w ogóle wpaść na taki pomysł.

– W kampanii kluczowe jest bycie na bieżąco i reagowanie natychmiastowe, zanim jakaś informacja zacznie żyć własnym życiem. Trudno to zrobić, gdy dwie najważniejsze osoby będą poza Warszawą. Wiadomo, że są telefony, e-maile itd., ale to nie to samo i wie to każdy, kto kiedykolwiek robił kampanię – opowiada mi jeden z nich.

– Powoływanie sztabu zaczyna przypominać to, co działo się u Bronisława Komorowskiego. Tam w kampanii działały dwa niezależne od siebie sztaby: partyjny i osobny w Kancelarii. Czym to się skończyło, dobrze pamiętamy. Nie bardzo wiem, jak miałoby wyglądać podwójne dowodzenie, a pamiętajmy, że oprócz tego będzie jeszcze osobne centrum dowodzenia w samej Kancelarii Prezydenta RP, które też będzie zaangażowane w kampanię. Za dużo tych generałów, zwłaszcza że jak przyjdzie co do czego, to nie będzie wiadomo, kto jest decyzyjny i kto ma wziąć odpowiedzialność za całość – dodaje nasz następny rozmówca.

W 2015 r. kluczem do sukcesu Andrzeja Dudy był wąski, decyzyjny i skutecznie działający sztab, na który z zazdrością

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

spoglądali sztabowcy kontrkandydatów. – Przede wszystkim tam nie było gwiazd, a wszyscy, którzy do niego weszli, traktowali to jako niepowtarzalną szansę na polityczne zaistnienie, dlatego każdy gryzł ziemię i panowała ogromna determinacja. Tym większa, że nikt nie wierzył w sukces Andrzeja Dudy – opowiada mi jeden z ówczesnych sztabowców. – Dzisiaj jest odwrotnie. Szanse prezydenta na reelekcję są spore, wspomnienie dobrej kampanii wciąż żywe, więc niejedna osoba chce się ogrzać w cieple sukcesu. Pytanie, ile naprawdę będzie ludzi do ciężkiej pracy po godzinach – wskazuje.

Pięć lat temu od początku wiadomo było także, że osobą rozstrzygającą spory i zatwierdzającą decyzje jest w sztabie Beata Szydło, która choć doświadczenia kampanijnego nie miała, to miała cechę, za którą bardzo chwalili ją współpracownicy – słuchała i potrafiła dać się przekonać, nawet jeśli początkowo podchodziła do czegoś sceptycznie. Znaczenie miało też to, że Szydło pozostawała jednocześnie skarbnikiem partii.

– Pamiętam, jak to wyglądało w wyborach prezydenckich w 2010 r. Rano sztab spotykał się i ustalał działania, planował dzień, jakieś eventy, a koło południa zjawiał się na Nowogrodzkiej Staszek Kostrzewski [ówczesny wieloletni skarbnik PiS – przyp. red.] i mówił, że na to i na to nie ma pieniędzy i koniec. Aby cokolwiek wywalczyć, trzeba było pielgrzymować do prezesa, a to zabierało czas, energię, a na koniec i motywację. W kampanii Andrzeja było inaczej. Beata na miejscu podejmowała wszystkie decyzje, więc jak na sztabie coś zaplanowano, to od razu można było to robić. To niesamowicie ułatwiało pracę – wspomina jeden z polityków PiS, który brał udział w kilku kampaniach wyborczych: i prezydenckich, i parlamentarnych.

Szydło była też murem oddzielającym sztab od wszelkich zewnętrznych doradców, którzy na pewnym etapie, gdy sondaże Andrzeja Dudy zaczęły iść do góry, zaczęli pojawiać się na Nowogrodzkiej. To ona chodziła do Jarosława Kaczyńskiego i przekonywała, by dać sztabowi działać według dotychczasowej, szczegółowo rozpisanej i przebadanej strategii i by nic w niej nie zmieniać. Po nieudanym eksperymencie z przygotowaniem Andrzeja Dudy do pierwszej debaty, za którą nie odpowiadali ludzie ze sztabu, Jarosław Kaczyński przyznał jej rację. Od tamtej pory sztab miał więc względny spokój, choć rozmaici doradcy pojawiali się nadal z własnymi wizjami, strategiami i badaniami.

Dzisiaj problemów, które musi poukładać sobie sztab, jest więcej. Wielość ośrodków decyzyjnych to jeden z ważniejszych. Współpraca między Kancelarią Prezydenta, rządem, Sejmem a partią musi być w jakimś stopniu skoordynowana i spójna, bo inaczej wszystko się posypie. Tymczasem do dziś nie wyznaczono chociażby rzecznika sztabu. To wbrew pozorom bardzo ważna funkcja, bo odpowiada za koordynację komunikacyjną. W kampanii wyborczej spójność przekazu medialnego to sprawa kluczowa, zwłaszcza gdy skoordynować trzeba działania tak wielu różnych ciał. W 2015 r. za jednolitość przekazu odpowiadali Marcin Mastalerek i Krzysztof Łapiński. Wprowadzono dyscyplinę wystąpień medialnych, przebadano, kto jest przez ludzi dobrze odbierany, a kto źle, i nie wysyłano do mediów przypadkowych osób. Każdy poseł, który szedł do radia lub telewizji, miał za zadanie bez względu na to, o co był pytany, wpleść aktualny przekaz kampanijny.

– To dopiero początek, czas ucierania się sztabu i wyciągania wniosków na przyszłość. Będą pojawiać się jakieś niedopatrzenia, ale lepiej, żebyśmy przećwiczyli je teraz w lutym niż w kwietniu czy maju, na finiszu kampanii – odbija piłeczkę jeden ze sztabowców. Za takie niedopatrzenie sztab uważa wypowiedź prezydenta w wywiadzie dla tygodnika „Wprost" o jego ewentualnej zgodzie na uregulowanie statusu osoby najbliższej, co zostało odczytane jako poparcie dla legalizacji związków partnerskich.

PLAN SIĘ TWORZY

O wiele większym problemem wydaje się spór o reformę sądownictwa i tego, jak nowa odsłona tego sporu może wpłynąć na notowania prezydenta. Zdania na ten temat w samym obozie Zjednoczonej Prawicy są mocno podzielone. Gorzej, że równie niejednoznaczne są rozmaite badania, z którymi różni ludzie

eprasa.pl 631be42f7a

przychodzą do prezesa Kaczyńskiego, by przekonać go, że w kampanii z sędziami trzeba pójść na ostro, bo polaryzacja pomaga mobilizować wyborców, lub że wręcz przeciwnie, trzeba nieco złagodzić linię, by nie zaszkodzić prezydentowi.
– I każdy ma na to swoje badania. Nic dziwnego, że i prezes jest trochę skołowany – mówi nam rozmówca z PiS.

Sam Andrzej Duda miał kilka zaskakująco ostrych wypowiedzi na temat sędziów, a od momentu podpisania ustawy dyscyplinującej stał się nieomal twarzą tych zmian. Pytamy więc w PiS, czym się kierował, idąc tak ostro, i w odpowiedzi słyszymy, że własną oceną sytuacji, bo jest prawnikiem.

To dość zaskakujące podejście, zważywszy na to, że pięć lat temu większość deklaracji, które Andrzej Duda składał w kampanii, i większość tego, co mówił, była efektem szczegółowych badań dotyczących oczekiwań społecznych i głównych osi sporu politycznego. Wówczas partia miała bardzo dobrze rozrysowaną segmentację wyborców i pilnowała, by każda grupa społeczna była przez ich kandydata doceniona i by o każdej pamiętał. – Nie wyobrażam sobie, byśmy wtedy serwowali kluczową narrację, ustawiającą kampanię na czuja, nie mając na to mocnych badań – mówi jeden z ówczesnych sztabowców. – Jeśli badania są sprzeczne, to logiczne, że należy się wstrzymać i nie brnąć w temat. Jeśli nie da się go całkiem ominąć, to skupić się na minimalizowaniu strat, a nie stawać się twarzą rewolucji – dodaje.

Plan kampanii dopiero się tworzy. Jest wstępny zarys tematów, które mają być poruszane w poszczególnych tygodniach, ale nie ma tak dobrze jak pięć lat temu przebadanej segmentacji wyborców i ich konkretnych oczekiwań: czego chcą, czego się najbardziej boją, co powinno być główną osią sporu. Czy taki plan będzie? Słyszymy, że tak. Pytanie tylko, czy to wszystko nie dzieje się za późno.

Zdecydowaną przewagą i najmocniejszym atutem PiS nad innymi partiami w tych wyborach jest sam kandydat. Andrzej Duda jest dobrze oceniany przez wyborców, lubiany, a do tego pracowity. Podczas swojej prezydentury wykonał dużą pracę, objeżdżając wszystkie powiaty w Polsce i ściskając miliony rąk. Takie rzeczy procentują. Ma też coś, co wielokrotnie ratowało go przed poważnymi kryzysami wizerunkowymi. To coś jedni nazywają instynktem, inni inteligencją emocjonalną. Ostatni przykład to reakcja na obecność na jednym ze spotkań wyborczych młodego chłopaka z proekologicznym transparentem: „Chroń klimat, chroń ludzi". Zgromadzeni próbowali wyprosić go z sali. Prezydent zainterweniował i zszedł do niego ze sceny, by na spokojnie porozmawiać. Z punktu widzenia politycznego PR to niemal wzorcowa reakcja w sytuacji kryzysowej.

Warto jednak dodać, że Andrzej Duda także ma swoją specyfikę. Pięć lat temu sztabowcy narzekali choćby na jego skłonność do mówienia „paru słów za dużo". Kandydat swoje kampanijne przemówienia zwykle mówił „z głowy". Od współpracowników dostawał spisanych kilka tez, które w danym przemówieniu powinny się znaleźć, aby utrwalać kampanijny przekaz. Często zdarzało się jednak tak, że kandydat do tego, co mówił, wplatał nieoczekiwanie całkiem nowe wątki, które przykrywały to, co w danym przemówieniu miało wybrzmieć. I które mogły stać się potencjalnym problemem. Sztabowcy szybko odkryli, że przed każdym wystąpieniem wystarczy przypomnieć mu, co ma powiedzieć, i uczulić, że ma się nie wdawać w żadne poboczne dywagacje. Gdy o tym pamiętał i się pilnował, to mówił spójnie i konkretnie. – To była mordercza kampania, Andrzej był ciągle w drodze, ciągle zmęczony, niewyspany i przepracowany. Miał prawo do pomyłek, a my byliśmy od tego, żeby pewnych rzeczy dopilnować, i to działało – wspomina jeden ze sztabowców.

KONKURENCJA I TAK W TYLE

Sztabowcy zwracają jednak uwagę, że nie ma sensu porównywać obecnej kampanii do tej z 2015 r., bo ówczesny Andrzej Duda był innym kandydatem niż ten dzisiejszy. Dzisiaj nie trzeba skupiać się na budowaniu rozpoznawalności kandydata i budowaniu jego „prezydenckości", bo to wszystko Andrzej Duda już ma. Zadaniem sztabu jest raczej pokazanie, że żaden z pozostałych kandydatów nie ma do zaoferowania nic lepszego. Na starcie kampanii nie widać zresztą, by którykolwiek z kandydatów miał w tej kampanii zaskoczyć tak, jak zrobił to Paweł Kukiz w 2015 r. Wówczas sztabowcy Andrzeja Dudy musieli ścigać się z Kukizem o to, który z kandydatów będzie bardziej świeży, bardziej uosabiający chęć zmiany i który mocniej będzie kontrastował z Bronisławem Komorowskim. – Nawet jeśli jest tak, że sztab rodzi się w bólach i pewne rzeczy dopiero zaczynają się docierać, to na tle innych sztabów oraz kandydatów i tak jesteśmy mocno do przodu. Nie można oceniać tego w oderwaniu od kontekstu i okoliczności – tłumaczy jeden z polityków PiS. A te ostatnie sprzyjają Andrzejowi Dudzie. Jego główna konkurentka Małgorzata Kidawa-Błońska nie dość, że popełnia wpadkę za wpadką, to jej sztab rozpoczął niezrozumiałą grę wizerunkową.

– Od kampanii parlamentarnej budowano pozycję Kidawy-Błońskiej jako tej, która ma łączyć, a nie dzielić, zasypywać podziały i łagodzić obyczaje w polityce. Tymczasem niedawna historia z Pucka, gdzie sympatycy KOD i Platformy Obywatelskiej wygwizdali i zwyzywali prezydenta, będącego tam z oficjalną wizytą, po czym zostali pochwaleni przez zadowoloną Kidawę-Błońską, ma się nijak do tego tworzonego od miesięcy wizerunku. Sprawy nie polepszały wcale wypowiedzi w stylu Barbary Nowackiej, która tłumaczyła, że to, co krzyczeli przeciwnicy prezydenta, „to nie był hejt, lecz informacja". Brak spójności i konsekwencji w przekazie kandydatki Platformy będzie działał na rzecz Andrzeja Dudy. Podobnie jak zachowanie mediów, które zdążyło rozwścieczyć uśpionych nieco dobrymi sondażami wyborców PiS. – Jeśli główne media podają, że Andrzeja Dudę wygwizdali mieszkańcy Pucka, nie dodając, że były to osoby, które zwieziono z Warszawy i które robią kampanię Kidawie-Błońskiej, to nic dziwnego, że wyborca PiS się wścieka. To przypomina najgorsze czasy zmowy medialnej z 2015 r., z tą różnicą, że wtedy uczestniczyły w tym jeszcze media publiczne. Wtedy kłamstwa udało się przełamać ruchem oddolnym w mediach społecznościowych i wielkim zaangażowaniem naszych sympatyków, którzy byli autentycznie wkurzeni. W Koalicji Obywatelskiej nie dostrzegają, że właśnie uruchamiają ten sam mechanizm – opowiada jeden ze sztabowców. – Pięć lat temu o tej porze kampania była już na pełnym gazie, było już po wielkiej konwencji inaugurującej, a w Internecie byliśmy kilka długości do przodu przed innymi – narzeka jeden ze współpracowników prezydenta.

Konwencja inaugurująca kampanię Andrzeja Dudy ma się odbyć 15 lutego (już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy"). Może ona nada efekt wow, na który wszyscy czekają? Chociaż politycy PiS pocieszają się, że efekt wow w tej kampanii może wcale nie być potrzebny. Tylko, czy to aby na pewno dobre podejście na samym starcie wyborczej batalii?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Zdrowia

AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH

WIZJONERZY
ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2020–2023"

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020"

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

ORGANIZATOR

DO RZECZY

PARTNERZY MERYTORYCZNI

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

FUNDACJA CARITA

POLSKIE STOWARZYSZENIE DIABETYKÓW

ALIVIA

Federacja Pacjentów Polskich

eprasa.pl 631be42f7a

Z Ryszardem Czarneckim, europosłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Kidawa-Błońska weszła w buty Komorowskiego

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Marionetka!", „Będziesz siedział!", „Przestań kraść!", „Duda, ty ch...!". Takie hasła wykrzykiwali demonstranci, zakłócający wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy w Pucku, podczas setnej rocznicy zaślubin Polski z morzem. Czy tak właśnie będzie wyglądać ta prezydencka kampania?

RYSZARD CZARNECKI: Opozycja wzywa do usunięcia podziałów, a sama nakręca spiralę nienawiści. Problemem nie są same demonstracje opozycji, bo to normalne w demokratycznym państwie. Problemem są wulgarne ataki na głowę państwa czy oskarżanie prezydenta, znanego z uczciwości, o to, że jest złodziejem. Zwolennicy głównej partii opozycyjnej schodzą do poziomu kreta na Żuławach – skądinąd to akurat blisko Pucka. Niestety, przyklaskują temu działacze Platformy oraz jej koalicjantów. Incydent w Pucku to przykład totalnego schamienia w polskiej polityce.

W podobny sposób był atakowany pięć lat temu Bronisław Komorowski.

To prawda. Wtedy jednak potępił to jego główny konkurent, czyli Andrzej Duda. Teraz główna konkurentka atakowanego prezydenta dziękuje tym, którzy go atakowali. Przeciwnicy polityczni przerywali wiece Komorowskiego – fakt. To się jednak zdarza w demokracji, nie tylko zresztą w Polsce. Zakłócano wystąpienia Angeli Merkel czy Emmanuela Macrona. Trudno mieć o to pretensje. Czym innym jest jednak przerywanie przemówień, a czym innym rzucanie fałszywych oskarżeń i grożenie więzieniem, tak jak teraz wobec głowy państwa. Tego wcześniej nie było. PO udowadniała, że głoszona przez nią niegdyś „polityka miłości" to było hasło z gruntu fałszywe, tak jak teraz to „zasypywanie podziałów" to też oszustwo. Mamy do czynienia z podobnym odwróceniem pojęć jak w „Roku 1984". Jak pamiętamy, u George'a Orwella ministerstwo pokoju tak naprawdę zajmowało się prowadzeniem wojen. Podobnie, gdy politycy Platformy Obywatelskiej mówią o miłości, to oczywisty znak, że tak naprawdę będą nam serwować nienawiść.

Z demonstrantami, atakującymi Dudę, spotkała się Małgorzata Kidawa-Błońska. Pytali ją nawet, czy ich agresywne okrzyki „było słychać". A przecież kandydatka na prezydenta miała być tą milszą, sympatyczniejszą, bardziej koncyliacyjną twarzą Platformy. Tak ją postrzegali nawet przeciwnicy PO. Co się z nią stało? Uległa presji agresywnej kampanii?

Pani Kidawa-Błońska skrupulatnie usuwa gumką myszką ten wstydliwy dziś dla niej fakt, że była kiedyś rzeczniczką rządu Donalda Tuska. Jak rozumiem, w propagandzie PO wszelkie odniesienia do byłego szefa mogą się okazać kłopotliwe. Być może dlatego też Tusk wycofał się z kandydowania. Wracając do byłej rzeczniczki jego gabinetu i jej ostatniego zachowania, to zadecydowała o nim zimna kalkulacja. Uznała – może niesłusznie – że nagonka na Prezydenta RP zwyczajnie jej się opłaca. Oczywiście pani Kidawa-Błońska z gracją rzecznika rządu Tuska może nawet zapewniać publicznie, że nie zgadza się z napastliwymi hasłami swoich zwolenników. To będzie jednak wyłącznie wersja oficjalna, dla mediów. Tak się bowiem składa, że nawet jeśli była oburzona zachowaniem protestujących – choć na taką zupełnie nie wyglądała – to z jakiegoś powodu nie zdążyła im o tym powiedzieć. Od 28 lat obserwuję kampanie prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. Obie walczące ze sobą partie wydają olbrzymie pieniądze na czarne kampanie wymierzone w przeciwników. Jednak formalnie kandydaci na prezydenta obu formacji trzymają się od tego z daleka. Brudną robotę wykonują za nich firmy wynajmowane pośrednio przez sztaby. Kandydaci przynajmniej udają, że to nie są ich metody. Można powiedzieć, że ta amerykańska hipokryzja jest hołdem składanym cnocie przez występek. Wolę kandydatów, którzy pozorują kampanie fair, niż takich, którzy otwarcie i bez żenady stosują ciosy poniżej pasa. A takim właśnie ciosem jest namaszczenie przez byłą rzecznik Tuska hejterów, wyzywających jej oponenta od złodziei i grożących mu więzieniem.

A jak pan ocenia dotychczasową kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej? Czy to najlepszy możliwy kandydat PO na prezydenta?

Pani Kidawa-Błońska w tej roli jest sztywna, żeby nie powiedzieć drewniana. Widać wyraźnie, że to nie jest jej żywioł.

Dlaczego?

Ona nie umie rozmawiać z ludźmi, z tłumem. Podobnie jak większość polityków PO boi się ludzi. Jest typowym platformersem. Uwielbia gabinety, kuluary, partyjne konwencje i konferencje. W takich „okolicznościach przyrody" czuje się dobrze. Natomiast już każdy występ przed publicznością, złożoną nie tylko z jej najbliższych partyjnych kolegów, a już zwłaszcza na świeżym powietrzu, to dla niej taki stres jak udział w programie „Randka w ciemno" dla zwykłego telewidza. Pod tym względem jest absolutnym przeciwieństwem prezydenta Dudy. Spotkania ze zwykłymi ludźmi wręcz go nakręcają. Podczas wieców wyborczych Andrzej Duda wchodzi na najwyższe obroty. Małgorzata Kidawa-Błońska w podobnych sytuacjach marzy, aby już się one skończyły.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 631be42f7a

Kandydatka PO nie jest jednak sama na polu walki. Dopóki szefem partii był Grzegorz Schetyna, dopóty mówiło się o kryzysie przywództwa. Pan zapewne, podobnie jak wielu pańskich kolegów z PiS, życzył sobie jego rządów jak najdłużej. Tymczasem szefem Platformy został Borys Budka – młody, energiczny, żywiołowy, lubiany. Czy ta nowa twarz wiele zmienia? Słowem: Czy boi się pan Borysa Budki?

Ja się boję tylko Boga. A Borys Budka jest, hm, pozbawiony boskich atrybutów. Owszem, twarz jest nowsza. To jednak niewiele zmienia. Nowa forma, ale stara treść. Nie wierzę, by Budka tchnął nowego ducha w obolałe ciało Platformy. Nawet gdyby chciał, to zawsze wyskoczy „Pani Gafa", czyli Małgorzata Kidawa-Błońska, i zepsuje wszelkie jego starania. Kandydatka PO na prezydenta weszła w buty Bronisława Komorowskiego.

Może jednak Budka nad nią zapanuje?

Na pewno by chciał, ale ona jest mało sterowalna. Podobno nawet jeśli ustala treść swoich wystąpień ze sztabem wyborczym, to potem i tak robi swoje i wypada fatalnie. W grudniu politycy PO triumfalnie ogłosili, że mają świetnego kandydata na prezydenta, dzięki czemu teraz to już kampania ruszy z kopyta. Nic nawet nie drgnęło. PO straciła prawie dwa miesiące. Zamiast zwycięskiego marszu – strzały z kapiszona. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że platformersi są tą kampanią zawstydzeni.

Zostawmy platformersów. Przejdźmy do innej „nowej twarzy", tym razem – biorąc pod uwagę realny staż polityczny – zupełnie nowej. Szymon Hołownia zaczął kampanię od przeprosin za spot, w którym zdaniem wielu komentatorów zakpił z ofiar katastrofy smoleńskiej. Czy pana te przeprosiny przekonały?

Nie. Kompletnie nieistotna jest odpowiedź na pytanie, czy pan Hołownia i jego sztab to ludzie całkowicie bezrefleksyjni i pozbawieni wyobraźni, skoro nie wiedzieli, że produkują spot podgrzewający wojnę polsko-polską, czy też może to cynicy, którzy zagrali antysmoleńską, znaczoną kartą. Jedno i drugie jak najgorzej świadczy o kandydacie. Nie łudziłem się, co prawda, że Szymon Hołownia przyniesie nową jakość. Wydawało mi się jednak, że zgodnie z szumnymi zapowiedziami przynajmniej spróbuje pokazać jakąś trzecią drogę poza wojną przysłowiowych Tutsi i Hutu, jak to opisują ludzie sceptyczni wobec obu największych formacji. On jednak bardzo wyraźnie wpisał się w wojnę polsko-polską po jednej ze stron.

W tej wojnie polsko-polskiej wasi przeciwnicy niezmiennie używają tej samej broni. Argumentują mianowicie, że rządy PiS doprowadzą do wyjścia z Unii. Tymczasem według sondażu przeprowadzonego niedawno na zlecenie portalu Dorzeczy.pl aż 80,7 proc. respondentów uznało polexit za „raczej" lub „zdecydowanie nieprawdopodobny". O czym mówią te wyniki?

Zwracam uwagę na fakt, że to lider PO Grzegorz Schetyna jako pierwszy zaproponował przeprowadzenie referendum w sprawie obecności Polski w UE. Skądinąd referenda przeprowadzone, a nie zapowiadane kosztowały fotele premierów Matteo Renziego we Włoszech i Davida Camerona w Wielkiej Brytanii. Każdy Polak wie, że nawet jeśli PiS będzie spierał się z Brukselą, finalnie i tak, biorąc pod uwagę sytuację geopolityczną i zagrożenie ze strony Rosji, do wyjścia z Unii za nic nie doprowadzi. Kwestia bezpieczeństwa jest dla nas najważniejsza. Bez wątpienia ważniejsza niż różnice zdań – nawet głębokie – z UE. Być może narażę się wielu partyjnym kolegom, ale wcale się nie cieszę z tego, że aż 80 proc. Polaków popiera obecność Rzeczypospolitej w Unii. Gdyby nasze społeczeństwo było mniej euroentuzjastyczne, mielibyśmy lepszą pozycję negocjacyjną w rokowaniach z Brukselą. Gdyby Polacy byli naprawdę wkurzeni na Unię, to Bruksela bardziej by się z nami liczyła. Widać to na przykładzie Estonii, która uzyskała najlepsze warunki akcesji do UE w 2004 r. spośród wszystkich 10 państw, które wtedy weszły właśnie dlatego, że aż dwie trzecie obywateli nie popierało wejścia swojego kraju do Unii.

Pretekstem do dyskusji o polexicie jest spór polskiego rządu z instytucjami UE o reformę sądownictwa. Co i rusz pojawiają się głosy o powiązaniu funduszy unijnych z praworządnością. Według doniesień medialnych grożą nam bardzo wysokie kary, jeśli PiS nie „wygasi" Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego...

To nie jest spór pomiędzy Polską a UE. To jest spór pomiędzy poszczególnymi instytucjami unijnymi. Komisja Europejska opowiada się za tym, żeby odbierać fundusze unijne z powodu negatywnej oceny stanu praworządności w państwach członkowskich. Zupełnie innego zdania w tej sprawie jest Europejski Trybunał Obrachunkowy, słusznie argumentujący, że kryteria tej oceny przez KE są zbyt subiektywne, a przez to niesprawiedliwe. Bardzo krytyczne wobec pomysłu Komisji są też Służby Prawne Rady Europejskiej.

Nawet jeśli tak jest, to KE w tym sporze wydaje się silniejsza. Jaką więc cenę przyjdzie nam płacić za reformę sądownictwa?

Celem nacisków Brukseli na rząd absolutnie nie jest obrona praworządności w Polsce. To tylko wygodny pretekst. Podobnie jak w swoim czasie pretekstem była sprawa Trybunału Konstytucyjnego czy wycinka drzew w Puszczy Białowieskiej. Gdy podobnych praktyk dopuszczano się w innych krajach UE – problemu nie dostrzegano. Celem tych działań Unii jest – choć głośno nikt tego nie powie – ograniczenie konkurencyjności Polski. Nasi konkurenci chcą doprowadzić do sytuacji, w której Warszawa, zamiast walczyć o większe wpływy z budżetu UE na lata 2021–2027, będzie zajmować się tłumaczeniem, że nie jest wielbłądem. Ataki Brukseli to tylko kije samobije, które mają ograniczyć wzrost znaczenia politycznego i gospodarczego Polski.

PiS już wiele razy musiał jednak wycofywać się z różnych kontrowersyjnych ustaw pod naciskiem Brukseli. Skąd pewność, że teraz będzie inaczej?

Bardzo uważnie analizowaliśmy metodę Viktora Orbána, który ogłaszał odważne projekty ustaw, wiedząc, że UE będzie domagała się ich korekty. Z góry zakładał, że będzie musiał poświęcić część swoich legislacyjnych planów, aby przeszła inna ich część – ta zasadnicza. Z uśmiechem chciałbym zauważyć, że to była bardzo skuteczna metoda...

Wróćmy na koniec do wyborów prezydenckich. Jaka jest ich stawka?

Toczy się walka o to, czy Polska będzie podmiotem polityki międzynarodowej, czy raczej – jakby chcieli nasi zewnętrzni konkurenci – klientem Berlina i Brukseli. Wygrana obozu patriotycznego może spowodować zmianę układu sił w Senacie. Przegrana zaś może spowodować próbę zmiany większości sejmowej poprzez wyciągnięcie z naszej koalicji – choć nie z PiS – posłów rozczarowanych porażką. A to już grozi przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi. Walka w tych wyborach toczy się więc nie tylko o to, czy Andrzej Duda pozostanie bardzo dobrym prezydentem RP, lecz także o to, czy dalej rządzić będzie obóz niepodległościowy – Obóz Zjednoczonej Prawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

Marsz przez ciemną dolinę

Piotr Semka

Jak spór o reformę sądownictwa wykorzysta w kampanii prezydenckiej obóz „dobrej zmiany", a jak opozycja? I najważniejsze pytanie: Jakie są szanse na wyjście z klinczu?

Debata w Parlamencie Europejskim na temat „groźby zagrożenia praworządności w Polsce", 11 lutego 2020 r. FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

eprasa.pl 631be42f7a

Ta prawda dociera już do wszystkich. Spór o reformę sadownictwa będzie towarzyszył kampanii prezydenckiej. Batalia objęła już od dawna nie tylko polską scenę, lecz także ochoczo włączyła się do niej Komisja Europejska, a za nią Trybunał Sprawiedliwości UE.

DIALOG Z GŁUCHYMI

Debata 11 lutego w Parlamencie Europejskim na temat „groźby zagrożenia praworządności w Polsce" nosiła wszystkie cechy tego typu brukselskich widowisk. Sala była dość pustawa – na 760 miejsc zapełnionych było mniej niż sto. Głos zabierali stali obrońcy polskiej opozycji plus europosłowie z Platformy i partii Wiosna. Dominowały ogólnikowe oskarżenia o upolitycznienie przez PiS sądów, łamanie demokracji i troska o standardy unijne. Próby wypytywania przez eurodeputowanych PiS, o jakie konkretnie rozwiązania chodzi i czym różnią się one od norm zachodnich, były odparowywane na oślep. Gdy Patryk Jaki z PiS porównał niemieckie i polskie zapisy o dyscyplinowaniu sędziów, polemizująca z nim Niemka z SPD, Katarina Barley, odparła, że nie jest przedstawicielką RFN, lecz całej UE, a potem zamknęła dyskusję, porównując PiS do niemieckiej AfD.

Z kolei polska lewicowa europosłanka Sylwia Spurek błyszczała radykalizmem: „Czas dyplomacji się skończył. Polacy oczekują od UE jasnych deklaracji i działań. Oczekują niedopuszczenia do polexitu i ochrony nękanych za obronę trójpodziału władzy sędziów oraz obywatelek i obywateli".

Ta wypowiedź dobrze oddaje gorączkowe nastroje w obozie antypis przed wyborami. Przyspieszyć procedury, jak tylko się da, karać Polskę jak najszybciej i jak najdotkliwiej finansowo.

To, jaki byłby ideał kary ze strony TSUE w opinii zwolenników totalnej opozycji, pośrednio pokazał dziennik „Rzeczpospolita", autoryzując z całą powagą fake news o rzekomo bardzo prawdopodobnej karze 2 mln euro dziennie w przypadku braku zamrożenia działania Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Te pseudorewelacje zdementowało szybko TSUE, świadome, że takie przecieki przed formalnym wysłuchaniem stanowiska polskiego rządu kompromitują sam Trybunał. Jednak przeciek mówi wiele o tym, jak bardzo PO czy lewica są zgodne w haśle: „Im gorzej dla PiS, tym lepiej dla nas".

Zdezawuowanie fake'a z „Rzepy" nie oznacza, że sytuacja dla Polski jest łatwa. Debata na forum Parlamentu Europejskiego pozwalała europosłom PiS wskazywać braki wiedzy u oskarżycieli polskiego rządu, ale podobne debaty mają bezpośredni wpływ na działania Komisji Europejskiej, która od wielu miesięcy kieruje do TSUE wnioski o rozpatrywanie zgodności polskich ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości ze „standardami unijnymi".

Ursula von der Leyen nie wykazała się silną osobowością i nie robi nic, by rozładować konflikt. Věra Jourová, komisarz do spraw wartości i przejrzystości, mimo że wywodzi się z partii ANO życzliwego Polsce premiera, również wykazuje stronniczość i np. w czasie wizyty w Polsce nie znalazła czasu na spotkanie z przedstawicielami KRS.

– W tej sprawie karty rozdają Paryż i Berlin – wskazuje Jacek Saryusz-Wolski, eurodeputowany PiS. – A Macron i Merkel korzystają z tego, że Polska, walcząc z naciskiem Komisji Europejskiej i TSUE, ma słabszą pozycję negocjacyjną w sporach o budżet unijny i jest bardziej podatna na wciskanie nam pakietu klimatycznego „Green deal".

IDEALNY CZAS NA PRESJĘ

Dla PiS ważniejsze od gier na szczytach jest to, jak wyroki TSUE wpłynąć mogą na kampanię prezydencką.

Media kibicujące opozycji mają za sobą nieudaną kampanię z grudnia 2019 r. i stycznia 2020 r., gdy próbowano perswazją wywierać nacisk na prezydenta Andrzeja Dudę, by nie podpisywał po powrocie z Senatu ustawy dyscyplinującej sędziów. Dziennik „Rzeczpospolita" wzywał do udziału członków rządu w okrągłym stole w sprawie sądownictwa organizowanym przez PAN. Inni publicyści przestrzegali prezydenta, że podpisując ustawę, straci szanse na reelekcję. Jeszcze inni komentatorzy próbowali zakłopotać głowę państwa pytaniami, czy podpisując ustawę, chce przypodobać się elektoratowi Konfederacji (rzecz o tyle zabawna, że sami konfederaci wstrzymali się w Sejmie od poparcia ustawy).

Andrzej Duda ustawę podpisał i nie było w tym nic zaskakującego. Wbrew jeszcze innej obraźliwej teorii – nie uległ w tej sprawie naciskowi z Nowogrodzkiej, ale miał własne doświadczenia złej woli tej części środowiska sędziowskiego, które od pięciu lat toczy wojnę, aby „wszystko było, jak było". Sondaże nie wskazują na razie, by podpisanie ustawy dyscyplinującej sędziów odbiło się na notowaniach głowy państwa.

Teraz najważniejszym zadaniem dla prezydenta staje się wybór nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Kadencja I prezes Małgorzaty Gersdorf upływa wraz z końcem kwietnia br.

Werdykt SN z 23 stycznia br. sankcjonował sytuację prawną, w której Andrzej Duda musiałby wybierać tylko z piątki kandydatów wyłącznie z trzech „starych" izb SN. Nowa ustawa dyscyplinująca sędziów stanowi, że sędziowie nowych izb – dyscyplinarnej i kontroli – wchodzą do zgromadzenia ogólnego wybierającego pięciu kandydatów. W SN jest teraz 64 starych i 37 nowych sędziów. Z obliczeń analityków wynika, że już dwudziestu kilku sędziów, jeśli się skrzyknie, może przegłosować kandydata na I prezesa. Nowi nie są więc bez szans.

Pytanie, jak zachowają się „starzy". Czy wezmą udział w cywilizowanym procedowaniu wyboru kandydatów, czy też ulegną presji sędziów walczących ze zmianami i pójdą na kolejne zwarcie? A może dojdzie do wyboru kogoś kompromisowego?

„Wiele zależeć będzie od tempa procedowania przez TSUE. Im bardziej konfrontacyjne będą działania KE i werdykty trybunału komisji, tym bardziej sędziowie gotowi iść na zwarcie wyczują wiatr w żaglach" – mówi jeden z urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości.

Pytanie: Kiedy ogłoszony zostanie werdykt TSUE? Wbrew wielu błędnym opiniom w mediach TSUE rozpatruje teraz nie najnowszą ustawę dyscyplinującą, odrzuconą niedawno przez Senat, ale skargę Komisji Europejskiej na starą ustawę dyscyplinującą z jesieni 2019 r. (choć z wypowiedzi komisarza ds. sprawiedliwości Didiera Reyndersa można wnioskować, że ta nowa też będzie zaskarżona). Jednak na razie nasz rząd ma udzielać wyjaśnień na temat starej ustawy. Pytanie, jak szybko zapadnie wyrok i czy TSUE w ramach tzw. zabezpieczenia wystąpi o zastosowanie kary finansowej. A jeśli tak, to jak wysokiej?

– Suma 2 mln euro dziennie wydaje się wzięta z sufitu. Ten przeciek z tak zawyżoną sumą miał na celu jedynie podkręcenie atmosfery w Polsce. Bardzo typowy chwyt – mówi jeden z polskich dyplomatów unijnych. – Ale jeśli zasą-

eprasa.pl 631be42f7a

Pikieta przeciw reformom sądownictwa, Kielce, 23 stycznia 2020 r. FOT. GRZEGORZ KSEL/REPORTER

dzona zostanie kara choćby 200 tys. euro dziennie, to opozycja z lubością wykorzysta to w kampanii. Wszystko pod hasłem: „Przez rozrabiaczy z PiS Polska będzie musiała wydawać pieniądze na kary zamiast na szkoły i przedszkola".

Wśród polskich negocjatorów są różne opinie na temat rozwoju wydarzeń tej wiosny. Niektórzy wykazują ostrożny optymizm, wskazując, że sprawa „starej" ustawy dyscyplinującej sędziów nie jest procedowana w trybie przyspieszonym.

Komisja nie poprosiła o sankcje finansowe, ale zastrzegła sobie możliwość ich narzucenia w przypadku, gdyby Polska nie zastosowała się do środków tymczasowych, jeśliby zostały nałożone.

Polscy negocjatorzy wskazują też, że przy okazji wyroku nakazującego zmiany w ustawie o skróconym wieku emerytalnym sędziów luksemburscy sędziowie podkreślili specjalną wagę ochrony niezawisłości sędziów, której nie należy, według wyroku, naruszać pod żadnym pozorem. Na tej podstawie można by może zakwestionować werdykt SN odmawiający miana sądu członkom Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

– W całej tej sprawie nic nie jest pewne, bo ma charakter bezprecedensowy – mówi jeden z prawników. – Ale jedno jest pewne: odrzucenie werdyktu TSUE spotkałoby się z bardzo poważną reakcją w Unii i Komisji Europejskiej. I nie należy zbyt łatwo bagatelizować wagi takiego kroku. Wiem, że europosłowie PiS wskazują, iż Hiszpania odrzuciła werdykt TSUE w sprawie działacza katalońskiego wybranego na eurodeputowanego w momencie, gdy był w areszcie. TSUE chciał, by Katalończyk mógł złożyć przysięgę eurodeputowanego w Brukseli. Tyle że w międzyczasie w jego sprawie zapadł prawomocny wyrok 13 lat aresztu, więc sprawa szybko stała się bezprzedmiotowa. W drugiej sprawie, na którą lubią powoływać się europosłowie PiS – werdyktu Trybunału Konstytucyjnego RFN na temat wyższości prawa krajowego nad werdyktem TSUE – postępowanie odbywało się we współpracy z Trybunałem. Chodziło o ustalenie rozgraniczania się wzajemnych sfer jurysdykcji prawnej.

Jeśli jednak kary wynikające z tzw. zabezpieczenia będą dotkliwe, to Polska stanie wobec dylematu: iść na zderzenie czołowe z Unią, co wywoła oskarżenie o zamiar polexitu, czy też ulec TSUE, tak jak w przypadku, gdy machnięto ręką na wyznaczenie nowego wieku emerytalnego sędziów SN.

Taka gorzka pigułka byłaby dla PiS łatwiejsza do połknięcia, po pierwsze gdyby pojawiła się już po wyborach prezydenckich i po drugie – po wyznaczeniu przez prezydenta nowego I prezesa SN po Małgorzacie Gersdorf.

Można sobie wyobrazić sytuację, w której prezydent mianowałby kogoś spoza pola PiS, ale wyrażającego autentyczną wolę załagodzenia konfliktu. Jednak w sytuacji wojny polsko-polskiej i presji wobec sędziów ze strony takich postaci jak Marcin Matczak czy Jerzy Stępień – nie przyjdzie to łatwo. Liderzy akcji „Nie oddamy ani guzika" mogą każdą próbę mediacji ogłosić jako kapitulację przed PiS.

TO ONI, NIE MY

Sprawę komplikuje prezydencka kampania wyborcza. Dla Platformy to być albo nie być. Jeśli nie wygra Małgorzata Kidawa-Błońska i Andrzej Duda zostanie wybrany ponownie, to PiS otrzyma bezcenne trzy lata bez wyborów. Już sama reelekcja obecnej głowy państwa stworzy poczucie siły obozu PiS, przy którym łatwiej będzie iść na jakiś kompromis.

A właśnie na trzy najbliższe miesiące przypadać będą werdykty TSUE.

Opozycja – co pokazał incydent w Pucku – gotowa jest raczej na podkręcanie napięcia. Można więc wątpić, czy uda się jakakolwiek próba mediacji przed wyborami.

Gdzieś w tle jest wzajemna cicha wymiana pretensji między otoczeniem premiera Mateusza Morawieckiego a resortem Zbigniewa Ziobry. Zwolennicy premiera nie kryją irytacji, że nowa ustawa dyscyplinująca sędziów weszła w życie akurat u progu wyborów prezydenckich.

Wicepremier Jarosław Gowin z irytacją przypomina, że kolejna eskalacja sporu o sądy, owszem, mobilizuje elektorat PiS, ale tak samo mobilizuje elektorat platformerski. Współpracownicy Ziobry bronią się, że bez nowej ustawy dyscyplinującej narastałby chaos wskutek wyskoków w stylu sędziego Pawła Juszczyszyna z Olsztyna. Wypominają, że ofensywa uśmiechów Morawieckiego w stosunkach z Komisją Europejską była marnowaniem czasu, skoro komisja Ursuli von der Leyen jak była, tak jest odległa od kompromisu na linii Warszawa – Bruksela.

Ostrość wypowiedzi zdradza głęboki brak zaufania po obu stronach. To nic nowego. Ale wyciąganie konfliktu na zewnątrz przez Gowina krytykowane jest w sieci przez wyborców PiS. A już podanie przez lidera Porozumienia w trakcie wywiadu dla Radia Plus argumentu, że reforma sądowa nie poprawiła jakości funkcjonowania sądów, pomijało fakt, że Ziobro wciąż zmaga się z próbami rokoszu sędziów i zapanowanie nad dążeniami do zaprowadzenia chaosu prawnego jest priorytetem dla resortu Ziobry.

Tym bardziej że jawne demonstracje kontestacji w stylu sędziego Pawła Juszczyszyna nie okazały się tak masowe, jak to wieszczyli politycy PO.

Do wyborów w zachowaniu opozycji wiele się nie zmieni. A co z niezdecydowanymi wyborcami? Sondaż „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM z 12 lutego wskazuje, że dla 78 proc. Polaków polska konstytucja i prawo krajowe mają pierwszeństwo nad prawem unijnym. Czy takie poglądy przełożą się na poparcie Andrzeja Dudy i mobilizację elektoratu prawicy jako demonstracji przekory wobec dyktatu TSUE? Opozycja dla odmiany zakłada, że w razie wizji narzucenia Polsce słonych kar u wyborcy zwycięży troska o własną kieszeń. Co weźmie górę?

Wcześniej niż po wyborach nikt nie ruszy się o milimetr.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Z Cezarym Gmyzem rozmawia Wojciech Wybranowski

Parasol nad Kwaśniewskimi

WOJCIECH WYBRANOWSKI: „Oluś zawsze był krętaczem, i to małym krętaczem. Za co się brał, zawsze spierd..."– pamiętasz, kto to powiedział?

CEZARY GMYZ: Chodzi ci oczywiście o słynne nagranie rozmowy Józefa Oleksego z Aleksandrem Gudzowatym zarejestrowane w siedzibie firmy Bartimpex w pierwszej połowie września 2006 r. Ale były premier nazywał Kwaśniewskiego nie tylko małym krętaczem…

Tak, sugerował, że choćby nie wiem jak się on starał, to nie da rady legalnie udowodnić pochodzenia swojego majątku…

Oleksy miał gigantyczną wiedzę o interesach lewicy, wiedział również sporo o biznesowych układach małżeństwa Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich, do pewnego momentu byli ze sobą dość blisko zaprzyjaźnieni. Przecież Maria, czyli żona Oleksego, zasiadała we władzach firmy ubezpieczeniowej Polisa SA, której akcje zakupiła Jolanta Kwaśniewska, inwestując w nią ok. 490 mln starych złotych. Łączyły ich wspólne interesy.

Były SLD-owski premier pierwszy powiedział, że to Kwaśniewscy są właścicielami pięknej nieruchomości w Kazimierzu Dolnym. Małżeństwo, Maria i Jan J., miało sprzedać ją biznesmenowi Markowi M., ale CBA postawiło tezę, że odgrywa on rolę słupa, zaś faktycznymi właścicielami domu są Kwaśniewscy. Których notabene, jak wynika z ich zeznań podatkowych, na taki zakup nie powinno być stać.

Z dokumentów i nagrań, które w ubiegłym tygodniu udostępniło Centralne Biuro Antykorupcyjne, w mojej ocenie wynika, że małżeństwo Kwaśniewskich tak naprawdę było właścicielami nieruchomości w Kazimierzu. Na co natomiast raport CBA nie odpowiada? Nie wynika z niego, skąd Kwaśniewscy mieli pieniądze, by tak drogi dom kupić. Można tylko się tego domyślać, pamiętając jednak, że nigdy żadna ze spraw, w których przewijali się Kwaśniewscy, nie zakończyła się procesowo.

O „willi Kwaśniewskich" pisaliśmy dwukrotnie w okładkowych tekstach tygodnika „Do Rzeczy", informując m.in., że śledczy badają przepływy pieniędzy na kontach Kwaśniewskich i ich znajomych. Z odtajnionych materiałów wynika, że niespodziewanie małżeństwo, Maria i Jan J., zaczęło dysponować pokaźnym zasobem gotówki, ok. 1,3 mln zł oraz 189 tys. dol. I niemal w tym samym czasie, po sprzedaży domu, Maria J. o środki na pokrycie rachunków związanych z jego prowadzeniem pytała kobietę, którą określała jako „koleżankę".

eprasa.pl 631be42f7a

Kwaśniewscy do pewnego momentu byli dość blisko zaprzyjaźnieni z Józefem Oleksym, który w 2006 r. w rozmowie z Aleksandrem Gudzowatym nazwał byłego prezydenta „małym krętaczem" FOT. JACEK MARCZEWSKI/FORUM

To jeden z wielu elementów sporego zbioru dowodów zebranych przez CBA, które mogą dowodzić, i w mojej ocenie dowodzą, że willa w Kazimierzu należała do Kwaśniewskich. Dlaczego? Ponieważ zarejestrowane przez CBA rozmowy telefoniczne wskazują, że osobą, którą pani Maria J. określiła jako „koleżankę", była Jolanta Kwaśniewska. Wynika z nich, że stosunek między tymi kobietami nie był koleżeński, chociaż one się znały i lubiły, ale były to relacje pracownik – chlebodawca, można powiedzieć, że pani J. pełniła po prostu obowiązki majordomusa domu w Kazimierzu, przyjmując polecenia dotyczące tej nieruchomości od małżonki Kwaśniewskiego. Mamy do czynienia zarówno ze wspomnianymi przez ciebie pytaniami do „koleżanki" o kwestie rachunków za utrzymanie nieruchomości, jak i rozmowami prowadzonymi przez obie panie szyfrem, kiedy pojawiła się propozycja zbycia domu występującemu wówczas pod przykryciem funkcjonariuszowi CBA Tomaszowi Kaczmarkowi. Dotyczącymi tego, w jakiej walucie ma być zrealizowana płatność za transakcję, czy mają to być „buty w rozmiarze europejskim", czyli w euro, czy „buty zielone", czyli dolary, i że pieniądze mają być zdeponowane w „garażu", czyli sejfie. Kwaśniewska mówiła, Maria J. wykonywała.

A jednak w 2014 r. postępowanie w sprawie „willi Kwaśniewskich" umorzono. Wznowiono je dopiero w 2016 r.

Całe postępowanie, jak wynika z odtajnionych materiałów, zmierzało do postawienia zarzutów być może ukrywania źródeł majątku niewiadomego pochodzenia. Niestety, nad tą sprawą dość mocno zaciążyły kwestie polityczne i „rozjechała się" po odwołaniu ze stanowiska szefa CBA Mariusza Kamińskiego. Jego następca Paweł Wojtunik zrobił bardzo niewiele, by to śledztwo znalazło swój finał procesowy w postaci zarzutów karnych, a przecież im więcej czasu upływa od popełnienia ewentualnego przestępstwa, tym trudniej jest postawić zarzut, bo niektóre czyny karalne mogły ulec już przedawnieniu.

Mówisz o zaniedbaniach z czasów, gdy kierownictwo nad CBA przejął Wojtunik, ale trzeba też pamiętać o wydarzeniach, które miały miejsce w katowickiej prokuraturze apelacyjnej w 2007 r., już po przejęciu władzy przez koalicję PO-PSL. Powołana przez prof. Zbigniewa Ćwiąkalskiego, wówczas ministra sprawiedliwości, na szefową tej prokuratury Iwona Palka odsunęła od śledztw, usunęła ze stanowisk prokuratorów prowadzących najważniejsze postępowania dotyczące ludzi lewicy, m.in.: tajnych szwajcarskich kont polityków lewicy, fundacji Kwaśniewskiego i kasjera lewicy Petera Vogela. Wśród śledczych poszedł przekaz, że tropienie nieprawidłowości elit władzy SLD może oznaczać problemy

To był okres, gdy jak w zegarku zmieniali się ministrowie sprawiedliwości, trwały prace nad rozdzieleniem funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. A do tego zależności polityczne nie pozwoliły na sprawne działanie. Platforma Obywatelska de facto była w cichym, nieformalnym sojuszu z lewicą i te zależności było bardzo często widać przy okazji obsadzania spółek Skarbu Państwa czy agencji rządowych. Śledztwa uderzające w czołowych ludzi postkomunistycznej lewicy byłyby naruszeniem tego systemu wzajemnych powiązań ludzi obozu PO i lewicy, jakie wytworzyły się przez lata. Pamiętajmy też, że na czele prokuratury pod rządami PO-PSL postawiono ludzi, którzy wywodzili się co prawda z PSL, ale współpracowali z czerwonymi. Mówię tu o prokuratorze krajowym Marku Staszaku, rekomendowanym przez PSL, i Edwardzie Zalewskim, byłym aktywiście PZPR, który pod rządami PO w 2009 r. objął fotel prokuratora krajowego.

To niejedyna sprawa, w której pojawiły się wątpliwości co do majątku Kwaśniewskiego. Wspomniałeś na początku naszej rozmowy o akcjach Polisy SA, które w latach 1994–1995 zakupiła Jolanta Kwaśniewska. Jej mąż był zobowiązany wykazać je w oświadczeniu majątkowym, czego nie zrobił. Jednak prokuratura w Warszawie w styczniu 1996 r. odmówiła wszczęcia postępowania w tej sprawie.

To pokazuje pewien parasol ochronny rozpięty nad Kwaśniewskim, który daje się też zauważać przez całą jego karierę. Prokuratura zobligowana była do prowadzenia postępowania, ponieważ zachodziło wówczas podejrzenie ukrywania majątku przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Obowiązująca ustawa antykorupcyjna nakładała na niego obowiązek wykazania także tych akcji w oświadczeniu majątkowym, które złożył w Sejmie, czego nie uczynił. A jednak śledczy mimo podejrzenia popełnienia przestępstwa śledztwa w tej sprawie nie przeprowadzili. Cała historia Polisy i działalności tej firmy jest ciekawa. Przypomnę: Polisa była początkowo niewielką spółdzielnią, która w krótkim czasie stała się jednym z głównych konkurentów dwóch największych ubezpieczycieli na polskim rynku: PZU SA i Warta SA. Skąd pochodziły pieniądze na jej założenie i rozwój? Kilkadziesiąt milionów, w okresie rządów lewicy, wpompowały w nią spółki Skarbu Państwa albo instytucje państwowe, takie jak Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Agencja

eprasa.pl 631be42f7a

Willa w Kazimierzu FOT. TOMASZ BENNO/EAST NEWS

Własności Rolnej Skarbu Państwa czy Polski Fundusz Gwarancyjny. Osoby, które były właścicielami akcji tej spółki, szybko się wzbogaciły, bo wartość udziałów poszła mocno w górę, w dodatku spółka akcjonariuszom wypłacała wysokie dywidendy mimo niewielkich zysków firmy. A kto był wśród akcjonariuszy? Obok Kwaśniewskiej także żona Oleksego i prominentni byli działacze PZPR. Ani Aleksander Kwaśniewski, ani Józef Oleksy, choć obligowały ich do tego przepisy w swoich oświadczeniach majątkowych, nie wpisali akcji, które były w posiadaniu ich małżonek. Dlaczego prokuratura nie ścigała prominentnych polityków rządzącej wówczas lewicy? Obawiam się, że może to być pytanie retoryczne.

Kilka miesięcy później prokuratura umorzyła postępowanie dotyczące podania nieprawdy przez Komitet Wyborczy Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich w 1995 r. i wprowadzenia w błąd Państwowej Komisji Wyborczej.

Mimo oczywistego kłamstwa Kwaśniewskiego, który przekonywał, że ma wyższe wykształcenie. Kłamstwo takie w niektórych okolicznościach także jest penalizowane. Kwaśniewski tłumaczył się w sposób zdumiewający, przekonując, że on nie miał świadomości, że tytułu magistra nie posiada.

W zasadzie to zaskakujące „szczęście" sprzyja Kwaśniewskiemu od 1992 r. Wtedy Najwyższa Izba Kontroli skierowała do prokuratury raport, z którego jednoznacznie wynikało, że w państwowym Komitecie ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej, w okresie, gdy kierował nim Aleksander Kwaśniewski, doszło do nadużyć, a z instytucji wyprowadzano pieniądze do nomenklaturowych spółek zakładanych przez działaczy PZPR. Po dwóch miesiącach od momentu zawiadomienia prokuratura umorzyła sprawę.

Mam wrażenie, że podobnie jak w przypadku śledztwa w sprawie akcji Polisy nie chciano tej sprawy prowadzić albo ktoś się po prostu bał. Pamiętajmy jednak, jakie to były czasy: Aleksander Kwaśniewski urodził się w 1954 r., na początku lat 90. był już politykiem ze sporym doświadczeniem i równie dużymi wpływami, intelektualnie – czego nie da się ukryć – wyrastając ponad swoje środowisko. Zrobił błyskotliwą karierę, zaczynając jako działacz studencki, już w drugiej połowie lat 70. wstąpił do PZPR i bardzo szybko piął się do góry. A w pewnym momencie naszej rzeczywistości politycznej mieliśmy do czynienia z pewnego rodzaju zblatowaniem części środowisk posolidarnościowych i postkomunistów, Kwaśniewski był wtedy gwiazdą i spoiwem zawiązywanych nowych „przyjaźni", znane są np. jego dobre relacje z Adamem Michnikiem

Przenieśmy się w czasie o 15 lat. Mamy 2006 r., prokuratura w Lublinie znów prowadzi śledztwo w sprawie wyprowadzania pieniędzy z Komitetu ds. Młodzieży z czasów, gdy kierował nim Kwaśniewski. Ewentualne zarzuty nie przedawniły się, bowiem czas, gdy Kwaśniewski korzystał z immunitetu, spowodował wstrzymanie biegu przedawnienia. Śledczy mają w ręku mocne dowody, m.in. wniosek o wytransferowanie pieniędzy z Komitetu do prywatnej spółki: Banku Turystyki, z odręcznym podpisem Kwaśniewskiego i dopiskiem „zgoda" i... umarzają sprawę.

Zapomniałeś, jak wyglądała wówczas prokuratura? Przez całe lata panowało przekonanie, że sądy się same oczyszczą, ale też, że nastąpi samooczyszczenie albo przynajmniej wymiana pokoleniowa w prokuraturze. Tymczasem złogi postkomunistyczne praktycznie nią rządziły, tacy ludzie jak: Andrzej Jacek Kaucz, Edward Zalewski, Marek Staszak czy znajomi Jana Burego, wtedy wpływowego posła PSL, zasiadający w Krajowej Radzie Prokuratury, to oni decydowali, kto jakie stanowisko ma pełnić w prokuraturze. O tym, jak prowadzone jest dane postępowanie, w dużej mierze decydują naczelnicy wydziałów dochodzeniowo-śledczych, pezetów, czyli przestępczości zorganizowanej czy wydziałów gospodarczych, a takie stanowiska były w dużej mierze obsadzane przez czerwonych bądź ich dzieci. W dodatku stopniowo ograniczano kontrolę społeczną, systematycznie niszczono w Polsce media, które pisały o aferach, pozbywano się dziennikarzy śledczych, a przecież tych z prawdziwego zdarzenia nigdy nie było za wielu. Efekt jest taki, że wokół Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich narosło wiele pytań, na które opinia publiczna nie zna odpowiedzi.

Takich jak pełne okoliczności, w których ułaskawił on Petera Vogla, bankiera zwanego kasjerem lewicy, skazanego za morderstwo kobiety?

Takich pytań, na które nie padły odpowiedzi, jest wiele. Dotyczą także fundacji Porozumienie bez Barier Jolanty Kwaśniewskiej i źródeł jej finansowania, a także tzw. afery Orlenu, w trakcie której wyszła na jaw bardzo dobra znajomość Kwaśniewskiego z Kulczykiem. Członkowie sejmowej komisji śledczej badający „aferę Orlenu" w trakcie swoich prac zastanawiali się, czy to fundacja Kwaśniewskiej nie jest miejscem, przez które przepływają tzw. brudne pieniądze, ale wtedy Kwaśniewska odmówiła ujawnienia informacji o darczyńcach fundacji, czyli źródłach pochodzenia pieniędzy. Nie wyjaśniono do dzisiaj wszystkich wątpliwości w sprawie tzw. afery Laboratorium Frakcjonowania Osocza, w której tle również pojawia się nazwisko Kwaśniewskich, rurociągu jamalskiego czy tych dotyczących znajomości Kwaśniewskich z lobbystą Markiem Dochnalem [w 2015 r. skazanym za korupcję, a wcześniej podejrzewanym także o pranie brudnych pieniędzy – przyp. W.W.].

O niejasnościach wokół majątku Kwaśniewskich pisaliśmy dwukrotnie w okładkowych tekstach „Do Rzeczy" (nr 11/2018 i 22/2018)

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Rafał A. Ziemkiewicz

Istotą bańki informacyjnej jest odmowa wszelkiej, najprostszej nawet weryfikacji. Przeciwnikom PiS z każdym miesiącem coraz łatwiej jest zmyślać i podawać do wierzenia rzeczy zupełnie już niestworzone

Witajcie w naszej bańce

Nie znam nikogo, kto nie głosowałby na Unię Demokratyczną" – opisywał ten syndrom niniejszym cytatem Jacek Dukaj już w początkach lat 90. Niby nic nowego: ludzie od zawsze mieli tendencję, by zamykać się w kręgu znajomych z tej samej sfery i o tych samych poglądach. Ale pojawienie się nowego rodzaju mediów, paradoksalnie nazwanych społecznościowymi, sprawiło, że ten odruch uwarunkował odmienną komunikację społeczną: komunikację bez komunikacji. Poszczególne grupy zamykają się w swoich bańkach informacyjnych i żyją tam w światach zupełnie osobnych, przy czym najbardziej zamykają się ci, którzy najgłośniej na to narzekają. Dobrym przykładem służy Olga Tokarczuk, która w swym noblowskim wykładzie poświęciła grozie zamykania się w bańkach i potępieniu ich wiele miejsca, by dosłownie nazajutrz założyć oficjalne konto na Twitterze, prewencyjnie blokując do niego dostęp kilkuset osobom publicznym kojarzonym z szeroko rozumianą prawicą.

Bańka informacyjna to swoista, mówiąc Mickiewiczem, „arka przymierza między dawnymi a nowymi laty". Funkcjonują w niej mechanizmy propagandy ustrojów totalitarnych, z tą różnicą, że np. w bańce propagandy PRL obywatele zamknięci byli siłą – natomiast obecnie zamykają się sami, by uciec od dyskomfortu, z jakim wiąże się konfrontowanie i weryfikowanie swych przekonań czy wyobrażeń.

PIRAMIDA FAŁSZÓW

Weźmy klasyczny przykład: największy sukces propagandy komunistycznej, czyli złamanie woli oporu Polaków przed stanem wojennym, który dzięki temu przebiegł nadspodziewanie gładko. Do dziś przeciętny Polak, który żył w tamtych czasach, wierzy, że okres przed 13 grudnia 1981 r. był okresem pogłębiającego się chaosu, zagrożenia i przede wszystkim ogromnego wzrostu przestępczości. Ten zupełnie nieprawdziwy obraz – właśnie w tym okresie liczba odnotowanych przestępstw była mniejsza niż przed Sierpniem '80 i po stanie wojennym – zbudowała telewizja, pokazując dzień po dniu napady, rabunki i wszelkiego rodzaju obrazy (puste półki, brak opału w elektrociepłowniach, „paraliżujące" kraj strajki), które wywoływały niepokój.

W III RP powtórzeniem tego sukcesu było skuteczne, dzięki utrzymaniu masowych mediów prywatnych i państwowych w rękach układu z Magdalenki, wytworzenie atmosfery podejrzeń wokół zmyślonych nadużyć i „nacisków" PiS w latach 2005–2007. Obecne wysiłki opozycji od czasu przegranych wyborów prezydenckich realizują wciąż tę samą strategię, tyle tylko że bańka, w której dominuje propagandowe kłamstwo, stale się kurczy.

Tym, czym w propagandzie Jaruzelskiego były „narastający chaos i anarchia", a w propagandzie michnikowszczyzny „duszna atmosfera" i „zagrożenie demokracji", jest dziś dla „totalnej opozycji" „łamanie konstytucji". To podstawa piramidy fałszów, wyznaczająca społeczne poparcie dla opozycji. Każdy jej zwolennik trzyma się tego kłamstwa jako podstawowego dogmatu. Na pytanie, jakie łamanie konstytucji ma na myśli, nauczył się odpowiadać z przekonaniem: „Wielokrotne"!

Osoby publiczne, kształtujące mentalne bańki, używają czasem sformułowania ostrożniejszego, mówiąc o „gwałceniu" konstytucji, co w razie czego łatwiej byłoby obronić, bo nie wiadomo, co to znaczy. Inna sprawa, że w bańce z zasady nie ma potrzeby niczego bronić.

W istocie żadnego złamania konstytucji, ani pojedynczego, ani tym bardziej wielokrotnego, nie było. Było, owszem, sięgnięcie po prawny kruczek – zaprzysiężenie sędziów Trybunału Konstytucyjnego na mocy „domniemania konstytucyjności", zanim Trybunał wypowiedział się na ich temat. Ale takie sztuczki stosowane są

eprasa.pl 631be42f7a

w wielu krajach, celują w nich zwłaszcza Amerykanie. Później „złamaniem konstytucji" ogłosiła opozycja podpisanie ustawy powołującej KRS, co już było kłamstwem karkołomnym, bo konstytucja nigdzie nie mówi, że KRS mają wybierać sędziowie – przeciwnie, stanowi, że kto i w jaki sposób wybiera, określa zwykłą większością sejmową ustawodawca. Odżyły w tej propagandzie stare kłamstwa Ryszarda Kalisza, który prezentując raport w sprawie Barbary Blidy, ogłaszał, że rząd PiS „złamał konstytucję", bo powołał do spraw „afery węglowej" zespół międzyresortowy, a ustawa zasadnicza nic o takich zespołach nie wspomina. Nie wspomina też np. o „gabinetach politycznych", które od dziesięcioleci tworzy każdy minister i w których „łamał konstytucję" także Kalisz.

„Dowodem", że Andrzej Duda i PiS „wielokrotnie łamali konstytucję", są „dwa orzeczenia Komisji Weneckiej". Znowu kłamstwo. Komisja Wenecka, notabene zaproszona przez rząd PiS, orzekła tylko tyle, że rząd powinien opublikować sporny wyrok Trybunału – co też w końcu zrobił. Znów mieliśmy tu do czynienia ze sztuczką prawną, z obstrukcją – bo prawo mówi, że rząd musi opublikować wyrok, ale nie wyznacza terminu. Na podobnej zasadzie od chwili wejścia do Unii Europejskiej „łamiemy" traktat akcesyjny, w którym zobowiązaliśmy się, na szczęście bez wyznaczonej daty, przystąpić do strefy euro (i obyśmy łamali, aż zobowiązanie stanie się bezprzedmiotowe).

Poza tym Komisja Wenecka stwierdziła – wystarczy po prostu przeczytać – że spór o obsadę TK wyszedł poza istniejące regulacje prawne, i zaleciła Sejmowi RP uchwalenie stosownej ustawy. Ponieważ ustawa taka wymagałaby, jako uregulowanie konstytucyjne, większości dwóch trzecich głosów, jej wykonanie nie było w mocy PiS. Ale uczciwość kazałaby przyznać, że PiS, szczerze czy nie, zaproponował rozmowy o kompromisie, i to PO stanowczo je odrzuciła („o konstytucji się nie dyskutuje!"), a Nowoczesna błyskawicznie się z nich wycofała po tym, jak Ryszard Petru został „zmłotkowany" przez opozycyjne media za zdradę. Jest oczywiste, że było to ze strony opozycji cyniczne, polityczne wyrachowanie – nie chciała rozwiązania sporu, tylko przeciwnie, jego maksymalnego zaostrzenia, bo była przekonana, że z pomocą przyjaciół z Zachodu zgrilluje tym Trybunałem PiS, wyprowadzając ludzi na ulicę i wymuszając wcześniejsze wybory.

Tak się nie stało, ale fałsz o „łamaniu konstytucji" potwierdzonym przez Komisję Wenecką i „liczne światowe autorytety" (trzeba by znowu wejść w konkretną rozmowę, by punkt po punkcie wykazać, że albo nie są to autorytety, albo wykazały się nieznajomością sprawy, albo że ich opinie są kwestionowane przez inne, nie mniejsze autorytety) stał się podstawą piramidy kłamstwa, fake newsem dla ludzi ogarniętych namiętnością antypisowską, analogicznie niedementowalnym jak dla ogarniętych emocją antysemicką bzdura o „czterech tysiącach Żydów uprzedzonych o zamachu na WTC".

WSZYSTKO MOŻNA

Z tego założycielskiego fałszu wynikają kolejne elementy „bańkowego" świata. Trybunał Konstytucyjny nie jest trybunałem, tylko „dublerami", KRS – „neo-KRS-em", „nie mamy prezydenta", każdy sędzia, który nominowany został w ostatnich latach, to „partyjny funkcjonariusz", podobnie jak każdy dziennikarz, który nie atakuje PiS – nie tylko ten, umownie mówiąc, z „prawicowej" gazety czy mediów państwowych, lecz także np. ten z Polsatu.

Podtrzymanie w bańce najwyższego poziomu emocji wymaga tworzenia coraz to nowych fake newsów. Niektóre, obliczone na krótki okres używalności, są szybko zapominane i mają służyć tylko podtrzymywaniu ogólnego nastroju oburzenia, pogardy dla przeciwników i histerii, że dzieje się coś apokaliptycznego. Przykładem takiego jednodniowego fejka jest zmyślone od początku do końca doniesienie „Gazety Wyborczej", jakoby krakowska kurator chciała „karać za masturbację", albo opowieść o „drugim orzeczeniu Komisji Weneckiej", wyprodukowana przez marszałka Grodzkiego. Komisja ma swój regulamin procedowania, najpierw przysyła oficjalną delegację, potem, na posiedzeniu, przedstawia ona raport, który jest dyskutowany itd. – tu natomiast Senat zaprosił kilku gości i z miejsca ich słowa stały się orzeczeniem.

Niekiedy zaś tworzone kłamstwa mają być podstawą nowej, długotrwałej kampanii. Czasem są to próby chybione, tak jak w wypadku mozolnie tworzonej narracji, że „PiS zabierze Internet", która miała przyciągnąć do opozycji młodzież. Ale już zupełnie inaczej jest z nie mniej wyssanymi z palca „strefami wolnymi od LGBT". Podchwyciwszy niezbyt fortunny pomysł naklejek „Gazety Polskiej", lewica wyprodukowała narrację, że w Polsce na sporym obszarze kraju prawicowy reżim wyznaczył jakieś strefy „no go" dla homoseksualistów. Mapki tych rzekomych stref upowszechniali na świecie Robert Biedroń (który też opowiadał o tych strefach w Parlamencie Europejskim) czy faworyt Donalda Tuska Leszek Jażdżewski, a zdjęcia tabliczek z „zakazem wstępu LGBT", sporządzonych i poumieszczanych przy znakach drogowych specjalnie dla tej kampanii przez prowokatora, upowszechnił, z odpowiednio stanowczym komentarzem, Guy Verhofstadt.

Sukces zarówno tej kampanii, jak i poprzedniej – przeciwko wyimaginowanemu „karaniu za edukację seksualną" uzyskano nawet rezolucję PE – pokazuje, że bańce z każdym miesiącem coraz łatwiej jest zmyślać i podawać do wierzenia rzeczy zupełnie już niestworzone, oczywiste bzdury. To nic, że łatwe do zweryfikowania, bo istotą bańki jest podawanie wiadomości w żaden sposób niesprawdzonych. W ten sposób jako informacja funkcjonują w niej nawet zupełnie szalone opinie, typu „PiS robi u nas to samo co przywódcy w Korei Północnej". Jeśli można twierdzić, że kopiowanie niemal słowo w słowo przepisów francuskich i niemieckich to „sowieckie wzorce" albo że Andrzej Duda „wrzeszczy i jest pełen agresji" – to czego nie można?

OPOZYCJA W KLATCE

Nie można tylko jednego: odejść nawet na milimetr od twardej, histerycznej linii – czego doświadczył ostatnio Władysław Kosiniak-Kamysz, gdy zadeklarował, że jeśli zostanie prezydentem, „w dobrych dla Polski sprawach" będzie wspierać rząd. Natychmiast przez liderów KO i Lewicy został dołączony do pocztu wrogów demokracji i praworządności, choć przecież gołym okiem widać, jak bardzo była to zapowiedź nieszczera i taktyczna.

Ale opozycja głęboko wierzy, że jej bańka, mobilizowana codziennie i straszona polexitem, w drugiej turze wyborów obejmie ponad połowę wyborców. Znalazła się w sytuacji, którą w jednym z naszych wspólnych programów w TVP Info świetnie spuentował Stanisław Janecki. Jeśli za czasów Tuska jego PR-owiec Igor Ostachowicz uczył PO, że: „PiS to małpa w klatce i trzeba stale jeździć prętem po kracie, żeby małpa się rzucała i straszyła ludzi", to dziś opozycja sama się zamknęła w klatce, sama od wewnątrz wali w kraty i miota się pod wpływem wytworzonego przez siebie samą hałasu. Ciekawy „kejs", który zapewne będzie kiedyś studiowany przez adeptów marketingu politycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

Polska Elsa w Hollywood

FOT. KASIALASKA.COM

Agnieszka Niewińska

Kiedy odebrała telefon z zaproszeniem na oscarową galę, nie była nawet pewna, czy ma ważny paszport. Katarzyna Łaska w Dolby Theatre zaśpiewała dzięki temu, że użyczyła głosu bohaterce animacji „Kraina lodu"

Rok 2020 zaczął się dla Katarzyny Łaskiej, wokalistki, aktorki musicalowej i dubbingowej, wyjątkowo. 1 stycznia odebrała telefon i usłyszała pytanie o to, czy nie chciałaby zaśpiewać na gali wręczenia Oscarów. Zapewne niejedna osoba, czytając doniesienia o Polce, która zaśpiewa na wręczeniu nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej, musiała sięgnąć do Google, chcąc się dowiedzieć, o kogo chodzi. Wielu z tych, którzy mają dzieci, pewnie ze zdziwieniem odkryło, że głos tej artystki rozbrzmiewa w ich domu od dawna.

„KRÓLOWA DUBBINGU"

Katarzyna Łaska, choć nie gości w kolorowych magazynach, nie pozuje na ściankach, to od 25 lat występuje na scenie. Była gwiazdą muzycznego teatru Roma, grając główną rolę w „Miss Saigon". Teraz można ją oglądać w Teatrze Muzycznym w Łodzi. Przez kilka lat współpracowała z Jonem Lordem, byłym muzykiem Deep Purple, z którym dała kilkadziesiąt koncertów na światowych scenach.

Dyrektor teatru Roma Wojciech Kępczyński opowiadał, że Katarzynę Łaską odkrył, gdy była 16-latką. – Sprowadziłem ją z Tomaszowa Mazowieckiego do Radomia, gdzie zagrała w musicalu „Józef i cudowny płaszcz snów w technikolorze" w Teatrze Powszechnym – mówił Kępczyński portalowi plejada.pl. – Już wtedy zapowiadała się na naprawdę niezwykłą wokalistkę i wspaniałą aktorkę musicalową.

Najlepiej głos Katarzyny Łaskiej znany jest chyba dzieciom. Użyczyła go wielu postaciom z filmów i seriali animowanych. Dialogi bądź piosenki w jej wykonaniu usłyszymy w „Małej Syrence", „High School Musical" „Pingwinach z Madagaskaru", „Smerfach 2", „Koko smoko" – a to zaledwie kilka tytułów z wyjątkowo długiej listy.

Doktor Karol Jachymek, kulturoznawca ze School of Ideas Uniwersytetu SWPS zwraca uwagę, że polska szkoła dubbingu jest bardzo mocna. – Mamy świetnych aktorów. Niesłusznie bywają postrzegani jako ci, którym w aktorstwie się nie udało. Dubbing, który w Polsce dotyczy głównie filmów dla dzieci, to trudna i odpowiedzialna praca. Kasia Łaska wybrała tę ścieżkę kariery i w środowisku dubbingowym jest królową – mówi kulturoznawca.

– Praca w dubbingu to moja praca codzienna – mówi Katarzyna Łaska. I choć często podkreśla się, że animacje odnoszą sukces właśnie dzięki dubbingowi i tłumaczeniu, to Łaska zaznacza, że przepisu na sukces animacji nie zna. – Czasem twórcy są bardzo zaskoczeni tym, co zadziałało na widzów. Głos aktora, jego barwa i sposób używania go to ważna część całości. Jednak tych części jest o wiele więcej. Wszystko musi być spójne – mówi. Obecnie bierze udział w kilku dubbingowych projektach, ale szczegółów nie zdradza.

Na deski hollywoodzkiego Dolby Theatre zaprowadziła Katarzynę Łaską Elsa z animowanej produkcji „Kraina lodu". To jej głosem śpiewa Elsa. W listopadzie ubiegłego roku do polskich kin weszła „Kraina lodu 2". To właśnie z tej animacji pochodzi nominowany do Oscara za najlepszą piosenkę utwór „Chcę uwierzyć snom" („Into the Unknown"). Wykonały go wspólnie na oscarowej gali Elsy z całego świata, czyli wokalistki, które śpiewają piosenki Elsy w różnych wersjach językowych tej animowanej produkcji. Obok Idiny Menzel i Aurory, które wystąpiły w oryginalnej wersji animacji, na scenie pojawiło się dziewięć Els – m.in. z Hiszpanii, Danii, Niemiec, Rosji, Japonii i Polski. – Ktoś mógłby uznać, że Kasia Łaska miała szczęście – wykonała piosenkę Elsy, a ktoś miał pomysł, by wokalistki z różnych krajów śpiewające w „Krainie lodu" wystąpiły razem na gali oscarowej. Tutaj jednak przypadku nie ma. Kasia Łaska musiała wygrać casting do tej roli, a producenci Disneya są bardzo wymagający. Występ na gali to efekt jej ciężkiej pracy – uważa dr Jachymek.

Występ Polki na oscarowej gali był trzymany w tajemnicy niemal do ostatniej chwili. Artystka poinformowała fanów o tym, że wystąpi w Dolby Theatre, gdy

eprasa.pl 631be42f7a

już była w Los Angeles. Polskie media prześcigały się w doniesieniach o tym, jak trafiła do Hollywood, w co będzie ubrana. – Można mówić, że Oscary nic nie znaczą, że to tylko targowisko próżności o przestarzałej formule. Jednak to wydarzenie medialne jest tak mocno zakorzenione w naszej popkulturze, że jeszcze przez długie lata będzie wzbudzać ogromne zainteresowanie. Oscary to pewien fenomen w wyobraźni zbiorowej i nic dziwnego, że cieszymy się z każdego polskiego akcentu. Dla mnie obecność Kasi Łaskiej w Hollywood to wspaniała historia o utalentowanej, pracowitej, skromnej artystce, której daleko do celebrytyzmu. Teraz spełnił się jej amerykański sen – mówi dr Jachymek.

Artystka z przygotowań i samej gali opublikowała na Instagramie ledwie kilka zdjęć. Program Els był bardzo napięty. Nie tylko musiały się zgrać wokalnie, by na scenie wypaść jak najlepiej, lecz także udzielały wspólnych wywiadów.

„Wyobraźcie sobie, jak się czuje dziewczyna z Tomaszowa Mazowieckiego na OSCAROWYM czerwonym dywanie obok nominowanych i nagrodzonych autorów hitów, które wszyscy znacie! Ledwo oddycham! Poważnie! To jest jakiś sen!!! Ale nie ważcie się mnie szczypać!" – napisała Katarzyna Łaska na swoim profilu instagramowym, gdzie dzieliła się z fanami wrażeniami zza oceanu.

Dzisiaj przyznaje, że choć współpraca z Jonem Lordem zawiodła ją prawie w każdy zakątek świata i dała okazję do śpiewania z najlepszymi orkiestrami w najpiękniejszych salach koncertowych, to występ na oscarowej gali będzie wspominać szczególnie. – Taka przygoda jak występ na Oscarach zdarza się raz w życiu, więc będę pamiętać tę całą podróż już zawsze – mówi.

DRZWI ZA GRANICĄ

Tomaszów Mazowiecki pęka z dumy. – Tomaszowianie w social mediach licznie wyrażali swoje uznanie i radość z sukcesu pani Katarzyny – mówi Marcin Witko, prezydent miasta. – Dla mnie osobiście, jako muzyka, to też niesamowita satysfakcja, zwłaszcza że pani Kasia zawsze utożsamia się z naszym miastem. Pierwsza Polka na gali oscarowej, w takiej roli, z Tomaszowa Mazowieckiego to też wspaniała promocja dla naszego miasta – dodaje.

Występ na oscarowej gali przełoży się na popularność i rozpoznawalność Katarzyny Łaskiej w Polsce. Już teraz komentarze pod jej wpisami na Instagramie idą nie w setki – jak to było wcześniej – lecz w dziesiątki tysięcy.

Po gali oscarowej Katarzyna Łaska wraca do pracy przy dubbingu i w Teatrze Muzycznym w Łodzi. – Czekam również na kolejne wspaniałe premiery musicalowe w teatrach muzycznych, do których zawsze startuję w castingach. To właśnie na scenie czuję się jak u siebie i liczę na to, że jeszcze kiedyś zagram dla widzów warszawskich. Nie przewiduję zagranicznych projektów. Jednak jak pokazał los, wszystko się może zdarzyć, więc nie mówię „nigdy" – podkreśla artystka.

Doktor Jachymek zwraca uwagę, że zawsze przy okazjach zagranicznych występów naszych artystów pojawiają się pytania, czy to szansa na międzynarodową karierę. – Media zastanawiały się nad tym choćby w ubiegłym roku, kiedy w Hollywood pojawili się Joanna Kulig czy Tomasz Kot. Potem redakcje z sukcesów lub ich braku chętnie artystów rozliczają. Kasi Łaskiej – krótki przecież – występ w Hollywood może otworzyć jakieś drzwi za granicą, ale czy te, które były do tej pory otwarte, są mniej wartościowe?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Smaki Mazur

Żyjemy w czasach, w których trudno kogokolwiek zaskoczyć, bo „wszystko już było". Współczesny turysta już nie zadowoli się jedynie zwiedzaniem zabytków i prostą rekreacją. Jedni poszukują efektu „wow" i fajerwerków, inni z kolei mają potrzebę cofnięcia się do źródeł. Ci drudzy zwykle zakochują się w naturalnej ofercie Mazur.

Jedną z odmian alternatywnej turystyki są podróże kulinarne, które przybliżają nas do tradycji i kultury danego miejsca. Na Mazurach od lat wskrzeszane są tradycyjne potrawy, a takie imprezy jak Festiwal Dziedzictwa Kulinarnego czy Festiwal Cittaslow temu sprzyjają.

Siła z natury

Regionalne potrawy zawdzięczają swój wyjątkowy smak nie tylko tradycyjnym recepturom przekazywanym z pokolenia na pokolenie, ale przede wszystkim wysokiej jakości surowcom i produktom. Ze sprzyjających warunków do uprawy roślin, hodowli zwierząt oraz dostępu do czystych jezior korzysta już około 26 000 mikro, małych i średnich przedsiębiorstw produkujących żywność.

Kulinarne dziedzictwo regionu

Aż 25 warmińsko-mazurskich produktów zostało uznanych przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi jako te tradycyjne i regionalne. Takie restauracje, przedsiębiorstwa lub gospodarstwa rolne posiadają Certyfikat Europejskiej Sieci Dziedzictwa Kulinarnego.

Prostota i niepowtarzalny smak lokalnych przysmaków zdążył zaskarbić sobie grono wiernych klientów, a gminy z Krainy Wielkich Jezior Mazurskich dbają nie tylko o przyjezdnych, ale również o przedsiębiorców prowadzących działalność w obszarze Regionalnych Inteligentnych Specjalizacji. To świetne miejsce na lokowanie inwestycji z branż żywności wysokiej jakości.

Naturalnie, że wspieramy

Nie ulega wątpliwości, że moda na turystykę kulinarną rośnie, czemu sprzyjają instrumenty wsparcia. Natomiast bogactwo mazurskich plonów pozwala na nieograniczoną liczbę kulinarnych odkryć.

Więcej o możliwościach inwestycyjnych znajdziesz na stronie: mazurytobiznes.pl

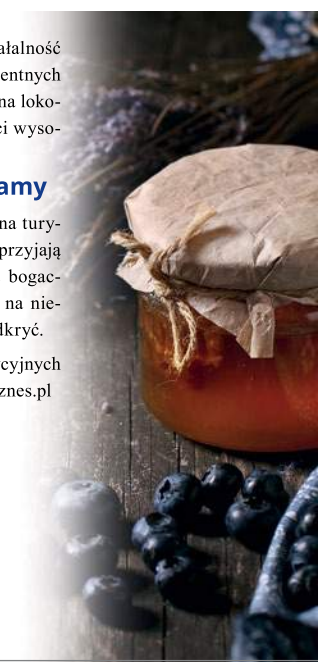

Mazury to Biznes

Mazury.
Biznes z Natury
www.mazurytobiznes.pl

Projekt realizuje Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.

Fundusze Europejskie Program Regionalny

Rzeczpospolita Polska

Zdrowe życie, czysty zysk

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 631be42f7a

Jak to się robi

Piotr Gociek

Ćwierć wieku temu władze Korei Południowej postanowiły, że ich kraj stanie się potęgą kulturalną. Dopięły swego dzięki talentowi koreańskich twórców, państwowym dotacjom, sojuszowi z prywatnym biznesem i ogromnej konsekwencji

Jeśli »Park jurajski« potrafi w ciągu roku przynieść tyle pieniędzy co sprzedaż 1,5 mln samochodów marki Hyundai, to Korea Południowa też powinna produkować kinowe hity". Tak Euny Hong, autorka książki „Cool po koreańsku", streszcza wnioski, które znalazły się w dokumencie z maja 1994 r. Było to sprawozdanie koreańskiego Prezydenckiego Komitetu Doradczego ds. Nauki i Technologii.

Jeśli szukamy początku drogi, która doprowadziła podczas ostatniej ceremonii oscarowej do wydarzenia bez precedensu: głównej nagrody dla filmu „Parasite" Bonga Joon-ho z Korei Południowej, to musimy cofnąć się o ćwierć wieku. I opisać fakty, które przyprawią o zawał serca nadwiślańskich wolnorynkowców. „Rząd szybko zabrał się do dzieła" – pisze bowiem dalej Euny Hong i wylicza powody, dla których przedsięwzięcie się powiodło. Jej książka (której podtytuł brzmi „Jak jeden naród podbił świat za pomocą popkultury") właśnie ukazała się po polsku i opowiada o fenomenie „koreańskiej fali". K-pop, K-drama (seriale telewizyjne), kino. Tym ostatnim zajmuje się w rozdziale „Od badziewia do Cannes". To prawda, początki zawsze są trudne.

Warto się jednak pomęczyć, skoro na końcu czekają czerwone dywany i nieśmiertelna sława. Wszak „Parasite" jednogłośnie wygrał w ubiegłym roku festiwal w Cannes, a w Los Angeles zdobył Oscary dla najlepszego filmu (po raz pierwszy w historii dla obrazu spoza kręgu anglojęzycznego), najlepszego filmu zagranicznego, za najlepszą reżyserię i najlepszy oryginalny scenariusz. Zauważmy jednak wielką atencję, z jaką odbierająca nagrody gromadka darzyła niską, niepozorną kobietę, która jako jeden z producentów pojawiła się na scenie. Była to Miky Lee, dziedzicz-

eprasa.pl 631be42f7a

Koreańska ekipa twórców i producentów filmu „Parasite” na tegorocznej gali rozdania Oscarów FOT. HANDOUT/A.M.P.A.S/GETTY IMAGES

ka imperium Samsunga, wiceprezes potężnej CJ Group, która finansuje firmę CJ Entertainment, w której prócz „Parasite” powstało wiele innych koreańskich filmów. Ta sama Miky Lee stoi za wypromowaniem w skali globalnej koreańskiej muzyki pop, stworzeniem gigantycznego festiwalu koreańskiej kultury w USA, a jej życiową misją jest, jak sama mówiła w wywiadach, doprowadzenie do tego, by cały świat docenił kulturę z Korei.

Wróćmy jednak do objaśnień pióra Euny Hong, która przygląda się korzeniom wielkiej zmiany. Korea Południowa po wyjściu z uścisku wojskowej dyktatury szukała pilnie sposobów na to, by Zachód dogonić, a nawet przegonić. W odróżnieniu od krajów Europy Środkowej i Wschodniej, także przechodzących w latach 90. szybką transformację, w Seulu uznano, że ekspansja kultury jest równie ważna jak promowanie turystyki, jak inwestycje w nowe technologie i eksport zaawansowanych produktów. Co się w następstwie tego wyboru wydarzyło?

TEN SYSTEM DZIAŁA

Po pierwsze, „wielu koreańskich reżyserów i producentów zaczęło uczyć się fachu w USA i w Europie”. Po drugie, „rząd dawał twórcom bezpośrednie wsparcie finansowe. Koreański rząd stworzył radę filmową podobną do brytyjskiej. Fundusze były rozdawane za pomocą systemu wniosków o dotacje”. Co ciekawe, szczególnie chętnie wspierano produkcje niskobudżetowe i alternatywne – czyli tani poligon dla przyszłych tuzów kina. „Rząd budował też i prowadził kina studyjne”. Po trzecie nastąpił wielki rozwój kinowych multipleksów, najnowocześniejszych w świecie, które powstały dzięki wspomnianej wcześniej CJ Group i zaangażowaniu pani Miky Lee. Tu bardzo ważne uzupełnienie: Korea jest także krajem, w którym obowiązywały niezwykle ostre zasady prowadzenia biznesu kinowego i telewizyjnego. System kontyngentów nakazywał, by przez określoną liczbę dni w roku wyświetlano na ekranach jedynie filmy koreańskie, także w kanałach telewizyjnych produkcje z importu egzystują w ograniczonym wymiarze, zwykle pokazywane późnym wieczorem.

Wreszcie rzecz chyba najważniejsza: KVIC, czyli Korean Venture Investment Corporation. Jak pisze Euny Hong, jest to „wspierany przez rząd fundusz z budżetem przekraczającym miliard dolarów, pochodzącym ze środków rządowych i prywatnych, przeznaczonych wyłącznie na promowanie koreańskiej kultury popularnej”. Fundusz uruchomiono w roku 2005, niezależnie od istniejącego już systemu produkcji filmów w wyspecjalizowanych studiach. Mamy tu zatem de facto do czynienia z systemem podwójnych dotacji – najpierw film może zostać wyprodukowany dzięki państwowym pieniądzom, a potem jeszcze dodatkowo za kolejne państwowe pieniądze rozreklamowany. Przy czym wskażmy też, że jednym z elementów promocji jest znany na całym świecie festiwal filmowy w Busan. W odróżnieniu od polskiej imprezy w Gdyni nie jest to miejsce, gdzie kółko wzajemnej adoracji grzeje się w cieple własnych komplementów, lecz teren łowów, na które przyjeżdżają goście z całego świata, żądni nowych, dobrych filmów, które można zakupić i dystrybuować, nowych reżyserów, których można podkupić, nowych pomysłów, na podstawie których można kręcić u siebie własne wersje koreańskich hitów.

Historia Bonga Joon-ho, reżysera oscarowego po czterokroć „Parasite”, pokazuje, jak skuteczny i wydajny jest koreański system. Po debiutanckiej niedrogiej czarnej komedii „Szczekające psy nie gryzą” (2000) zabrał się do kina gatunków. Nakręcił nastrojowy thriller „Zagadka zbrodni” (2003), a potem jeden z największych hitów kina koreańskiego w dziejach, czyli „The Host: Potwór” (2006), skrzyżowanie science fiction i horroru o przerażającej bestii żyjącej w ściekach rzeki Han w Seulu i polującej na ludzi. Do kryminału wrócił filmem „Matka” (2009), do fantastyki filmem „Snowpiercer: Arka przyszłości”, opartym na francuskim komiksie, kręconym w Pradze, w języku angielskim, z zachodnią obsadą i myślą o rynku amerykańskim. Kolejny film, „Okja”, dystrybuowany był przez Netflixa i pokazywany w głównym konkursie w Cannes. Potem nadszedł „Parasite”, bez wątpienia najdolrzalszy i najlepszy z dotychczasowych filmów Bonga Joon-ho.

ŻOŁNIERZE KOREAŃSKIEJ INWAZJI KULTURALNEJ

Zatem: niskobudżetowe początki, potem błysk talentu i kasowy sukces na rynku lokalnym, wreszcie przebicie się na rynkach międzynarodowych i uznanie zarówno krytyków, jak i publiczności, ale na warunkach koreańskich („Snowpiercer” większość budżetu zawdzięczał Korei). „Parasite” nie tylko zdobył wiele nagród, lecz także okazał się hitem w amerykańskich kinach. Teraz zaś świat stoi otworem, a z doniesień prasy branżowej wynika, że błyskawicznie rośnie kolejka międzynarodowych funduszy chętnych do zainwestowania w koreańskie produkcje filmowe.

Bong Joon-ho jest zaś najbardziej teraz fetowanym, ale tylko jednym z wielu żołnierzy koreańskiej inwazji kulturalnej. Jego oscarowy sukces jest ogromny, lecz przed nim festiwal w Cannes wygrał

eprasa.pl 631be42f7a

przecież Park Chan-wook („Oldboy", 2003), który dostał też nagrodę BAFTA za „Służącą" (2016), wychwalany był za „Pragnienie" (2009), za „Panią zemstę" (2005), a ostatnio nakręcił serial „Mała doboszka" dla BBC One na podstawie powieści Johna Le Carré. Kim Ki-duk zdobywał nagrody na festiwalach w Berlinie, Cannes i Wenecji (na tym ostatnim w 2012 r. wygrał filmem „Pieta"), kinomani zaś znają doskonale jego obrazy: „Samarytanka", „Łuk", „W sieci" czy „Wiosna, lato, jesień, zima... i wiosna". Długo by wymieniać. Jest Kim Jee-woon („Ujrzałem diabła", „Opowieść o dwóch siostrach"), jest Kang Je-gyu („Braterstwo broni"), którego film „Swiri" był w roku 1999 jednym z pierwszych, dzięki którym zaczęto uważniej przyglądać się kinematografii koreańskiej. Są też Lee Joon-ik, Ryoo Seung-wan, Hong Sang-soo, Na Hong-jin.

Ostatnie 20 lat było czasem, w którym objawiło się w Korei wiele talentów filmowych, a „koreańska fala" dotarła w najdalsze zakątki świata. Co warte podkreślenia, międzynarodowe sukcesy są dziełem twórców nowej generacji, którzy w zdecydowanej większości nie brzydzą się kinem mocno komercyjnym, nawet jeśli prędzej czy później obracają się ku produkcjom bardziej ambitnym.

Popatrzmy dla porównania na listę polskich nominacji oscarowych po roku 1989. Na pierwszą musieliśmy czekać do roku 2007 i otrzymało ją dzieło „Katyń" uznanego twórcy – Andrzeja Wajdy, który odnosił największe sukcesy dekady wcześniej. Kolejna trafiła się Agnieszce Holland („W ciemności"), która z kolei od dziesięcioleci częściej pracuje na Zachodzie niż w Polsce. Dwie nominacje (w tym jeden Oscar) trafiły do Pawła Pawlikowskiego, który rzemiosła uczył się w Wielkiej Brytanii i na Zachodzie pracował nad rozsławieniem nazwiska. O żadnym z tych przypadków nie możemy powiedzieć, że jest to sukces młodego polskiego kina. W polskich studiach produkcyjnych bieda piszczy. Budżety promocyjne są żenujące. Tym ważniejsza jest tegoroczna nominacja dla Jana Komasy za „Boże Ciało" – oto wreszcie zauważono polskiego reżysera, który nie dobił jeszcze do czterdziestki, a uformował się i wyuczył w III RP.

Jak to możliwe, że Korea Południowa, kraj, którego filmy do lat 90. XX stulecia były w Azji synonimem badziewia, nudy i paździerza, a poza Azją nieznane, dziś jest filmową potęgą? Pytanie tym boleśniejsze, że mówimy o państwie, które tak jak Polska rozwija się tak naprawdę dopiero od trzech dekad, nie jest dużo od Polski ludniejsze (Korea liczy nieco ponad 50 mln mieszkańców) i którego język brzmi w uszach przeciętnego zachodniego widza równie dziwacznie jak polski? Nie mieli Koreańczycy w XX w. żadnej tak chwalonej w świecie szkoły filmowej jak łódzka filmówka, nie urodzili się tam żaden Wajda, Jerzy Hoffman czy Wojciech Jerzy Has (złośliwi powiedzą, że właśnie dlatego im się teraz udało).

W polskich studiach bieda piszczy. Budżety promocyjne są żenujące. Tym ważniejsza jest tegoroczna nominacja dla Jana Komasy za „Boże Ciało"

Sukces koreańskiego kina jest efektem splotu kilku czynników, o których nad Wisłą możemy tylko pomarzyć. Oprócz wielkich pieniędzy na produkcję i promocję trzeba wskazać na mądre założenie leżące u podstaw budowy przez państwo wielkiej machiny produkcyjno-promocyjnej: nie wystarczy, że koreańskie filmy powstają, przede wszystkim mają być oglądane. Ucząc się rzemiosła, koreańscy twórcy uczą się także, że najważniejszy jest widz. Z tego rozliczają ich państwowe instytucje. Sam mecenat państwa też by nie wystarczył, w produkcję filmową i promocję Korei angażują się także wielkie koreańskie firmy prywatne. Rzecz jeszcze ważniejsza od pieniędzy: konsekwencja. Od ćwierćwiecza polityka kulturalna jest podtrzymywana, rozwijana i dofinansowywana, nie ma mowy o tym, żeby jakiś rząd kurek z pieniędzmi zakręcał.

Jest wreszcie porozumienie, a może raczej rozejm między twórcami a państwem. Nie oznacza to, że koreańscy twórcy kręcą filmy po to, by politykę państwa wychwalać. Wszak „Parasite" to bardzo gorzkie oskarżenie wobec współczesnej Korei, rzecz o rosnących rozwarstwieniach społecznych, o nepotyzmie. Bong Joon-ho mówi, że podczas pisania scenariusza był przekonany, że powstaje dzieło bardzo hermetyczne, które nie będzie zrozumiałe poza jego ojczystym krajem. Nie sądzę jednak, by główną częścią działalności reżyserów i aktorów w Korei było obsobaczanie w gazetach rządu, który daje im pieniądze, bluzganie na ministrów na Twitterze albo polityczne tyrady podczas odbierania nagród na festiwalach. „Pisanie scenariusza jest zawsze samotnym procesem" – mówił, odbierając Oscara, Bong Joon-ho. „Nigdy nie piszemy po to, aby reprezentować nasze kraje. Ale to pierwszy Oscar dla Korei Południowej, więc dziękuję!".

DROGOWSKAZ DLA POLSKI

Polskie kino nie stanie się światową potęgą tylko dlatego, że zwiększymy nagle budżet Polskiego Instytutu Filmowego dziesięciokrotnie (choć bardzo by się to przydało) albo założymy Fundusz Wspierania Polskiej Popkultury i damy mu może nie 1 mld dolarów, ale na początek 100 mln dol. (przydałoby się jeszcze bardziej). Potrzebne są jeszcze zasady, według których premiowane będą zarówno talent, jak i rzemiosło, państwowi autorzy polityki kulturalnej zaś choć odrobinę serca do popkultury znajdą. (Na razie znaleźli je do branży gier komputerowych – dobre i to). Potrzebny jest system wsparcia i promocji nowych talentów. Polecałem niedawno czytelnikom „Do Rzeczy" film „Proceder" braci Węgrzynów. Kosztował 5 mln zł, wygląda, jakby miał budżet kilkakrotnie większy. Co więcej, w kinach chciały obejrzeć go tłumy. Potrzebujemy takich filmów na tuziny. Wielu rzeczy możemy się od Korei Południowej nauczyć.

Po drugiej stronie, wśród twórców, potrzebne są tylko dwie rzeczy. Pierwsza, oczywista, to talent. Druga to zrozumienie, że jest istotna różnica między kontestowaniem nielubianej partii a kontestowaniem państwa. Tymczasem jedyne, co mają do powiedzenia rodzimi kandydaci na zdobywców Oscara, to to, że PiS to hunwejbini (Agnieszka Holland) albo że PiS to hejt i że „nie chcę PiS" (Dominika Kulczyk na festiwalu OFF Camera). Cóż, jestem mocno przekonany, że nawet gdyby Agnieszce Holland udało się w pojedynkę rządy PiS obalić i doprowadzić do tego, „żeby było tak, jak było", to odrestaurowana władza pieniędzy na wypromowanie jej do czterech Oscarów nie znajdzie.
À propos Dominiki Kulczyk: kusi mnie też, by napisać, że każdy kraj ma taką panią Miky Lee, na jaką zasłużył, ale przecież to nieprawda. Polski widz zasłużył na dużo, dużo więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

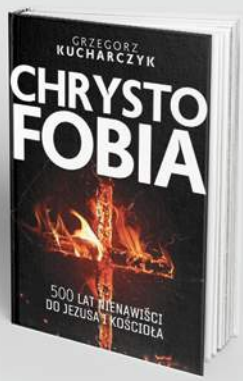

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
GRZEGORZ KUCHARCZYK „CHRYSTOFOBIA. 500 LAT NIENAWIŚCI DO JEZUSA I KOŚCIOŁA"

~~347 ZŁ~~ > **139,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 208 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 631be42f7a

Jakże piękna korona!

Krzysztof Masłoń

Polska ma bogatą i fascynującą historię. Trzeba ją szanować

Czy na naszych oczach spełnia się marzenie komunistycznych władców PRL o tym, by krnąbrny naród pokochał Piastów, ze wstrętem odwracając się od ich następców, przede wszystkim od Wazów, którzy wykazywali niebezpieczne inklinacje do walk ze wschodnim sąsiadem? Piastów mieliśmy wielbić głównie ze względu na darowane nam łaskawie przez Stalina tzw. Ziemie Odzyskane. Szczecina było jednak mocno problematyczne. Szczególnie podnoszone były za to zasługi Władysława Łokietka z uwagi na wygraną przez niego bitwę pod Płowcami, gdzie pokonał Krzyżaków. Zwycięstwo to później pięknie zdyskontował już nie Piast, lecz Jagiełło, ale ciąg zdarzeń został zachowany i pokonany wróg utożsamiany z Niemcami (oczywiście Zachodnimi; pamiętamy z lubością pokazywanego w płaszczu krzyżackim kanclerza RFN, wtedy NRF, Konrada Adenauera), sczezł u słowiańskich stóp.

Z piastowskimi orłami na czele wkroczyła na pola naszej historycznej wyobraźni telenowela „Korona królów". Od 1 stycznia zeszłego roku wyemitowano już ponad 300 odcinków tego dzieła, które w pierwszych tygodniach spotkało się z tak silną falą hejtu jak

eprasa.pl 631be42f7a

Scena z serialu TVP „Korona królów" w reżyserii Wojciecha Pacyny. W kadrze: Stanisław Zatłoka, Halina Łabonarska, Marta Bryła, Wiesław Wójcik, Sławomir Orzechowski i Marcin Rogacewicz

FOT. MARCIN MAKOWSKI/TVP

mało która produkcja „reżimowej" Telewizji Polskiej. Jednak choć krytyka była w wielu przypadkach uzasadniona, „Koronie…" od samego początku nie brakowało widzów. Jeśli ponad milion widzów niemal codziennie zasiada przed telewizorami, by oglądać obrazki z dziejów ojczystych, to tego zjawiska lekceważyć nie należy. A czy podziwiają grę aktorów, czy bawią ich – przyznajmy, nieszczególne – dowcipy drugorzędnych postaci, czy też przeżywają intrygi dworskie, to już mniej istotne. Na pewno dobrym pomysłem było wzbogacenie serialu o nadawany raz w tygodniu odcinek, rzec można – popularnonaukowy, w którym aktor Wojciech Żołądkowicz przybliża kulisy przedstawianych wydarzeń, niekiedy łopatologicznie je tłumacząc. Z pewnością, jak wcześniej magnesem była grająca w serialu Halina Łabonarska, tak teraz w pierwszoplanowej roli obsadzona została zmieniająca kreacje Grażyna Szapołowska. O kreacjach wspomniałem nieprzypadkowo – po siermiężnym początku telenoweli jej pierwszorzędnym atutem stały się kostiumy Elżbiety Radke i scenografia Andrzeja Halińskiego.

Do tej pory serial zdominowała postać Kazimierza Wielkiego. Niestety dla mnie ojciec jego – Władysław Łokietek – ledwie w „Koronie królów' zaistniał, a już umarł. Tymczasem był to władca pod wieloma względami wyjątkowy i wcale się nie dziwię Elżbiecie Cherezińskiej, która w swoim cyklu powieści „Odrodzone królestwo" właśnie na Łokietku zatrzymała się na dłużej. Popularna pisarka żartobliwie zadeklarowała kiedyś, że „leci na Piastów", ale – jak się okazuje – na jednych bardziej, na innych mniej.

A Stanisław Cat-Mackiewicz, choć utrzymywał, że to „Piastowie prowadzili i doprowadzili Polskę do upadku, a Jagiellonowie do wielkości i mocarstwowości", to pisał: „Gdyby nie Władysław Łokietek, rodzina ta doprowadziłaby do rozkawałkowania, rozdrobnienia, rozpłynięcia się państwa, przez pierwszych Piastów stworzonego. Przecież książęta śląscy z najstarszej linii piastowskiej obierają sobie obcych monarchów na suzerena, niemczeją, odrywają Śląsk od Polski".

WIELKI FORMAT „ŁOKETA"

Łokietek patrzył przede wszystkim na południe. Zależało mu najbardziej na Krakowie – co oczywiste, ale w perspektywie, i to nieodległej, chciał zjednoczyć ziemie dawnej Korony Bolesławów. Zrealizować to, co nie udało się, mimo wielu prób, Przemysłowi.

Najpierw umocnić się musiał w Wielkopolsce. To oczywiście prowadziło do pomniejszych wojen. Profesor Andrzej Nowak zwraca uwagę na dokonany w końcu XIII w. najazd przyszłego króla na Śląsk, „zapewne na ziemie Głogowczyka i być może także Bolesława opolskiego, klientów Wacława czeskiego. Księcia Władysława wspierały w tym najeździe posiłki węgierskie, od króla Andrzeja III, a także – choć ta informacja źródłowa nie jest już pewna – akcja dywersyjna Bolesława mazowieckiego, skierowana na Małopolskę. Łokietek, Bolesław mazowiecki i Węgry – ten układ sojuszników będzie się jeszcze powtarzał, przeciwstawiając się politycznej konstelacji, którą skupiał wokół siebie król Wacław II czeski". Tego ostatniego autor „Dziejów Polski" nie bez racji nazywa „mistrzem przekupstwa i dyplomacji",

eprasa.pl 631be42f7a

opartej na pozyskiwanych tytułach własności. A Łokietek, cóż, na prawie się nie wyznawał, za to otwierały się przed nim coraz to nowe fronty walki: na Pomorzu, w Wielkopolsce, przeciw Brandenburczykom, przeciw Henrykowi głogowskiemu. Jeśli zaś chodzi o bezpośrednie starcie z potęgą króla czeskiego, to nie miał w nim szans. A ten wyruszył w wyprawę zbrojną, mając u boku nie tylko rycerzy czeskich, lecz także posiłki Ottona Bawarskiego i piastowskich lenników z Górnego Śląska, a wreszcie i rycerzy z małopolskich księstw Wacława. W końcu we wrześniu 1300 r. piątym królem Polski – po Chrobrym, Mieszku II, Bolesławie Szczodrym i Przemyśle II – został on właśnie, Wacław II. A Łokietek stał się… wygnańcem.

Czy rzeczywiście to tułactwo uczyniło z niego męża stanu wielkiego formatu? Jan Długosz pisał: „Władysław Łokietek smutną dolę wygnania z tak wytrwałą znosił cierpliwością, że wielu litowało się nad jego nieszczęściem, a wszyscy podziwiali stateczność umysłu i pokorę. Jakoż wygnanie to stało się dla niego nie tak karą za przestępstwa, jak raczej probierzem wytrwałości i pobudką do cnoty". Wcześniej jednak piętnował występki Władysława i jego rycerzy, rozboje i gwałty. „A więc Łokietek – konkluduje prof. Nowak – był trochę dzikim awanturnikiem, gwałcicielem nawet (jakim potem był niewątpliwie jego syn, Kazimierz Wielki) – tyle że w końcu pod wpływem życiowych doświadczeń się zmienił, wyszlachetniał? Taki trochę jak Kmicic ze swoimi kompanionami z pierwszych stron Sienkiewiczowskiego »Potopu«, który potem, przez lata hartującej charakter walki o ojczyznę, zmienia swój charakter i miejsce w narodowej historii? Droga przez Karpaty jest przełomem? Droga wychodźcy i droga powrotu z wychodźstwa – do ojczyzny, do Królestwa Polskiego?".

Nie był wcale Władysław Łokietek, jak powszechnie się sądzi, wyjątkowo niskim mężczyzną, podobnie jak jego syn nie był znów (i to pod każdym względem) aż tak wielki. Podobno przydomek „Łoket" wyrażać miał raczej pogardę jego antagonistów dla tego, zdawałoby się, mało znaczącego księcia. Nie był niskiego wzrostu – jak orzekł Długosz – nie był też człowiekiem ciemnym, nieznającym niczego poza swoim zaściankiem. A że wiele zawdzięczał swojej żonie, Jadwidze – jak przekonuje nas „Korona królów" – to akurat prawda.

Odnośnie do Kazimierza Wielkiego to miał on prawdopodobnie 183 cm wzrostu. Na swoje czasy sporo, o ile – rzecz jasna – pomiar ten uznamy za wiarygodny. Najostrzej chyba krytykował go Stanisław Cat-Mackiewicz, który – najogólniej rzecz biorąc – wytykał mu brak tego wojowniczego ducha, który aż w nadmiarze prezentował Łokietek. A ten ostatni dowiódł przecież pod Płowcami, że Polska potrafi walczyć i zwyciężać (czytaj: Luksemburgów i Krzyżaków). Tak czy inaczej, Andrzej Nowak wyszczególnia, dlaczego to Kazimierz, jako jedyny polski władca, nazwany został Wielkim: „Bo zwiększył terytorium swojego państwa ponaddwukrotnie; okno na Ruś, które próbowali uchylać jego poprzednicy od czasów Chrobrego, on umiał przemienić w bramę otwartą szeroko na następne stulecia; potrafił też doskonale zorganizować i umocnić to, co odziedziczył, i to, co zdobył, wedle najlepszych wzorców swego czasu".

SZLACHETNOŚĆ I MAJESTAT

Na marginesie warto zauważyć, że czasy Łokietka już wcześniej przyciągały uwagę Polaków. I nie trzeba wcale odwoływać się do Kraszewskiego czy Przyborowskiego. Z nie tak odległych w czasie pisarzy należy wymienić Karola Bunscha, a także telewizyjne seriale z czasów PRL: „Gniewko, syn Rybaka" Bohdana Poręby i stanowiący jego rozwinięcie „Znak orła" Huberta Drapelli. W tym pierwszym tytułowym Gniewkiem był Marek Perepeczko, a w drugim Łokietkiem – Ryszard Filipski. Wpisywały się te obrazy w antykrzyżacką (czytaj: antyzachodnioniemiecką) politykę, której wtedy historyczną nikt jeszcze nie nazywał. A te akurat seriale osnute były wokół zajęcia Gdańska w 1308 r. przez Brandenburczyków wspomaganych przez Krzyżaków, którzy dopuścić się mieli wówczas niesłychanych rzezi. Mowa była o 10 tys. zgładzonych ludzi, co z pewnością było mocno przesadzo-

eprasa.pl 631be42f7a

Krzysztof Chamiec w filmie Czesława i Ewy Petelskich „Kazimierz Wielki", premiera: 1976 r.
FOT. STUDIO FILMOWE „KADR"

nym szacunkiem, zważywszy, że Gdańsk liczył sobie wtedy 3 tys. dusz. Tak czy inaczej doszło do masakry, o którą pytał papież Klemens V, czy jest prawdą, „że wspomniani mistrzowie i bracia niespodziewanie wszedłszy do ziemi naszego ukochanego męża Władysława, księcia Krakowa i Sandomierza, w mieście Gdańsku ponad dziesięć tysięcy ludzi zgładzili mieczem, przynosząc śmierć płaczącym w kołyskach niemowlętom, których by nawet nieprzyjaciel wiary oszczędził". Zarzut został, oczywiście, odrzucony przez Krzyżaków, ale nawet oni nie posunęli się w swojej bezczelności tak daleko jak niemieccy specjaliści od nacjonalistycznej historiografii, którzy uznali łaskawie śmierć zadaną maksymalnie 16 rycerzom strony przeciwnej, do tego na zlecenie Łokietka. Polscy zaprzańcy ubierający się w szaty „wolnych" gdańszczan przekaz ten podtrzymują, a jakże, co dowodzi jednego tylko, że kreatur w naszym kraju nie brakuje.

Wracając do filmowców, to oni chętnie sięgali do początków naszej państwowości, że tylko wspomnę w tym miejscu „Gniazdo" Jana Rybkowskiego z Wojciechem Pszoniakiem (tak, tak) w roli Mieszka I czy „Kazimierza Wielkiego" małżeństwa Petelskich z Krzysztofem Chamcem w roli głównej, a np. Zofią Saretok w znanej z serialu „Korona królów" roli Cudki, królewskiej kochanki.

Andrzej Nowak, oceniając Łokietka, cytował innego wybitnego historyka, Jana Baszkiewicza, który pisał: „Z wawelskiego sarkofagu Łokietka patrzy na nas twarz jasna, bardzo słowiańska, o rysach grubo ciosanych, a przecież niepozbawiona ani szlachetności, ani majestatu. Spójrzmy na nią z szacunkiem. Jest to twarz człowieka, któremu historia pozwoliła stać się jednym z budowniczych naszej państwowości. I jednym z rządców, o jakich modlił się dla Polski poeta, rządców mądrych w mądrości i dobroci".

Na pewno wielbicielem Kazimierza Wielkiego, zresztą Piastów w ogóle, był Paweł Jasienica. Jakoś to się wpisywało w politykę powojennej Polski, niepewnej o swoje granice zachodnie i północne. Czasem prowadziło to znakomitego pisarza i publicystę na manowce, jak wtedy, gdy stwierdził, że „jeszcze jedno – dwa pokolenia Piastów i Polska wraca nad Bałtyk". „Piastowie po Kazimierzu – kontruje prof. Nowak – z innych, niekrólewskich linii, nie wykazywali żadnych zgoła talentów, które by tak optymistyczny osąd uzasadniały. Minęły za to dwa pokolenia bez Piastów – i Polska nad Bałtyk wróciła. Nie tracąc przy tym Rusi, którą w wypadku przedłużenia dynastii piastowskiej na polskim tronie musiałaby przecież (zgodnie z umowami Kazimierza z Ludwikiem) oddać silniejszym Węgrom".

SPLOTY DZIEJOWEGO DNA

Z kolei gdy czytałem ostatnią „Piastowską" książkę Elżbiety Cherezińskiej „Wojenna korona" (Boże, ileż tych koron!), przypomniała mi się jej deklaracja: „Chcę, poprzez powieści, rozkochać Polaków we własnej historii, chcę, by ona znów zaczęła dla nich żyć i ich fascynować". Czy to się jej udało? W dużej mierze tak. Budzi uznanie bardzo wyważone potraktowanie przez nią naszych wrogów. Naszych to znaczy wrogów Łokietka, nazbyt poufale nazywanego przez pisarkę po prostu Władkiem. I tak zestawia go z Janem Luksemburskim: „Stary król i młody król. Z pozoru różni ich wszystko. Jan bez wątpienia jest »obywatelem Europy«, celebrytą swoich czasów. Urodzony w Luksemburgu, wychowany w Paryżu, król Czech, który w swym królestwie nie umiał zagrzać miejsca. […] Jego pasją stała się dyplomacja, już niedługo (choć jeszcze nie w czasie akcji tej powieści) na europejskich dworach będzie się mówiło, że »bez Boga i czeskiego króla nic się wydarzyć nie może«".

A Krzyżacy? „Sprawni i skuteczni – powiada Cherezińska. – Tradycyjnie znienawidzeni w naszej kulturze, bo i zaleźli przodkom za skórę. Mnie jednak intrygują, lubię przyglądać się ich bezkompromisowemu pochodowi (mam tę przewagę nad Władkiem, że wiem o Grunwaldzie). Są kolejnym dowodem na to, że w historii nic nie dzieje się w próżni. Gdyby król Węgier, Andrzej II, nie rozgryzł ich zamiarów w porę i nie wygnał ze swego kraju, Konrad Mazowiecki nie sprowadziłby ich do obrony swego księstwa. A wcześniej? Gdyby Królestwo Polskie nie rozpadło się na dzielnice po tak zwanym testamencie Bolesława Krzywoustego, nasi przodkowie sami poradziliby sobie z wojowniczymi Prusami i nie byłoby powodu, by Krzyżaków do nas sprowadzać. Gdyby, gdyby, gdyby. Gdybać można w nieskończoność, ale sploty dziejowego DNA zaprowadziły nas w zupełnie inne miejsce. W pewnym sensie przed czasami Władka problem krzyżacki nie istniał. Czy słaby władca, za jakiego uważali go przed koronacją, sprowokował ich do agresywnej polityki na Pomorzu? Czy też zakonny plan dojrzewał latami i ujrzał światło dzienne w jego czasach? Jedno i drugie. To sploty zdarzeń, którymi tak przyciąga mnie do siebie historia".

Niech przyciąga i nas, pewnie trochę zdziwionych, że polubiliśmy Piastów sami z siebie. Telewizyjny tasiemiec może nas zachęcić do lektury Elżbiety Cherezińskiej, jej powieści z kolei do zaznajomienia się z kapitalnymi „Dziejami Polski" Andrzeja Nowaka. Mamy wspaniałą i bogatą historię, której nie wywrócą na nice wywody mające na celu udowodnienie jednego tylko, że zawsze, ale to zawsze w dziejach byliśmy gorsi i winni. Na dyskusję z „poprawiaczami" naszej historii w duchu nowoczesności czy ponowoczesności szkoda czasu. Niech się walą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Żeby ludziom było weselej

Zenon Martyniuk nie zna nut, tak jak John Lennon. O Beatlesach nakręcono kilka dobrych filmów. Disco polo szczęścia do wielkiego ekranu nie ma.

Króluje asekuranctwo: mając do wyboru szyderę i apoteozę, nasi reżyserzy dostają małpiego rozumu. Robert Gliński uciekł w komedię pseudoromantyczną, Maciej Bochniak w pastisz i postmodernizm. Jan Hryniak też wykonał unik. Ożenił mockument z konwencjonalną opowieścią o dojrzewaniu do roli showmana, męża i ojca. Ospałą narrację miały ożywić przeskoki czasowe, lecz i tak „Zenek" ciągnie się jak guma od starych kalesonów.

Lwia część akcji rozgrywa się u schyłku lat 80., pokazanych z nieukrywaną nostalgią. Adam Słodowy w telewizorze, milicyjne nyski na ulicach, kasety magnetofonowe na bazarze, fryzury na Limahla i honorarium za występ wypłacane w butelkach wódki. Do tego dochodzą czar filmowanego z drona Podlasia i wielokulturowość. Wujek Zenka śpiewa na weselach, lecz nie tylko taka muzyka inspiruje przyszłego idola. W kościele śpiewa „Ave Maria", kręcą go śpiewy cerkiewne i cygańskie ballady. Nastoletni Martyniuk pije, pali, a nawet zalicza epizod kryminalny, lecz w zasadzie słucha się mamy i jest poczciwy do bólu.

Wątek romantyczny kuleje. Czarnymi charakterami są fani rocka, którzy mają ochotę stłuc gwiazdora muzyki chodnikowej na kwaśne jabłko. Akcent, podobnie jak Beatlesi, koncertuje na dachu, zaś wokalista wygłasza swoje artystyczne credo: „Śpiewam, żeby ludziom było weselej". Gdy już zaczynamy oswajać się z leniwym tempem fabuły, znienacka zaczyna się wiek XXI, a wraz z nim thriller.

Z trzech Martyniuków, pojawiających się na ekranie, najlepiej wypadł ten najmłodszy, z twarzą Jakuba Zająca. Krzysztof Czeczot wykazuje objawy zblazowania. Fałszywy uśmiech, wielki złoty sygnet na palcu i dom w stylu Carringtonów sugerują, że sukces trochę zepsuł chłopaka z Podlasia. Zenek spotyka się z prezydentem Kwaśniewskim, ale na ekranie tego nie zobaczymy. Szkoda, wątek polityków zgrywających swojaków i próbujących się przykleić do ulubieńca mas, mógłby być ciekawszy niż wyssany z palca kidnaping.

Hryniak wystawia widzów, zakochanych w piosenkach Akcentu, na ciężką próbę. „Oczy zielone" w pełni wybrzmią dopiero na tle napisów końcowych. Muzycznymi lokomotywami filmu są covery („Daj mi tę noc", „Papierowy księżyc", przeboje Boney M., Culture Club i Papa Dance). Bohater spełnia marzenie życia, śpiewając razem ze wspomnianym Limahlem „Neverending Story".

Obawiam się, że ludzie tego nie kupią i „Zenek" wyścig z „365 dniami" przegra z kretesem. A w blokach startowych czeka już Patryk Vega. ©℗

★★☆☆☆☆

REŻ. JAN HRYNIAK
„ZENEK"
POLSKA 2020

wyst. Jakub Zając, Krzysztof Czeczot, Karol Dziuba

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ZEW KRWI"

Najnowsza ekranizacja klasycznej powieści Jacka Londona. Budżet to ponad 100 mln dol., gwiazdorska obsada (m.in. Harrison Ford jako poszukiwacz złota John Thornton), a reżyserię powierzono Chrisowi Sandersowi, który wcześniej nakręcił m.in. animowane hity „Lilo i Stich" oraz „Jak wytresować smoka". Jako scenarzysta pracował m.in. przy „Królu Lwie" i „Mulan". Za zdjęcia odpowiada z kolei nasz rodak, etatowy współpracownik Spielberga, Janusz Kamiński. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Zew krwi" („The Call of the Wild"), reż. Chris Sanders, wyst. Karen Gillan, Harrison Ford, Cara Gee, USA 2020***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Matthias i Maxime", reż. Xavier Dolan, Kanada 2019***
- ***„Sybilla", reż. Justine Triet, Belgia/Francja 2019***
- ***„Głupie, młode serce", reż. Selma Vilhunen, Finlandia 2018***
- ***„Bad Boy", reż. Patryk Vega, Polska 2020***

eprasa.pl 631be42f7a

Niepewność w Kanadzie

Xavier Dolan, zaliczywszy czołowe zderzenie z amerykańskim przemysłem rozrywkowym, zrozumiał, że mainstream nie dla niego, i wrócił lizać rany do rodzinnego Quebecu.
Czy lekcja pokory nie pójdzie na marne, to się dopiero okaże. Na razie cudowne dziecko znów stanęło po obu stronach kamery. Krytycy twierdzący, że odkąd Dolan przestał być bohaterem swoich filmów, stracił ciąg na bramkę, mają radochę, choć twórca skazany na autobiografizm zasługuje raczej na współczucie. W każdym razie „Matthias i Maxime" to kawał dobrego kina, ze świetnymi dialogami i postaciami, w które się wierzy, nawet jeśli się ich do końca nie rozumie.

★★★★☆☆
REŻ. XAVIER DOLAN
„MATTHIAS I MAXIME"
KANADA 2019

wyst. Gabriel d'Almeida Freitas, Xavier Dolan, Pier-Luc Funk

Dolan odtworzył stan zawieszenia, w jakim tkwią młodzieńcy, którzy przed trzydziestką nie założyli rodziny i najlepiej czują się w towarzystwie sprawdzonych kumpli z podwórka i szkolnej ławy. Przychodzi jednak moment, gdy trzeba dorosnąć i zmienić otoczenie. Ta myśl prześladuje Matta, obiecującego prawnika, którego szef mami wizją gabinetu z lepszym widokiem. Maksowi znacznie dalej do stabilizacji, planuje przeprowadzkę na antypody. Wcześniej jednak dojdzie do incydentu, który zmusi obu panów do zredefiniowania ich relacji. Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie? Wieszcz Adam życie znał, ale chyba coś innego miał na myśli. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NADLUDZIE JAK LUDZIE

★★★★☆☆
REŻ. ZACH LIPOVSKY, ADAM B. STEIN
„ODMIEŃCY" („FREAKS")
USA 2018, DYSTR. MONOLITH

wyst. Emile Hirsch, Lexy Kolker, Bruce Dern

Twórcy „Odmieńców" udowadniają, że nie wielkie budżety i kasowe gwiazdy, lecz dobry pomysł, oryginalny scenariusz i wiarygodne postacie wystarczą, by nakręcić film fantastyczny, trzymający w napięciu lepiej od blockbusterów. Pierwsze partie zwiastują horror, a może coś w duchu postapo. Ojciec i córka zabarykadowani w domu od lat ukrywają się przed czyhającym na zewnątrz niebezpieczeństwem. Jaka jest jego natura? Dlaczego ptaki tkwią nieruchomo na niebie? Kim jest podejrzany właściciel furgonetki z lodami, który czai się u drzwi? Skąd wzięły się duchy na strychu? Rozwiązanie wszystkich tych zagadek kryje się w jednym założeniu fabuły, którego oczywiście nie zdradzę. Nie byłoby sukcesu tego filmu, gdyby nie trafiona obsada. Mała Lexy Kolker jako Chloe jest znakomita, Emile Hirsch w roli jej ojca niewiele słabszy. Bruce Dern, jeden z najbardziej zapracowanych staruszków w Hollywood (osiem filmów i dwa seriale w samym tylko 2019 r.), też zapada w pamięć.

ZABIJĘ ICH WSZYSTKICH

★★☆☆☆☆
REŻ. ADRIAN GRUNBERG
„RAMBO: OSTATNIA KREW"
USA 2019, DYSTR. MONOLITH

wyst. Sylvester Stallone, Paz Vega

Weteran John Rambo żyje na odludnej farmie i nie wadzi nikomu, ale na wszelki wypadek kopie podziemne tunele i zakłada pułapki. Słusznie, bo kiedy narkotykowi gangsterzy porwą córkę jego gosposi, a on, szukając pomsty, wyruszy na krwawe łowy do Meksyku, inwazja żądnych rewanżu bandziorów będzie tylko kwestią czasu. W odróżnieniu od serii „Rocky", która doczekała się odświeżenia w cyklu „Creed", opowieść o Rambo zamienia się w najnowszym filmie w autoparodię. Niby wszystkie kluczowe elementy są na ekranie, a Stallone nie utracił ani mięśni, ani charyzmy, jednak trudno brać na poważnie tę produkcję, kiedy już widziało się „Traffic", „Sicario" czy „Narcos". Nic gorszego dla kina akcji od nieintencjonalnej śmieszności, a tak właśnie może zapisać się w pamięci widzów „Ostatnia krew". Może przedostatnia, bo żegnamy Johna Rambo siedzącego w fotelu na własnej werandzie. Nie powinien już z niego wstawać. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ZOMBIE ARMY 4: DEAD WAR" ★★★★☆☆

Druga wojna światowa, jak żaden konflikt w historii ludzkości, podatna jest na popkulturowe kolaże. Być może najpopularniejszym z nich jest takie przedstawienie wydarzeń, w którym nie walczy się już z konkretnym żołnierzem konkretnego państwa, ale z karykaturą przeciwnika, ubraną w mundur niemieckiego Wehrmachtu. Nie inaczej jest ze strzelanką „Zombie Army 4: Dead War", gdzie w ramach kooperacji z innymi graczami pokonujemy... hordy nazistowskich zombi, wysyłanych do walki przez... powracającego z piekła Adolfa Hitlera. Jeśli komuś nie przeszkadza ten entourage, to bawić się będzie przyzwoicie. Mnie to jednak przeszkadza. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *TPP*
- ***Platforma:*** *PC/XONE/PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Rebellion*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 631be42f7a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Uśmiechnij się jak Beck

Takie książki jak „Najpierw Polska. Rzecz o Becku" budzą całkiem zrozumiałe czytelnicze emocje. Stosunek do osoby przedwojennego ministra spraw zagranicznych i – o czym mniej się pamięta – najbliższego współpracownika Józefa Piłsudskiego uwarunkowany jest tym, czy uważamy II Rzeczpospolitą za wciąż nieosiągalny ideał odzyskanej po rozbiorach państwowości, czy przyjmujemy rosyjską czy raczej sowiecką narrację i widzimy w niej państwo faszystowskie. Ponieważ tę drugą postawę uważam za haniebną, „Rzeczą o Becku" powinienem być zachwycony, jako że niemal w całej masie usprawiedliwia politykę prowadzoną przez polskie MSZ, a co za tym idzie – i balansowanie na linie między dwoma naszymi odwiecznymi wrogami – Niemcami i Rosją – i odebranie Zaolzia (uprzednio zagrabionego nam przez Czechów), i wymuszoną normalizację stosunków z Litwą.

„Obwiniano także Becka – czytamy we wstępie autora – o sprowokowanie wybuchu wojny. Niesłusznie, bo Hitler zaplanował podbój Polski grubo przed tym, nim Beck jako pierwszy w Europie powiedział mu »nie«. Zaliczano też Becka do grona winowajców katastrofy wrześniowej. Jej rozmiar i tempo były w istocie szokujące. Zrozumiałe, że powszechnie wywoływało to uczucie gniewu i goryczy. Zaskoczony był także Beck, najwidoczniej niedoinformowany co do kolosalnej przewagi militarnej Niemiec i naszej słabości".

Zawsze napawał mnie niesmakiem stosunek gen. Sikorskiego i jego ludzi do ekipy sprawującej władzę przed 1 września. Jasne, że klęska prowokowała do szukania winnych, ale winni byli nie tylko „oni". W tym kontekście mocno brzmią słowa Chociłowskiego, np. o Rogerze Raczyńskim, tak idealizowanym przez Jerzego Giedroycia: „Ambasador Roger Raczyński [...] pochwycił w żagle nowy wiatr i dla oszukania sumienia odkrył w sobie nagle gwałtowną odrazę do całej polityki Becka, choć to jemu właśnie zawdzięczał swoją nominację".

FOT. WYDAWNICTWO ISKRY

Jako się rzekło, książka o Becku powinna więc wzbudzić moje najgłębsze uznanie, że jednak autor przedobrzył, pozostawia mnie ostatecznie z mieszanymi uczuciami. Peanów pod adresem Józefa Becka i jego żony Jadwigi vel Dziuby Beckowej jest tu bowiem nadto. Dobre choć to, że Jerzy Chociłowski odnotował nadmierne zamiłowanie ministra do mocnych trunków, co w połączeniu z jego słabą głową przysparzało mu niekiedy kłopotów.

W trakcie lektury niektóre zdania zgrzytają: „Beck nie dał się zmiękczyć, a i Ribbentrop był sztywny jak pręt zbrojeniowy", „Najwidoczniej nie odczytał właściwie sensu tej roszady, będącej zresztą – jak się szybko okazało – cząstką machinacji równie niespodziewanej jak śnieg na Saharze". Podobnych facecji i kolokwializmów jest tu więcej. Czy to one skłoniły prof. Tomasza Nałęcza do napisania następującej laurki: „Pracę Jerzego Chociłowskiego przeczytałem z dużą przyjemnością. Sprawiły to ogromna wiedza autora i jego sprawne pióro, którego brakuje wielu autorom książek historycznych"? Może i tak, zwróciłbym uwagę jednak na znamienny przypis autorski odnoszący się do sławnej wileńskiej akcji gen. Lucjana Żeligowskiego, z którego dowiadujemy się, że „»Bunt Żeligowskiego jako koncepcja rozwiązania problemu wileńskiego« był w 1977 roku tematem pracy magisterskiej studenta wydziału historii Uniwersytetu Warszawskiego i przyszłego prezydenta Bronisława Komorowskiego".

Tak czy inaczej, dowiadujemy się z tej książki o wielu nieznanych sprawach, niekoniecznie z Józefem Beckiem związanych. On sam był z pewnością jednym z najbardziej popularnych polityków swego czasu. Przy tym miał poczucie humoru, a od uśmiechu – o którym śpiewano w Qui Pro Quo – nie stronił.

„Krytykowano Becka z różnych stron i na różne sposoby – przyznaje w końcu autor. – Za to, co robił i czego nie zrobił. Kiedy jeszcze żył i działał oraz dziś, podczas gdybania post fatum. Mimo wszystko jedno pozostaje poza sporem: nie narodziła się w międzywojniu żadna inna sensowna koncepcja polityki zagranicznej oprócz tej, którą prowadził Józef Beck". ©℗

★★★☆☆☆
JERZY CHOCIŁOWSKI „NAJPIERW POLSKA. RZECZ O BECKU" ISKRY 2019

eprasa.pl 631be42f7a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pamiętając Agathę

Każda okazja do świętowania jest dobra, szczególnie w zacnym towarzystwie. Z przymrużeniem oka, ale i z ciepłym uśmiechem witam więc „stulecie Agathy Christie". Nie jest to stulecie urodzin (było w roku 1990) ani śmierci (będzie w 2076 r.). Każda feta podgrzewa jednak sprzedaż, więc zawsze można błysnąć kreatywnością. I tak wydawcy brytyjscy, a w ślad za nimi ci w innych krajach, wykreowali stulecie ukazania się pierwszej powieści Christie.

Z tej okazji wydarzyły się na polskim rynku dwie godne odnotowania rzeczy. Wydawnictwo Dolnośląskie przygotowało specjalną serię wybranych książek brytyjskiej królowej kryminału. Ukazały się już „Morderstwo w Orient Expressie", „Śmierć na Nilu" oraz „A.B.C.", wszystkie w niezwykle eleganckiej szacie graficznej i twardej oprawie.

Jest i druga niespodzianka. Wydawnictwo Egmont rozpoczęło rocznicową edycję adaptacji rysunkowych. Trzy albumy są już w sprzedaży: „Noc w bibliotece", „Tajemniczy przeciwnik" oraz „Morderstwo w Orient Expressie".

Z dwóch przedsięwzięć to drugie jest ryzykowniejsze. Książki Agathy Christie bez trudu znajdują czytelników niezależnie od roku wydania, szaty graficznej czy rodzaju oprawy, było tak przez minione sto lat, tak będzie, mam nadzieję, i przez kolejne sto. Z komiksami trudniej, szczególnie że w Polsce pieniądze (czasem naprawdę duże) na takie albumy najchętniej wydają miłośnicy historii wysmakowanych i nietuzinkowych, wystarczy spojrzeć, jak do ostatniego egzemplarza rozchodzą się tytuły z ekskluzywnej serii „Plansze Europy".

Inną silną grupą fanów są zwolennicy wszelkich odmian fantastyki i horroru.

Jednym i drugim komiksowe adaptacje prozy Christie mogą wydać się nazbyt proste, mam jednak odmienne zdanie. Kreskę i ton barw dopasowano do charakteru opowieści, scenariusze dobrze oddają kluczowe elementy oryginałów, a bardzo konserwatywny dobór artystycznych środków sprawia, że udaje się ocalić ducha tych kryminałów: zarówno staroświeckich, jak i wciąż w całkiem nowoczesny sposób ekscytujących. Kto wie, może te albumy będą dla wielu czytelników zachęconych nazwiskiem „Christie" na okładce początkiem dłuższej przygody z komiksem? ©℗

★★★★★☆
AGATHA CHRISTIE „ŚMIERĆ NA NILU" I INNE
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

★★★★☆☆
EMILIO VAN DER ZUIDEN „TAJEMNICZY PRZECIWNIK" I INNE
EGMONT

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najnowsza powieść najlepszego żyjącego amerykańskiego twórcy kryminału. Książka, której akcja rozgrywa się po ataku na Pearl Harbor, jest drugim tomem „Drugiego kwartetu Los Angeles".

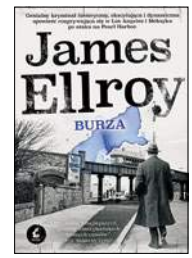

JAMES ELLROY „BURZA" SONIA DRAGA

Biografia niezwykłej kobiety, która wyprzedziła swój czas. Ada Lovelace (1815–1852), córka lorda Byrona, była matematyczką, która współpracowała z Charlesem Babbage'em, twórcą „mechanicznego komputera".

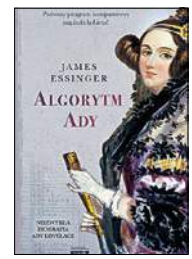

JAMES ESSINGER „ALGORYTM ADY" ZNAK

W odróżnieniu od innych znanych książek o odkrywaniu Dalekiej Północy Lopez opisuje nie tylko losy (często tragiczne) podróżników, lecz także poświęca wiele miejsca mieszkańcom tych ziem oraz dzikiej przyrodzie.

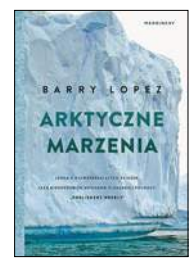

BARRY LOPEZ „ARKTYCZNE MARZENIA" MARGINESY

Rok 2020 został przez Sejm ustanowiony rokiem Tyrmanda, w setną rocznicę urodzin. „Alfabet" ułożony przez Dariusza Pachockiego zawiera m.in. dotąd niepublikowane wypowiedzi z notatek pisarza, listów oraz zasobów IPN. ©℗

poleca Piotr Gociek

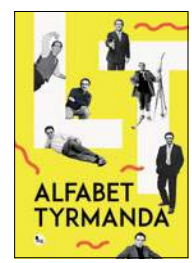

„ALFABET TYRMANDA" WYDAWNICTWO MG

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Michalak „Drań" (Wydawnictwo Mazowieckie) – autorka bestsellerów dla pań pozazdrościła Remigiuszowi Mrozowi, stąd kryminał.***
2. ***Max Czornyj „Grób" (Wydawnictwo Filia) – tom drugi cyklu, którego bohaterami są Liza Langer i Orest Rembert (pierwszy to „Ślepiec").***
3. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego, którego ekranizacja doszła, niestety, do skutku.***
4. ***Magda Knedler „Położna z Auschwitz" (Mando) – powieść inspirowana dziejami Stanisławy Leszczyńskiej, która odebrała w kacecie 3 tys. porodów.***
5. ***Heather Morris „Podróż Cilki" (Marginesy) – kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz". Cilka po trzech latach w niemieckim piekle trafia do sowieckiego łagru.***

(Najchętniej kupowane książki w styczniu 2020 r. w internetowej księgarni Ravelo.pl)

eprasa.pl 631be42f7a

Do tańca i do różańca

FOT. YOUTUBE

Internauci poznali siostrę Janinę Kaczmarzyk ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP w 2017 r., gdy nagrała pielgrzymkową przeróbkę bijącej wtedy rekordy popularności na YouTube piosenki „Despacito". „Matka Boża będzie z tobą zawsze blisko / gdy jej szczerze oddasz wszystko" – śpiewa w drodze na Jasną Górę s. Janina w rytm refrenu „Despacito". Kręcony „z ręki" filmik z tej pielgrzymki odtworzono do dziś ponad 2,5 mln razy. „Choć nie jest to moja poetyka muzyczna, pomyślałam, że skoro to jest takie popularne, znaczy, że młodzież właśnie tego słucha" – mówiła s. Janina w rozmowie z portalem Stacja7.pl.

Pod koniec stycznia do Internetu trafiło kolejne nagranie z s. Janiną w roli głównej. Tym razem to profesjonalnie zrealizowany teledysk do singla „Ty się tym zajmij", który jest jednocześnie zapowiedzią płyty. Albumowi, który ma się ukazać w kwietniu, jest zdecydowanie bliżej do poetyki muzycznej siostry, co dla słuchaczy jest dobrą wiadomością.

Producentem płyty jest Tomasz Konfederak (znany z zespołu Ha-Dwa-O!, producent muzyczny współpracujący m.in. z Andrzejem Rybińskim, Sarsą, Kasią Popowską). Teksty pisała s. Janina. Jak podkreśla, zależało jej, by płyta miała charakter apostolski, ale by ewangelizacja nie była nachalna. Słowa „Bóg" i „Jezus" padają w utworach bardzo rzadko. W rozmowie z portalem Stacja7.pl siostra podkreśla, że „w tym projekcie nie chodzi o show. Nasza płyta nie jest realizowaniem czyjejś pasji". I skromnie wyjaśnia: „Nie idzie się do zakonu, żeby realizować siebie, tylko żeby służyć. Oddajemy swoje talenty zgromadzeniu i czasem są one wykorzystywane, a czasem nie. […] cieszę się że Zgromadzenie podjęło tę inicjatywę [nagrania płyty – przyp. raw], ale to naprawdę może się wiązać jedynie z tą płytą. Przecież mogę nagle pojechać do Afryki i tam nie będę potrzebna do śpiewania i gry na gitarze, lecz żeby opatrywać rany trędowatym". ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Płyta dla odważnych

Julia „Marcell" Górniewicz (37 lat) wydała piąty i jak dotąd najlepszy album. Powstał w Berlinie, a jego producentem jest Michael Haves.

„Skull Echo" w porównaniu z poprzednimi płytami jest znacznie poważniejszym i do tego bezkompromisowym projektem muzyczno-wizualnym. Autorka ma bowiem w planach stworzyć jego filmową wersję.

W warstwie muzycznej dominuje przestrzenna elektronika nawiązująca do „dronowej" muzyki filmowej, choćby oscarowej laureatki Hildur Guðnadóttir. Ta mgławicowa dźwiękowa powłoka sama w sobie narzuca poważny ton całemu albumowi. Julia powiedziała, że „to opowieść o czasie, percepcji i samotności". I właśnie w warstwie lirycznej jest największa siła tej płyty. Centralnym utworem jest prawie ośmiominutowa „Mama" („Ochroń mnie przed burzą, co pod czaszką czyni"). Piosenka dzięki wielokrotnym zmianom tempa, nastrojów i sposobów narracji już sama w sobie nadaje się na oddzielny film.

To płyta dla odważnych, którzy nie tylko chcą poznać świat lęków autorki, lecz także są w stanie porozmawiać z samymi sobą. Jest na niej tęsknota za przeszłością („Nostalgia" – słychać tu młodą Kozidrak), tyle że Julia nie skupia się na dzieciństwie, lecz stwierdza: „Tęsknię do lat, których nie znam, odbija się w tych oczach lepszy świat". W pozostałych utworach dźwięczą pytania, wątpliwości, załamania, pragnienia… W finałowym „Echu w głowie" autorka konstatuje „Lecz wciąż można grać – w co przyniesie nowy dzień", a na koniec podsumowuje: „Bądź wszystkim tym, co nie jest mną". ©℗

★★★★★☆

JULIA MARCELL „SKULL ECHO" MYSTIC

★★★★☆☆

WOJCIECH KONIKIEWICZ „MUZYKA NOWEJ PRZESTRZENI" GAD

Te półtorej godziny muzyki powstało w ciągu jednej letniej nocy 30 lat temu. Jazzman i muzyk sesyjny wkroczył, na przekór tradycji naszej elmuzyki, w świat ilustracyjnego ambientu. Dwa albumy ukazały się na kasetach w 1993 r., a na kompaktach dopiero teraz.

★★★★☆☆

GREEN DAY „FATHER OF ALL…" REPRISE

W latach 90. stali na czele odrodzenia punku. Amerykańskie trio sprzedało dotąd 75 mln płyt, a jego album „American Idiot" został zaadaptowany na Broadwayu. Trzynasta płyta studyjna zawiera tylko 26 minut pop punku z cytatami z Hendriksa, Beatlesów, a nawet Gary'ego Glittera. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, DO RZECZY

eprasa.pl 631be42f7a

Ryszard Vorbrich

Podobnie jak w wypadku klasycznego kolonializmu także w europejskim neokolonializmie w procesie asymilacji kluczową rolę odgrywać ma szeroko pojęta edukacja, wsparta tzw. pedagogiką wstydu

Narzucanie

Obserwowana ostatnio dynamika relacji Polski z instytucjami europejskimi obudziła żywą dyskusję specjalistów z różnych dziedzin wiedzy. W jej kontekście przywoływano termin „neokolonializm". Warto przyjrzeć się temu zjawisku z perspektywy antropologii kulturowej.

Kolonializm jako zjawisko historyczne obejmował szeroki wachlarz praktyk, takich jak: ekspansja terytorialna, grabież, handel, negocjacje, wojna, niewolnictwo lub nawet ludobójstwo. W istocie swej sprowadzał się do opanowywania i kontroli politycznej oraz gospodarczej jednych krajów przez inne. Rzadziej zwraca się uwagę, że kolonializm polegał także na kontroli mentalnej, na zdominowaniu ideologicznym jednych podmiotów społecznych i politycznych przez inne podmioty w celu ich eksploatacji. Dominacja w sferze mentalnej ułatwiała bowiem kolonizatorom dekonstruowanie rzeczywistości społecznej. W klasycznych ujęciach kolonializm nowożytny oznaczał rozciągnięcie dominacji ekonomicznej i politycznej Europejczyków na pozostałe kontynenty.

Wraz z rozkładem w połowie XX w. klasycznego systemu kolonialnego ukształtowały się nowe formy zewnętrznego uzależnienia krajów i społeczeństw. Określa się je mianem neokolonializmu. Pod tą nazwą kryje się najczęściej utrzymywanie dominacji gospodarczej i politycznej przez mocarstwo w stosunku do kolonii, które ogłosiły niepodległość. Jednak w obliczu zjawiska globalizacji i towarzyszącemu mu pojawianiu się nowych, ponadnarodowych form organizacji politycznych i gospodarczych, typu Bank Światowy lub Unia Europejska, cechy i zjawiska przypisywane neokolonializmowi rozpoznać można także w innych kontekstach.

W obu wypadkach – zarówno klasycznego kolonializmu, jak i neokolonializmu – mamy do czynienia z niesymetrycznymi powiązaniami, obejmującymi sferę polityczną, ekonomiczną oraz symboliczną, tworzącymi jednokierunkowy układ uzależnienia centrum – peryferie. To z kolei generuje nierówny dostęp do zasobów nowoczesności i nierówne możliwości ekonomicznej akumulacji.

KOLONIZOWANI JAK DZIECI

W sferze symbolicznej, która tu nas bardziej interesuje, kolonializm i neokolonializm objawiają się w swoistym dyskursie legitymizującym system podporządkowania. Ten rodzaj aktywności intelektualnej można określić za amerykańskim antropologiem pochodzenia palestyńskiego – Edwardem Saidem – „orientalizmem" lub dyskursem kolonialnym. Dyskurs ten tworzył i tworzy współcześnie – bardziej lub mniej jawne, często potoczne, choć ugruntowane także przez instytucjonalne formy kultury – przeświadczenie o naturalnej wyższości konkretnej cywilizacji, zależnie od okoliczności różnie definiowanej, ale sygnowanej przymiotnikiem „europejska".

Tezom o posłannictwie „cywilizacyjnym" kolonizatorów towarzyszyło przekonanie o organicznej niedoskonałości społeczeństw kolonizowanych. To z kolei budowało poczucie misji wobec ludzi żyjących poza tym centrum, połączone z reguły z odmawianiem im zdolności i prawa do decydowania o formach własnego bytu. Nawet gdy formalnie odrzucano tezy o intelektualnej niedoskonałości „niecywilizowanych", żarliwość „misyjna" cywilizatorów stawiała sobie za cel uczynienie ze społeczeństw poddanych procedurze cywilizowania mniej lub bardziej doskonałej kopii pierwowzoru. Raport o edukacji brytyjskiej w Indiach („British Education Despatch", 1854) stwierdzał, że powinna ona „pobudzić (Hindusów) do naśladowania nas (Brytyjczyków) w rozwijaniu niezliczonych zasobów kraju". Niepowodzenie takiej misji budziło frustrację i oskarżenia o niezrozumiały upór. Dobrze ten stan umysłu wyraził wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej w wykładzie dla irlandzkich studentów. Mając na myśli m.in. Polaków, stwierdził: „Popełniliśmy poważny błąd, myśląc, że z chwilą rozszerzenia Unii oni staną się tacy sami jak my".

Prawno-instytucjonalnym wyrazem ideologii kolonialnej był, ustanowiony po pierwszej wojnie światowej, system

eprasa.pl 631be42f7a

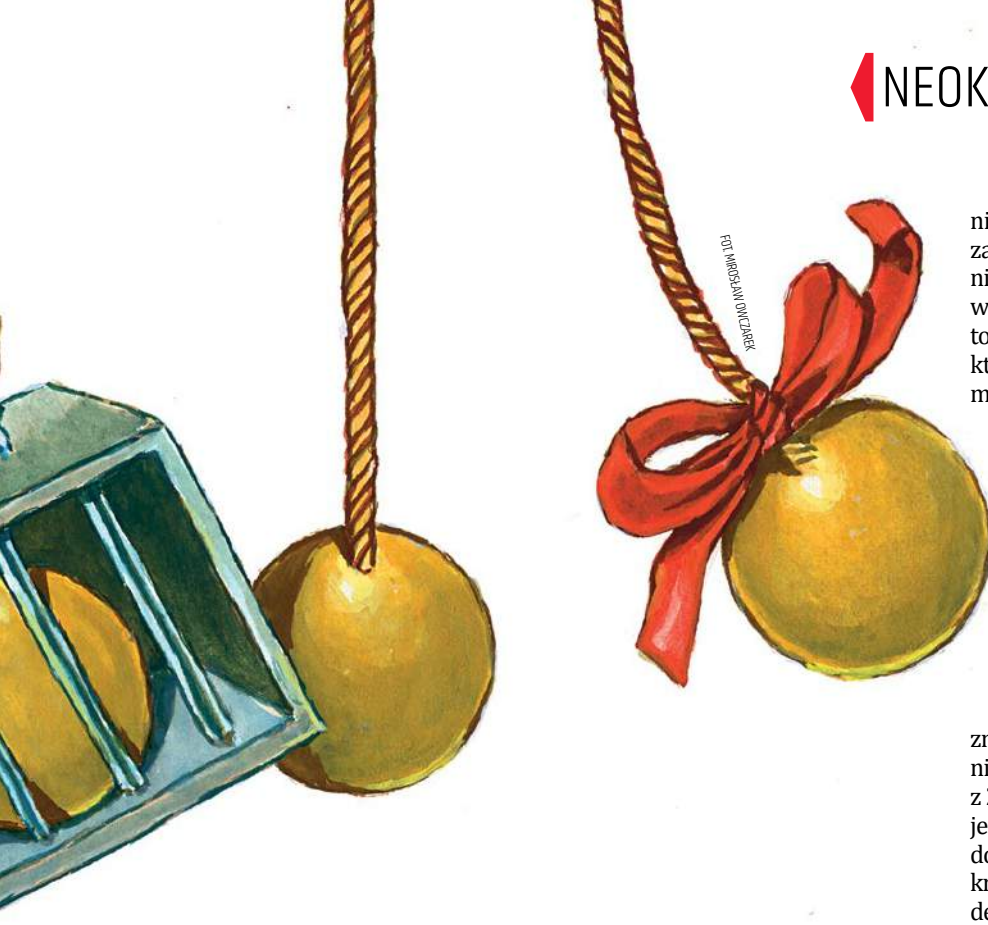

FOT. MIROSŁAW OWCZAREK

postępu

mandatowy. Pakt Ligi Narodów, będący integralną częścią traktatu wersalskiego, stanowił, że terytoria zamorskie państw przegranych (Niemiec i Turcji) powierzone będą administrowaniu przez Francję, Wielką Brytanię i Japonię, jako tzw. terytoria mandatowe. Mandatariusze mieli sprawować w nich władzę do czasu, gdy ich mieszkańcy osiągną stopień rozwoju społecznego i gospodarczego pozwalający na uzyskanie przez nie pełnej suwerenności. Warto w tym kontekście zaznaczyć, że jeden z głównych ideologów systemu mandatowego – kanclerz Cambridge University Jan Christiaan Smuts – był zdania, że systemem mandatowym powinna być objęta także Polska, jako terytorium porosyjskie, z definicji słabo rozwinięte.

W dyskursie kolonialnym ważną rolę odgrywały treści przekazu kulturowego oraz praktyki edukacyjne służące zdominowaniu umysłów, narzucaniu tego, co jest definiowane jako postępowe, nowoczesne, rozwinięte. W klasycznym XIX-wiecznym dyskursie kolonialnym powszechnie deprecjonowano ludy kolonizowane, traktowane en masse. Jak ujął to wielce zasłużony w niesieniu pomocy Afrykanom Albert Schweitzer, Afrykanin (w oryginale Negro) „jest dzieckiem, a z dzieckiem nic zrobić nie można bez autorytetu". Nawet gdy przyznawano Afrykanom „inteligencję" i „pracowitość", to równocześnie zarzucano im „brutalność" oraz określano jako „zdegradowanych przez okrucieństwa".

W neokolonialnych formach dyskursu w stosunku do (także ujmowanych en masse) „wschodnich Europejczyków" takim obciążeniem, wymagającym usunięcia, mają być powszechne wśród nich demony nacjonalizmu, antysemityzmu oraz inne przejawy ich zdegradowania. Owe różnice w stopniu pokonania pierwotnych atawizmów miały uzasadniać nierówny status kolonizowanych i kolonizatorów. W klasycznym kolonializmie ten nierówny status znajdował uzasadnienie w argumentach natury rasistowskiej, jak to miało miejsce w konstytucji Transwalu, która stwierdzała, że: „Nie ma równości między białym a czarnym w państwie i Kościele". Częściej uprzedzenia rasowe maskowano kryteriami kulturowymi, najlapidarniej ujętymi w dewizie Cecila Rhodesa (twórcy brytyjskiego imperium w Afryce Południowej): „Równe prawa dla wszystkich cywilizowanych ludzi".

ZAWSTYDZIĆ KAMERUN, ZAWSTYDZIĆ POLSKĘ

W neokolonialnej odmianie „orientalizmu" taką postawę odnaleźć można w opinii Komisji Weneckiej. Raport tej komisji z 2007 r. stwierdza: „Choć nie ma w Europie jednego modelu, który można zastosować do wszystkich państw, […] w starych demokracjach władza wykonawcza ma czasem decydujący wpływ na mianowania sędziów. Taki system może działać dobrze w praktyce i umożliwiać niezależne sądownictwo, ponieważ uprawnienia te są ograniczane przez kulturę prawną i tradycje, które rosły przez długi czas. Jednak nowe demokracje nie wprowadziły jeszcze zmian w celu rozwinięcia tych tradycji, które mogą zapobiec nadużyciom, dlatego też przynajmniej w tych krajach potrzebne są wyraźne przepisy konstytucyjne i prawne jako zabezpieczenie przed politycznymi nadużyciami przy mianowaniu sędziów".

Prostą drogą do uzupełnienia luki kulturowej, wskazanej przez Komisję Wenecką, a cechującej kraje „nowej demokracji", ma być asymilacja z kulturą definiowaną jako „postępowa", „demokratyczna", „europejska". Przy czym prawo do definiowania tych przymiotów jest zarezerwowane dla decyzyjnego centrum, zlokalizowanego w wybranych krajach lub instytucjach „starej demokracji". Podobnie jak w wypadku klasycznego kolonializmu także w europejskim neokolonializmie w procesie asymilacji kluczową rolę odgrywać ma szeroko pojęta edukacja, wsparta tzw. pedagogiką wstydu. Nie tak dawno, jeszcze w XX w., manipulowano świadomością Afrykanów, deprecjonując ich rodzimą kulturę i historię. Jednym z wielu przykładów, ale chyba najbardziej drastycznym, jest szkolna „Pieśń zbiórki" narzucona dzieciom kameruńskim. Refren tej pieśni jest kwintesencją pedagogiki wstydu:

eprasa.pl 631be42f7a

O Kamerunie! Kolebko naszych przodków niegdyś żyjących w barbarzyństwie. Jak słońce wschodzące z wolna i Ty wydobywasz się z dzikości.

Jakie spustoszenie spowodował taki gwałt symboliczny w umysłach młodych ludzi, świadczy to, że „Pieśń zbiórki" stała się pierwszym hymnem niepodległego Kamerunu, zmienionym dopiero po latach, gdy wyrosło nowe pokolenie wolnych Kameruńczyków. Podobnych przykładów pedagogiki wstydu zastosowanej do Polaków można wskazać wiele. Tutaj, z braku miejsca, przywołam choćby ostatnio powtarzane w odniesieniu do Polaków tezy: „Robiliśmy straszne rzeczy, jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów".

Aby system kolonialnego podporządkowania mógł funkcjonować, musiała powstać warstwa jego formalnych i nieformalnych funkcjonariuszy, wywodzących się ze społeczeństw poddanych kolonizacji. W antropologii kulturowej określa się ich mianem „warstwy tubylczych pośredników". W zależności od kraju i regionu warstwę tę tworzyli lokalni przywódcy (władcy) kolaborujący z kolonizatorami lub „zwykli" tubylcy (często jednostki wyrwane z tradycyjnego środowiska, sieroty, wychowankowie misji), uformowani od początku w obcego pochodzenia instytucjach edukacyjnych. W koloniach portugalskich ludzi takich określano mianem „asymilados", w imperium brytyjskim zwano ich intellectual proletariat. W koloniach francuskich funkcjonował powszechnie termin „évolués".

Ten ostatni termin najlepiej oddaje charakter omawianej grupy. Znaczył on bowiem dosłownie „podległy postępowi". W kontekście kolonialnym oznaczał osobę, która „ewoluowała" poprzez edukację i przyswojenie europejskich wartości. Osiągnięcie statusu évolué otwierało drogę do politycznego upodmiotowienia. Afrykanin lub Azjata aspirujący do statusu évolué musiał jednak spełnić wiele wymagań: poprawnie mówić w języku kolonizatora, wykonywać zawód pozwalający na utrzymanie rodziny na odpowiednim poziomie, przyswoić sobie wzory kulturowe kolonizatorów, czyli – jak to ujęto w odpowiednich regulacjach – „Mieć dobre maniery i zwyczaje".

Kolonizatorzy starali się prowadzić selekcję do warstwy tubylczych pośredników i manipulować nimi poprzez zapewnienie im dostępu do zasobów bogactwa i prestiżu. Służyły temu różnego rodzaju bodźce materialne lub niematerialne, np. honorowe odznaczenia. Brytyjczycy mieli do dyspozycji tytuły szlacheckie. Republika Francuska – Legię Honorową lub niższej rangi Medal Tubylczej Zasługi. W przestrzeni Unii Europejskiej taką rolę z powodzeniem odgrywają Nagroda im. Karola Wielkiego lub Nagroda Waltera Rathenau.

Wyedukowani na wzór zachodni Afrykanie i Azjaci często stawali się rzecznikami „postępu" w wersji zdefiniowanej przez kolonizatorów. Z racji swoich kompetencji krzewili zachodnią wiedzę i umiejętności, przyczyniając się do upowszechnienia w swych ojczyznach cywilizacji technicznej i towarzyszących jej pożytków. Przyjmowali jednak różne postawy wobec systemu podporządkowania. Byli wśród nich tacy, którzy dla wzmocnienia swej pozycji osobistej poszli na pełną kooperację (żeby nie powiedzieć – kolaborację) z kolonizatorami. Przykładem takiej postawy może być Kameruńczyk Karl (Charles) Atangana – mistrz w zmianie protektorów. Oddany w dzieciństwie do szkoły misyjnej i ochrzczony jako pierwszy z ludu Ewondo, wiernie służył Niemcom, wspomagając ich w podboju reszty kraju. Stał się wówczas zagorzałym zwolennikiem westernizacji w odmianie niemieckiej. W czasie pierwszej wojny światowej wycofał się do hiszpańskiej wówczas Gwinei Równikowej z ostatnim oddziałem niemieckim. Po zakończeniu wojny powrócił do ojczyzny, gdzie odzyskał swą uprzywilejowaną pozycję, podejmując służbę we francuskiej administracji, tym razem pod imieniem Charles.

Przeciwną postawę przyjmowali ludzie, którzy używali wiedzy i „zachodnich" idei dla przeformułowania tożsamości i wzmocnienia podmiotowości rodaków oraz dla afirmacji ich kultury. Tutaj wzorcowym przykładem jest Léopold Sédar Senghor – twórca idei négritude, późniejszy pierwszy prezydent Senegalu.

W końcu byli i tacy, którzy włączenie w struktury władzy kolonialnej potrafili wykorzystać z pożytkiem dla ojczyzny. W tym kontekście przywołać można Félixa Houphouët-Boigny z Wybrzeża Kości Słoniowej, który zanim został pierwszym prezydentem swego kraju, zasiadał w parlamencie IV Republiki, a następnie został ministrem w rządzie gen. Charles'a de Gaulle'a. Pełniąc funkcje w parlamencie i rządzie francuskim, pozostał rzecznikiem interesów swej ojczyzny.

Historia i współczesność europejskich krajów określanych jako „nowe demokracje" podsuwa nam wiele przykładów podobnie zróżnicowanych wyborów podejmowanych przez ludzi stających wobec zjawisk definiowanych jako neokolonializm, od zgody na uzależnienie od (często zmienianych) zewnętrznych protektorów do postawy kładącej nacisk na upodmiotowienie ojczyzny.

NOWI „PODLEGLI POSTĘPOWI"

Należy jednak pamiętać, że to, co można określić mianem cywilizacji kolonizatorów, nie było i nie jest z reguły jednowymiarowe. Obok, co oczywiste, nurtów mainstreamowych powiązanych z ośrodkami władzy obejmowało komponenty kontestujące zarówno sam system kolonialny, jak i przewodnie idee oraz wzorce kulturowe metropolii. Jest więc zrozumiałe, że niektóre jednostki wywodzące się z podporządkowanych społeczeństw, podlegając procesowi asymilacji, przyjmowały rolę tubylczych pośredników takich niemainstreamowych nurtów obcej kultury, np. różnych odmian ideologii marksistowskiej. W ten sposób zaczęły one używać wybranych komponentów szeroko pojętej kultury kolonizatorów do przeciwstawienia się obcej dominacji. Jednak często zdarzało się, że w wyniku przewrotu ideowego w społeczeństwach kolonizatorów lub w efekcie znalezienia się pod wpływem państw trzecich, osoby te stawały się tubylczymi pośrednikami, tym razem przeformułowanej lub odmiennie wektorowanej, obcej dominacji mentalnej. Historia kolonizacji i dekolonizacji zna wiele takich przykładów – od Wietnamu do Angoli.

W wypadku współczesnych krajów europejskich obserwować możemy podobne zjawisko. Do umysłów mieszkańców krajów „nowej demokracji" przenikają różnego rodzaju „izmy", które jeszcze niedawno lokowały się na marginesie życia intelektualnego, a dzisiaj roszczą sobie prawo do statusu „postępowego" mainstreamu. W efekcie w przestrzeni krajów „nowej demokracji" ciągle odnaleźć można wielu nowych évolués. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest antropologiem-afrykanistą, profesorem zwyczajnym, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym Instytutu Antropologii i Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

CZYTAJ TAKŻE „DOTACJA ZA »PRAWORZĄDNOŚĆ«" NA STR. 86

eprasa.pl 631be42f7a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Dziecinne dzieci

Nam, dorosłym, wydaje się, że dzieci dorastają coraz szybciej. Że coraz wcześniej zaczynają palić papierosy, pić alkohol, uprawiać seks. Tymczasem to trend, który nie tylko wyhamował, lecz także wręcz uległ odwróceniu. Dzieci znowu dłużej są dziećmi.

Czytam teraz bardzo ciekawą książkę pani Jean M. Twenge pt. „iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające w sieci są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości". To bardzo solidnie udokumentowane dzieło pokazujące, jak bardzo pokolenie, które właściwie nie zna świata bez mobilnego Internetu i smartfona, różni się od poprzedników. Dla autorki upowszechnienie się smartfona to główny klucz do najmłodszego pokolenia, stąd jej duży wysiłek, by nazwać to pokolenie iGeneration, ale tu akurat poniosła porażkę: przyjęło się już określenie „generacja Z". Nie zmienia to jednak tego, że wiele jej spostrzeżeń jest precyzyjnie trafnych w sposób, który otwiera oczy i zmusza do przyznania: „O kurczę, tak faktycznie jest".

Ja np. zatrzymałem się na etapie przyspieszonego dojrzewania dzieciaków. Wydawało mi się, że obniżanie granicy wieku różnych inicjacji przebiega ruchem jednostajnie przyspieszonym i że wkrótce na randki będą chodzić przedszkolaki. Tymczasem tak nie jest – przynajmniej w Ameryce, ale chyba i u nas. Trend się odwrócił w sposób wyraźny i – co ciekawe – zdaniem Twenge to głównie efekt upowszechnienia się smartfonów, które spowodowały, że dzieciaki z poszukujących przygód harcowników stały się domatorami, chętnie spędzającymi czas na kanapie w domu. Co prawda z telefonem w ręku, a także w pobliżu rodziców.

Wykaz rzeczy, które iGeneracja zaczyna później niż poprzednicy, jest imponująca. Później sięga po alkohol, później zaczyna palić, później zaczyna chodzić na randki, później zaczyna uprawiać seks, znacznie później (albo wcale) zdobywa prawo jazdy, później zaczyna zarabiać pierwsze pieniądze. I – jeszcze na dokładkę – więcej czasu spędza z rodzicami, bez obciachu chodząc z nimi do kina, centrów handlowych czy wyjeżdżając na wakacje. Atrybuty „dorosłości" stały się mniej pożądane niż dwie dekady temu. Oczywiście to wcale nie jest jednoznacznie „dobre", bo przeniesienie wielu aktywności do sieci upośledza wielu nastolatków społecznie. Mówiąc symbolicznie: w efekcie może i później zaczynają pić, ale jeśli już zaczynają, to muszą wypić więcej, żeby poczuć się pewnie w sytuacjach towarzyskich.

Pani Twenge główną przyczynę tego spowolnienia dojrzewania widzi w mobilnym Internecie. Ja bym dorzucił jeszcze nas. Czyli rodziców. Czasem bywamy nadopiekuńczy, ale przy okazji udaje nam się zbudować na tyle silne więzi z dziećmi, że one najzwyczajniej lubią spędzać z nami czas. Albo – jak kto woli – żyć na nasz koszt. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mroki oświecenia

Tak jak wielu ludzi mojej generacji wychowałem się w złudnym przekonaniu o ostatecznym zwycięstwie rozumu nad głupotą i cywilizacji nad barbarzyństwem. Wprawdzie życie w komunizmie pozwoliło zauważyć rozbieżności między teorią i praktyka, ale sporo czasu musiało upłynąć, abym zaczął dostrzegać, jak mocno zakłamany jest obraz świata i to nawet tego, który idealizowałem, uważając za absolutnie wolny. Tymczasem duchowe zniewolenie człowieka postępowało, nawet kiedy padały kolejne mury, a społeczeństwa dostawały w ręce niebezpieczną zabawkę zwaną demokracją.

Najpotężniejszy okazał się gwałt na myśli, generalne zafałszowanie wiedzy o przeszłości

Ludzkość w kolejnych rewolucjach rozwalała wprawdzie kajdany, prawie natychmiast nakładając nowe, może mniej widzialne, ale – jak się okazuje – bardziej represyjne. Podejrzewam, że wszystkie zbrodnie carów czy Burbonów nie są w stanie dorównać pokłosiu jednego roku, co mówię, jednego miesiąca rewolucji. Jednak najpotężniejszy okazał się gwałt na myśli, generalne zafałszowanie wiedzy o przeszłości. „Kto panuje nad przeszłością, ten będzie rządzić przyszłością!" – powiada mądry stary Orwell. Nie jest to zresztą wynalazek nowy. Dzieła Swetoniusza czy Tacyta bez umiaru oczerniały panowanie cesarzy pierwszego wieku, aby na ich tle następcy mogli uchodzić za aniołów. Czarna legenda Ryszarda III miała legitymizować Tudorów, mity o okrucieństwach inkwizycji hiszpańskiej miały przysłonić zbrodnie francuskich rewolucjonistów. „Mroki średniowiecza" wymyślono dla kontrastu wobec świetlanej przyszłości…

Co najmniej dwa wieki uczono ludzi na kompletnych dyrdymałach, które współcześnie zyskały potężny oręż w postaci soft terroru, w postaci poprawności politycznej, która sprzyjającym jej poglądom dała przymiotnik naukowości, a pozostałe… Na razie nie palą jeszcze na stosach za odmienne zdanie o globalnym ociepleniu, multikulturowości, aborcji czy homoseksualizmie. Polska jeszcze nie jest Wandeą Europy. Ale co będzie dalej? Cywilizacja nasza powstała z wiary w Boga i umiłowania prawdy. „Oświecenie" usiłowało te pojęcia sobie przeciwstawić. Boga wykluczono, ale prawda okazała się względna. Nawet „wielki depozytariusz" Kościół wycofuje się ze swej roli. Co pozostaje? Indywidualne badanie świata, lektury i posługiwanie się logiką. Mroki oświecenia gęstnieją! ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

Seksualizm totalny

Marek Klecel

Seksualizm przenika podprogowo wszystko, od reklamy i popkultury do programów organizacji światowych i partii politycznych. O co chodzi w tym całym szaleństwie?

Czy nie jest rzeczą zdumiewającą, że jednym z najważniejszych zjawisk we współczesnych społeczeństwach, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym, jest seksualność, wręcz seksualizacja społeczna jako, by tak rzec, zdobycz cywilizacyjna, miara nowoczesności, a zarazem klucz do psychiki człowieka, kryterium udanego życia, powodzenia, zdrowia, poczucia sensu, niemal szczęścia?

Seksualizm przenika podprogowo wszystko, od reklamy i popkultury do programów organizacji światowych i partii politycznych, wchodzi do szkół i uniwersytetów. Jest jak postęp technologiczny, nowe odkrycia i wynalazki. Kto zakwestionuje pożytki z Internetu, telefonów komórkowych i wszelkiej innowacyjności?

Seksualność decyduje o stylu życia, wpływa na życie publiczne i polityczne, ma zastąpić światopogląd i rozwiązywać egzystencjalne dylematy człowieka. Zarazem jest ona, czy ma być, czymś oczywistym i bezproblemowym, jak to już nauczała pierwsza feministka sowiecka i pierwsza na świecie minister do spraw kobiet w czasach Lenina Aleksandra Kołłątaj – „seks powinien być jak wypicie szklanki wody", czymś zarazem bezpruderyjnym i słusznym ideowo. To wtedy wykuwały się już oficjalne normy naukowego seksualizmu – równolegle także w USA, w początkach tamtejszego feminizmu – obecne też w pierwszych koncepcjach eugenicznych, w ruchach aborcyjnych, aż do wybuchu rewolucji obyczajowej w latach 60. ubiegłego wieku.

Czy w tej rewolucji w istocie seksualnej nie ma postępu od seksualności

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. ADOBESTOCK

wyzwolonej na poziomie ówczesnych haseł „make love not war" do coraz radykalniejszych ruchów mniejszości seksualnych LGBT+ i gender ograniczających się już nie tylko do praktyki, lecz także budujących ideologię, która zawiera całą nową teorię płciowości człowieka i konsekwencji z niej wynikających? Czy ktoś ośmieliłby się w tej sytuacji zatrzymać falę wzmożonej seksualności, zarówno tej, by tak rzec, swobodnej, ale jeszcze tradycyjnej, jak i tej coraz bardziej „nowoczesnej", często marginalnej, ale perwersyjnej, anarchistycznej i bezcelowej, bezproduktywnej? Czy ktoś ośmieli się zakazać prostytucji i pornografii wszelkiego rodzaju, obalić liberalny aż do skrajności porządek zachodniego świata, jego założenia, utrwalone już zwyczaje, światopogląd, model życia?

WIDMO SEKSOHOLIZMU

A zatem znów jakieś widmo krąży po Europie (i całym Zachodzie), nie jest to już jednak widmo dawnego komunizmu, ale właśnie nowe, równie rewolucyjne, zdawałoby się, widmo seksizmu, seksoholizmu, seksualizmu, jakkolwiek nazwać zjawisko obsesyjnego zajęcia ludzkich umysłów sprawą seksu, seksualności, płci. Jednak zarazem to nowsze (od komunizmu) widmo powszechnego, demokratycznego, równościowego seksualizmu jest tyleż rewolucyjne, ileż po latach przywracania wszelkich możliwych rewolucji dość groteskowe.

Można tu znów powołać się na autora „Manifestu komunistycznego", którego przynajmniej jedno spostrzeżenie okazało się trafne: historia, jeśli powtarza się, to jako farsa. Otóż, po półwieczu trwania rewolucji obyczajowej, czytaj: seksualnej, na Zachodzie kończy się ona demonstracjami wywrotowych ruchów LGBT, które mają dokonać gruntownej przemiany społeczeństw, obalić już nie tylko społeczne, polityczne i prawne, lecz także biologiczne podstawy ich trwania i kontynuacji. Groteskowy obraz demonstracji LGBT, które oczywiście nie mogły ominąć naszego kraju, bo musimy wszystko, co zachodnie, bałwochwalczo naśladować, te wszystkie agresywne i prowokujące postacie i zachowania, estetyka nie tylko kiczowata, lecz także wyuzdana odpowiada pokrętnym ideom i hasłom tych ruchów.

Jedno jest pewne, jeśli nawet obyczajowa rewolucja lat 60. miała na początku lepsze intencje (make love), to wyrodziła się w agresywnych ruchach mniejszości seksualnych, w propagandzie homoseksualnej, żądaniu specjalnych praw i zmian podstawowych instytucji społecznych, w tym praw do adopcji i wychowania (w jakim celu i duchu?) dzieci. To wszystko razem, cały ten seksualizm z jego skrajnościami, powinno wydać się czymś dziwnym, niezrozumiałym, czymś, co trudno już tolerować. Dawniejszy psycholog nazywał to nadmierne zainteresowanie sferą seksualną erotomanią, uzależnieniem ograniczającym różnorodne życie człowieka, dzisiejszy psycholog, a właściwie psychoanalityk, powie, że to norma zdrowia psychicznego i zarazem poziom wyzwolenia społecznego, wzbogacenie miłości bliźniego o szerszą ofertę, wreszcie sposób na niewykluczanie nikogo. Przy takiej obsesyjnej seksualizacji staje pod znakiem zapytania cała sfera psychiki człowieka, uczuć bezinteresownych, związków szerzej pojętych, miłości w wielu wymiarach, przyjaźni, a także wartości, takich jak odpowiedzialność, zaufanie, lojalność. I co najważniejsze: ten unowocześniony totalny seksualizm, sam w sobie i dla siebie, został oderwany od swej naturalnej podstawy, jaką są płodność, prokreacja, tworzenie nowego życia, jego indywidualna i społeczna kontynuacja. W ten sposób stał się tylko chwilowym i jałowym w istocie sposobem zaspokajania cielesnego pożądania w dowolny sposób.

Jest jeszcze inne, banalniejsze źródło tej seksualizacji: to cały przemysł, który ciągnie z niej ogromne zyski i ją dalej kreuje, to przemysł pornograficzny, aborcyjny, farmaceutyczny i medyczny (in vitro), mający wielki wpływ medialny i już polityczny, wsparcie w ideologii lewicowo-liberalnej, kształtujący także obyczaje i coraz to nowe prawodawstwo. To wszystko powinno już być znane, wiadomo, jak poszła ta kampania na Zachodzie i jakie są jej rezultaty, dziwne, że chcemy ją bezmyślnie powtarzać. Czy chodzi tylko o to, że stoją za tym ogromne pieniądze?

POSTĘP TAKŻE SEKSUALNY?

Czy zatem rewolucja obyczajowa i swego rodzaju postęp seksualny, który daje się zaobserwować przez pół wieku w ostatnich ruchach LGBT, ma jakieś swoje granice, czy będzie się rozwijać? Doszliśmy do skrajności i radykalizmu mniejszości seksualnych, które chcą decydować o naturze i trwaniu społeczeństw, do coraz głośniejszej propagandy LGBT i ideologii gender, która w ogóle kwestionuje naturę tożsamości biologicznej i płciowej człowieka, a chce wprowadzać jakąś sztucznie konstruowaną wtórną płeć, nazywaną społeczną czy kulturową, a jednak wpływać całkiem realnie na zmianę natury człowieka, na jakąś biotechnologiczną inżynierię, która przypomina niesławne próby w niedalekiej przeszłości. To jest rzeczywiście próba rewolucyjna, wywrotowa, próba odwrócenia porządku natury ludzkiej i zachwiania podstawami trwania społeczeństw, nie tylko grup czy klas, tak jak w marksizmie. Nie chodzi tu już o nadanie praw środowiskom homoseksualnym, bo je mają

eprasa.pl 631be42f7a

jako obywatele, ale o przyznanie praw nadzwyczajnych, które zmieniają normy społeczne, podważają rolę małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny tworzącego rodzinę, w której wychowują się dzieci. Nie chodzi o żadną dyskryminację i związki partnerskie, lecz o rozbicie porządku społecznego, który był podstawowym dotąd i niezauważanym warunkiem dalszego trwania.

W tej seksualizacji całych społeczeństw najważniejszy wydaje się moment rozszerzenia jej obecnie także na dzieci, które z natury w żaden sposób nie są do tego ani biologicznie, ani psychicznie przygotowane. To jest, myślę, punkt krytyczny i graniczny ewolucji czy rewolucji państw oraz społeczeństw obywatelskich, tzw. demokracji liberalnej w ogóle. Leszek Kołakowski, filozof najpierw marksistowski, a później niemarksistowski, w wykładzie pt. „Gdzie jest miejsce dzieci w filozofii liberalnej?" z 1992 r., a więc już po dłuższym pobycie na Zachodzie, stawiał pytanie: „Chodzi o to, czy społeczeństwo radykalnie liberalne jest możliwe. Otóż sądzę, że nie, a jedną z głównych przyczyn takiej odpowiedzi są dzieci". Rozwinął tę myśl w ten sposób, że liberalne społeczeństwo możliwe jest tylko jako teoretyczna utopia, związek dorosłych, w pełni świadomych obywateli, gotowych do dokonywania wyborów i zawierania umów, według których gotowi byliby rezygnować z części swych praw i przywilejów na rzecz innych. Dzieci muszą być z tego wyłączone, nie są do tego gotowe, ktoś inny musi wziąć za nie odpowiedzialność. Powołani są do tego przede wszystkim rodzice czy najbliżsi opiekunowie, dopiero później, awaryjnie, jakieś instytucje, państwo, które nie może zastąpić rodziców. Zbyt wczesna ingerencja anonimowych, zewnętrznych wobec rodziny instytucji narusza naturalny rozwój uczuciowy, emocjonalny dziecka, jego poczucie bezpieczeństwa, a nawet zdrowie psychiczne. Przymuszanie do wychowania seksualnego dzieci (i ich rodziców) może tylko zaburzyć rozwój uczuciowy dziecka, które nie osiągnęło jeszcze dojrzałości, a nawet prowadzić do zaburzeń emocjonalnych. Wprowadzanie na siłę do szkół edukacji seksualnej jako jakiegoś odrębnego, oderwanego od ogólniejszego wychowania przedmiotu, otoczone jest też tajemnicą, także przed rodzicami. Padają różne ogólnikowe wyjaśnienia, standardy WHO, nie znamy jednak konkretów. Jak mają wyglądać takie zajęcia? Rodzice powinni wiedzieć, jak się odbywają. Wiadomo, że małe dzieci nie mogą się opierać na książkowej, abstrakcyjnej wiedzy, lecz myślą poglądowo, obrazowo, przykładowo. Jak będą wyglądać lekcje o równości i zarazem różnorodności seksualnej? Jak mają poznać prawdę o homoseksualizmie i innych rzekomo naturalnych związkach? Czy dowiedzą się, na czym polegają stosunki homoseksualne itp., itd.?

WALKA O ŻYCIE?

O co jednak chodzi w tym całym szaleństwie i czy już nie daliśmy się zwariować, otumanić, pomieszać, skoro tym się stale zajmujemy? Nietrudno zauważyć, że jest to część większej operacji gruntownej zmiany nie tylko społecznej czy ekonomicznej, jak było dotąd w różnych rewolucjach, lecz także zmiany, by tak rzec, ontologicznej warunków trwania społeczeństw w ogóle. To tylko część całego pakietu idei, a właściwie haseł i pomysłów obozu lewicowo-liberalnego, w skład którego wchodzi, prócz ideologii LGBT+ i gender, mniej lub bardziej radykalny feminizm, ruchy proaborcyjne, programy antykoncepcji i eutanazji, wszystko wciągane powoli do sfery praw człowieka i standardów zdrowia przez światowe organizacje. Mogą to być odrębne, środowiskowe cele, ale mogą też być używane taktycznie jako wywrotowe narzędzia, które mają doprowadzić do zmiany społeczeństwa. Jeśli zaś do zmiany, to jakiej: zmiany dla samej zmiany, odrzucenia tylko zastanego porządku społecznego i cywilizacyjnego, czy zmiany w imię czegoś? Jakoś trudno uwierzyć w model życia społecznego oparty na wspomnianych ideologiach, na samej negacji, dekonstrukcji i swego rodzaju anarchizmie.

W seksualizacji całych społeczeństw najważniejszy wydaje się moment rozszerzenia jej także na dzieci, które z natury w żaden sposób nie są do tego ani biologicznie, ani psychicznie przygotowane. To jest, myślę, punkt krytyczny i graniczny

Te rozbieżne, zdawałoby się, ruchy obyczajowe łączy jednak sprawa ogólniejsza – stosunek do życia w całości. Łączy je, mówiąc najłagodniej, niechętny stosunek do życia, często krytyczny, a nawet negatywny. Dowody? Oto mamy przypadki zapobiegania, ograniczania lub przerywania życia, czyli takiego czy innego uśmiercania, kolejno w sterylizacji, antykoncepcji, aborcji i w eutanazji. Na pewno nie są to przejawy poszanowania dla życia, podkreślania jego wartości, ochrony itd., przynajmniej życia człowieka, bo lepiej, a przynajmniej równo jest obecnie traktowane życie zwierząt i innych stworzeń. W tej otoczce ideologicznej pojawiają się plany ogólniejsze, wspierane nieraz przez światowe organizacje. Powraca co jakiś czas plan depopulacji świata, który ma rozwiązywać problemy ludzkości wynikające z nadmiaru ludności na naszej planecie, czyli po prostu plan ograniczenia liczby ludności wszelkimi sposobami, a więc także sterylizacji, antykoncepcji i aborcji, które zaczynają być promowane jako prawa człowieka. To także propagowanie humanitarnej, wspomaganej medycznie, łagodnej śmierci, co po wieku dwóch największych totalitaryzmów i milionach ofiar w imię obłędnych ideologii wygląda na dalszy ciąg jeśli nie totalnych rewolucji, to łatwiejszej do przyjęcia ewolucji.

W istocie bowiem w tym wszystkim chodzi o panowanie nad życiem, które wydaje się też panowaniem nad śmiercią, o decydowanie o śmierci i życiu, co dawałoby człowiekowi nadludzką władzę nie tylko nad ludzką rzeczywistością, lecz także nad całym światem. Jak dotąd ta męcząca, groteskowa rewolucja, która teraz i nas atakuje, ma już, niestety, także samobójcze skutki: depopulacja już się odbywa przez upadek demografii, ale upadek tylko na Zachodzie. W Azji, a także w krajach islamu, nie działa, podobnie jak antykoncepcja czy aborcja. Ruchy LGBT już wpływają na dekonstrukcję społeczeństw Zachodu, cofnięcie się w rozwoju, w perspektywie dalszego trwania, a eutanazja staje się symbolem i metaforą istnienia całego Zachodu, jego zmierzchu, regresu czy porażki, w każdym razie upadku jego szczytnego dotąd cywilizacyjnego przesłania dla reszty świata. Pozostały jeszcze niewinne dzieci jako nadzieja na przyszłość, ale nawet one nie są już bezpieczne…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

Piotr Gursztyn

„Zwijanie polskości”

Kulturowo Śląsk jest odrywany od Polski – alarmuje od lat Andrzej Krzystyniak. Ten śląski publicysta, działacz, doktor historii dał się poznać także poza Górnym Śląskiem jako jeden z tych nielicznych, którzy mają odwagę głośno mówić o polskości Śląska. Czyli pojęciu, które od trzech dekad jest negowane i wyszydzane.

Poglądy Krzystyniaka czytelnik ogólnopolski miał możliwość poznania dzięki temu, że pisze on felietony i komentarze dla kilku warszawskich portali oraz pism. Dość skutecznie zaalarmował on sporą część opinii publicznej w sprawie niebezpiecznych zjawisk dziejących się na Górnym Śląsku. Mowa oczywiście o szowinistycznym regionalizmie ślązakowskim, często noszącym charakter ksenofobicznego separatyzmu. Swoje artykuły, komentarze i kilka wywiadów Andrzej Krzystyniak zebrał i wydał w książce o charakterystycznym tytule „Zwijanie polskości”. To jego główne przesłanie i troska – przypomnienie, że Polska nie jest okupantem i intruzem na Górnym Śląsku, wbrew temu, co głoszą aktywiści Ruchu Autonomii Śląska i ich całkiem liczni kibice.

To zbiór bardzo ciekawy. Czytelnik spoza Śląska sporo dowie się o historii i teraźniejszych problemach tego regionu. Jednak dla piszącego te słowa jedna rzecz jest jeszcze ciekawsza. Rzecz zupełnie uniwersalna. Najnowsze dzieje ślązakowskiego separatyzmu są znakomitym przykładem hipokryzji i podwójnego standardu typowych dla współczesnego liberalizmu. W jego wydaniu reprezentowanym przez

FOT. MICHAŁ DUBIEL/REPORTER

polityków, media oraz elity kulturalno-naukowe. Działania separatystów ślązakowskich w ostatnich latach to nieprzerwany i konsekwentny ciąg pronazistowskich i tym samym antypolskich wybryków. To co rusz pojawiające się rzewne artykuły o wojackich przewagach dziadków dzielnie walczących w szeregach Wehrmachtu, a nawet SS, bez jednego słówka o zbrodniach popełnionych przez III Rzeszę. To pełne satysfakcji przypominanie o radosnym przywitaniu Wehrmachtu przez miejscowych renegatów we wrześniu 1939 r. To przerzucanie na Polskę winy za zbrodnie komunistyczne popełnione po 1945 r., przy jednoczesnym pełnym przemilczeniu zbrodni niemieckich popełnionych na Śląsku w latach 1939–1945. To ostatnie bywa nawet zabawne, gdy ci sami ślązakowcy wrzeszczący o zbrodniach „polskiej” okupacji tego okresu zażarcie bronią przed dekomunizacją lokalnego aparatczyka komunistycznego, czyli osławionego „Jorga” Ziętka. Bo swój, chociaż oportunista i komunista.

Hipokryzja jest właśnie stałym komponentem tego, o czym pisze Krzystyniak. W kraju, gdzie gigantyczną awanturę i moralne wzmożenie wywołał tort z wafelkową swastyką (skądinąd też z Górnego Śląska), establishmentowe media były i są całkowicie ślepe na pronazistowskie aluzje i gesty ślązakowców. Tak samo ślepi są liberalni i lewicowi politycy, którzy blisko współpracowali z RAŚ i jego fotografującym się w czapce Wehrmachtu szefem. Tutaj faszyzm nie przeszkadzał, a nawet chyba był dobry.

Tak ważna rzekomo sprawa dla liberałów jak męczeństwo Żydów w czasie ostatniej wojny także stała się ofiarą owej pobłażliwości. Górny Śląsk, o czym przypomina Krzystyniak, to miejsce, gdzie w jego przedwojennej niemieckiej części spłonęło 80 synagog podczas nocy kryształowej. To też miejsce, gdzie działała cała sieć podobozów sąsiedniego Auschwitz. To tematy, które nie istnieją dla ślązakowców i w związku z tym przestały być ważne w tym kontekście dla miejscowych elit liberalnych. Wracały jedynie w opozycji do polskości, ale nie ruchu ślązakowskiego i jego proniemieckich sympatii. Do rangi szokującego symbolu urasta opisane przez autora zdarzenie: na jednej z wystaw Muzeum Śląskiego pokazana została autentyczna hitlerowska gilotyna, którą uśmiercano ofiary terroru nazistowskiego. Przede wszystkim polskich patriotów. Wśród lokalnych elit wybuchła histeria – trzeba ją usunąć. Bo jak można pokazać coś takiego, co może urazić Niemców?

Dobrze, że dr Krzystyniak to wszystko opisał i zebrał. Scripta manent. Jest jednak niedosyt, tak jak w przypadku wielu podobnych zbiorów artykułów prasowych. Potrzebny jest solidny, ponadczasowy esej, który czytelnikowi spoza Śląska ukaże ten region w przystępny, a także inteligentny sposób. O to trzeba zaapelować do autora, doceniając to, co już napisał.

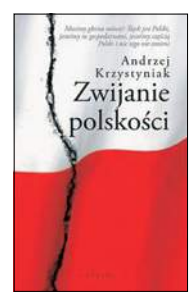

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Jakie obowiązki mają ślimaki?

Łukasz Warzecha

Biedroń chciałby powołać urząd rzecznika praw zwierząt. Jakich zwierząt? Psów, świń...?

Robert Biedroń zapowiedział, że jako prezydent zadba o stworzenie urzędu rzecznika praw zwierząt, gdyż – jak wyjaśnił we wpisie na Facebooku – „miarą naszego człowieczeństwa jest to, jak traktujemy najsłabszych – także zwierzęta". To pomysł na wielu poziomach absurdalny, a także skrajnie szkodliwy. Podważający podstawę, na której opiera się cały zachodni system prawny – ba, nasze zachodnie myślenie i antropologia w ogóle. I być może to jest główny cel Biedronia. Przede wszystkim jednak to pomysł niemożliwy do zrealizowania z dwóch powiązanych ze sobą zasadniczych powodów. Po pierwsze – dlatego, że jest niezgodny z polską konstytucją. Po drugie – ponieważ zwierzęta nie mogą mieć praw z definicji.

Zacząć jednak wypada od tego, że stworzenie urzędu rzecznika praw zwierząt oznaczałoby powołanie kolejnego rzecznika z urzędem, ze stanowiskami, z pensjami i biurem w państwie, gdzie jest ich już i tak wielu, iż lada moment trzeba będzie powołać rzecznika praw rzeczników. Rzecznik finansowy, rzecznik praw dziecka, rzecznik praw pacjenta, rzecznik konsumentów, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców. Jest jeszcze oczywiście rzecznik praw obywatelskich, ale ten działa na podstawie konstytucji, a nie zwykłej ustawy.

Mnożenie tego typu urzędów świadczy o słabości państwa. Tam, gdzie działa ono jak należy – przepisy są rozsądne, a wskutek tego generalnie przestrzegane, ich egzekucja sprawna, a system sądowniczy działa wydajnie – żadni specjalni rzecznicy nie są potrzebni, bo swoje sprawy ubezpieczeni pacjenci czy konsumenci są w stanie załatwić po prostu w sądzie. Bez zwłoki i rzetelnie.

To samo zresztą dotyczy pomysłu Biedronia. Można by bowiem powiedzieć, że polskie prawo – już i tak bardzo wzmocnione za PiS, gdy chodzi o ochronę zwierząt – jest wystarczające. Żadne dodatkowe urzędy nie są potrzebne. I to byłaby racja – szczególnie że orzeczenia w sprawach o dręczenie zwierząt bywają coraz surowsze, nawet rażąco surowe w porównaniu z orzeczeniami dotyczącymi agresji wobec ludzi – gdyby nie to, że chodzi tutaj o coś więcej.

Spróbujmy sobie wyobrazić działanie takiego urzędu w praktyce. Rzecznicy wszelkiego rodzaju działają tak, że włączają się do poszczególnych spraw na ogół na wniosek zainteresowanego. Mamy spór z firmą, która nie chce uznać naszej reklamacji – możemy pójść do rzecznika konsumentów. Jeśli firma nie chce nam wypłacić ubezpieczenia, to pomocy będziemy szukać u rzecznika finansowego. I tak dalej. Kto miałby zgłaszać skargi do rzecznika praw zwierząt? Wnioski i zawiadomienia w biurze podawczym będą zostawiać psy, kanarki i świnki? Raczej nie. Byłby to zatem w istocie urząd na usługach wszelkich organizacji prozwierzęcych, które już dziś mają zdecydowanie zbyt wiele do powiedzenia. I to ludzie byliby autorami skarg i wniosków mających forsować ich agendę. Rzecznik praw zwierząt byłby zatem po prostu publiczną agendą forsowania prozwierzęcej ideologii.

OBYWATEL PIES?

Jednak – trzeba spytać – jakich zwierząt byłby to rzecznik? Czyli – jakie zwierzęta mają według Biedronia prawa? Pewnie psy, koty, konie – to oczywiste. A co

eprasa.pl 631be42f7a

z trzodą chlewną? Niby tak, bo przecież już dzisiaj jest obowiązek zachowania przez rolników odpowiednich standardów. Ale w końcu duża ich część i tak jest przeznaczona na rzeź. Czy tym skandalem rzecznik również by się zajął? A co z problemem gwałconych krów, na który zwracała uwagę gwiazda Parlamentu Europejskiego Sylwia Spurek? A co na przykład z chomikami? Czy brak kołowrotka dla chomika w jego wiwarium kwalifikowałby się na skargę do rzecznika? A hodowlane rybki? Czy rzecznik dbałby, żeby akwarium dla gupika nie było za małe? Może trzeba by tu wypracować jakąś normę, zawartą w odpowiednim rozporządzeniu, i stworzyć inspekcję, która będzie chodzić po domach i mierzyć akwaria? A gołębie, które czasami trzeba przetrzebić, bo ich odchody są mordercze dla elewacji czy pomników? Czy i w ich imieniu rzecznik by występował? Nie wspominam tu nawet o brutalnie tępionych komarach czy muchach, które przylepiają się do lepu i bezradnie szamoczą w dramatycznej agonii.

Można kpić, ale w gruncie rzeczy to pokazuje jeden z zasadniczych problemów z ideą praw zwierząt. Jakie gatunki te prawa mają obejmować? Dlaczego miałyby objąć konia czy psa, ale już nie np. wróbla albo ślimaka? Czy dla wszystkich zwierząt miałyby być identyczne? Koń np. nie mógłby być zjadany (konina nie jest w Polsce popularna, lecz polskie konie są eksportowane choćby do Włoch, gdzie koninę się bardzo ceni), ale świnka (rzecz jasna nie morska – takie rzeczy tylko w Chinach) już tak? Ale dlaczego? Dobrze byłoby poprosić pomysłodawcę o wyjaśnienie tych wątpliwości.

W przypadku praw człowieka nie mamy takiego dylematu. Człowiek to człowiek, zachodni system prawny uznaje, że prawa człowieka (abstrahując na razie od tego, jak są rozumiane) dotyczą w takim samym stopniu każdego, niezależnie od jego cech osobowych. Wszyscy jesteśmy ludźmi – należymy do jednego gatunku. W przypadku zwierząt jest inaczej.

Najbardziej jednak podstawowym problemem jest samo to, że mówi się tu w ogóle o prawach zwierząt. Polska konstytucja w swoim rozdziale II mówi o prawach i obowiązkach człowieka i obywatela. Zwierzęta nie są ludźmi i nie są obywatelami. W polskiej ustawie zasadniczej – i, o ile mi wiadomo, w żadnej ustawie zasadniczej na świecie – nie uznaje się ich za obywateli. Nie ma zatem żadnej prawnej podstawy, aby mówić o „prawach" zwierząt.

Jeszcze ważniejsze jednak jest, że rozdział drugi Konstytucji RP mówi o prawach i obowiązkach. Obowiązki są tu kluczowe, bo w tradycyjnej koncepcji praw człowieka idą w parze z prawami. Tradycyjna koncepcja praw człowieka to ta przedoświeceniowa, wywodząca się z tradycji łacińskiej, przede wszystkim chrześcijańskiej, bo to chrześcijaństwo uznało przyrodzoną godność człowieka, z której wywiedziono jego podstawowe prawa. Oświecenie spowodowało, że ta koncepcja uległa zwyrodnieniu, a „prawa człowieka" stały się synonimem roszczeń, rozciągających się daleko poza pierwotną sferę.

Zostańmy jednak przy prawach w ich pierwotnym, trafnym rozumieniu. Otóż koncepcja praw człowieka zakłada dwie rzeczy. Po pierwsze – że jeśli są prawa, to muszą też być obowiązki. Po drugie – warunkiem istnienia praw jest wolna wola, pozwalająca wybierać świadomie pomiędzy dobrem a złem, a co za tym idzie – obarczać człowieka odpowiedzialnością za jego czyny. Przykładowo: mamy prawo żyć wolni, ale jeśli złamiemy prawo, to musimy być gotowi na poniesienie tego konsekwencji w postaci utraty wolności. Oczywiście mówimy tu o zależnościach na poziomie całości gatunku ludzkiego. Nie unieważniają ich jednostkowe przypadki np. osób o ograniczonej poczytalności – które zresztą zwykle nie cieszą się pełnią praw. Podobnie jak pełnią praw obywatelskich nie cieszą się dzieci, bo zachodni system prawny wciąż wychodzi z założenia, że nie mogą jej posiadać, skoro nie są w stanie wciąż w pełni pojąć ciążących na nich obowiązków. Lewica, swoją drogą, usilnie dąży do zmiany tego stanu rzeczy, podważając oczywistą prawdę o dziecięcej niedojrzałości i istniejące w związku z tym prawo rodziców do wychowywania oraz karania własnego potomstwa.

ROZUM CZY EMOCJE

Oba opisane czynniki są nieobecne u zwierząt. Zwierzę nie ma obowiązków, ponieważ nie ma świadomości, która pozwoliłaby mu wybierać między dobrym a złym. Absurdem byłoby ocenianie w kategoriach etycznych ataku lwa na osłabioną antylopę, która pozostaje z tyłu stada. Absurdem byłoby potępianie psa w kategoriach etycznych za to, że ugryzł kogoś w nogę. Zwierzęta kierują się instynktem, nawet jeśli ten instynkt można w jakimś stopniu naginać za pomocą tresury, wykształcając określone odruchy. Człowiek ma naturalnie skłonność do widzenia pewnych zwierzęcych zachowań – zwłaszcza u tych zwierząt, które towarzyszą mu od wieków – po „ludzku". Jest nam np. bardzo przyjemnie, że nasz ukochany pies przybiega nam na spotkanie i wyraźnie się cieszy, gdy wracamy z pracy. Mamy skłonność, aby to jego zachowanie widzieć tak samo, jak widzimy ludzką miłość, wierność, sympatię. Takie postępowanie psa nie jest jednak wynikiem jego świadomej decyzji czy wyboru. To wciąż instynkt.

Zwierzęta nie mogą mieć obowiązków, zatem nie mogą mieć też praw. Nie mogą być za swoje zachowanie karane przez prawo. Obowiązki mogą mieć natomiast ich opiekunowie i właściciele – ale to już całkiem inna sprawa.

Koncepcja „praw zwierząt" zmierza do zrównania zwierząt z ludźmi. Człowiek ma przestać być czymś wyjątkowym – to jeden z głównych punktów na agendzie lewicy. Temu też służy rozciąganie na zwierzęta określeń zarezerwowanych dla ludzi. Kot już nie zdycha, ale „umiera". Psa się nie usypia, ale „poddaje eutanazji". Jeleń podczas polowania nie jest zabijany, ale „mordowany". To stara lewicowa metoda: poprzez zmiany w języku zmienia się świadomość.

Biedroń, przedstawiając swój pomysł, tę agendę realizuje, choć trudno powiedzieć, w jakim stopniu świadomie. Z pewnością żeruje na powszechnej emocji – bo życiem publicznym rządzi dzisiaj emocja w stopniu bez porównania większym niż rozum – która każe wielu ludziom pochylać się z większą troską nad krzywdą zwierzęcia niż nad krzywdą człowieka. A jeśli jeszcze jest to zwierzę milutkie, puchate, przyjemnie się kojarzące, rezultaty są tym wyraźniejsze. Agresja, którą wywołują w mediach społecznościowych informacje o dręczeniu zwierząt, jest nieporównywalna ze wzburzeniem, które może wywołać informacja o ataku na człowieka. Myśliwi dla wielu są już podludźmi, obywatelami drugiej kategorii.

Do tego dochodzi klasyczna manipulacja: jeśli jesteś przeciwko „prawom zwierząt", to znaczy, że jesteś przeciwnikiem karania za ich dręczenie, a najpewniej sam jesteś ich dręczycielem. To absurd oczywisty, ale chwytliwy. Zwierzęta trzeba szanować i chronić, ale nie wolno przy tym zapominać, że zwierzę to jednak tylko zwierzę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

Zamiast ekshumacji

Marek Kamiński

Jedwabne okazało się bezbłędnym wyegzekwowaniem instrukcji przeprowadzenia działań „pod obcą banderą". Mistrzowsko zacierając po sobie ślady, podwładni Reinharda Heydricha wkomponowali się w zamazane tło zbrodni, ustawiając na pierwszym planie polskich mieszkańców Jedwabnego

Wydaną w 2000 r. książkę J.T. Grossa „Sąsiedzi" początkowo przyjąłem bez zastrzeżeń, zwłaszcza że IPN jednoznacznie potwierdził jej przesłanie. Natomiast zupełnie niezrozumiały był dla mnie format wieloletniej, do dziś trwającej na ten temat dyskusji. Zwolennicy tezy o polskim sprawstwie jedwabieńskiej zbrodni powołują się głównie na wnioski IPN. Natomiast ich adwersarze domagają się ponownej ekshumacji, a jednocześnie zamiast z IPN, nadal polemizują z J.T. Grossem i z rabinicznym zakazem ponownej ekshumacji.

Skoro 10 marca 2019 r. Prokuratura Krajowa zawyrokowała, że ponownej ekshumacji nie będzie, zdecydowałem się przestudiować dostępne materiały IPN-owskiego dochodzenia. Opublikowane na witrynie jedwabne41.org opracowanie „Zamiast ekshumacji", którego skrót tu przestawiam, jest krytyczną analizą Postanowienia o umorzeniu śledztwa z 30 czerwca 2003 r. autorstwa prokuratora Radosława Ignatiewa.

Oto jego istota: „W tym stanie rzeczy stwierdzić należy, że zasadne jest przypisanie Niemcom, w ocenie prawnokarnej, sprawstwa sensu largo tej zbrodni. Wykonawcami zbrodni, jako sprawcy sensu stricto, byli polscy mieszkańcy Jedwabnego i okolic – mężczyźni w liczbie ok. 40 [...]". A jednocześnie: „Obecność uzbrojonych Niemców stwarzała warunki, w których bezpośredni wykonawcy mogli dokonać zaplanowanej zbrodni [...]". Z tym że: „Niemiecka inspiracja do dokonania zbrodni nie przybrała bowiem formy współsprawstwa – wspólnego dokonywania z polskimi mieszkańcami zaplanowanej zbrodni na wszystkich etapach przestępczego planu".

Nieodzownym warunkiem zasadności tak sformułowanego wniosku jest, w miarę precyzyjne, wyodrębnienie poszczególnych etapów zbrodni z wykazaniem stopnia udziału zaangażowanych stron. Ponieważ Radosław Ignatiew tego nie zrobił, ten kluczowy fragment postanowienia jest wyłącznie nieobowiązującym uogólnieniem, co jednak nie kwestionuje trafności zaproponowanej formuły śledczej. Dlatego

eprasa.pl 631be42f7a

Pomnik upamiętniający pomordowanych Żydów z Jedwabnego FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Hermann Schaper w czasie służby i po wojnie jako cywil FOT. WIKIPEDIA

właśnie tą formułą posłużyłem się w analizie jedwabieńskiej tragedii.

PLANOWANIE, UPOKORZENIE, ZABEZPIECZENIE

Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w „Kalendarium pogromów w byłej sowieckiej strefie okupacyjnej – lato 1941" uwzględnia 16 masowych mordów, w tym trzy na terenie obecnej Polski, a konkretnie w woj. łomżyńskim. Posuwały się one niemalże w prostej linii z północy na południe w odstępach 15–18 km i co dwa–trzy dni. Im dalej na południe i w czasie, tym mniejszy udział Niemców, z nadwyżką kompensowany nasilającą się morderczą sprawnością Polaków, wyrażoną przede wszystkim rosnącą efektywnością wykorzystania stodoły jako narzędzia pozbawiania życia. W Wąsoszu stodoła to miejsce polskiego morderstwa za „pomocą pałek i noży" przy udziale Niemców, w Radziłowie – spalenia części ofiar po wyjeździe Niemców, w Jedwabnem – praktycznie jedyne narzędzie zbrodni dokonanej przez samych Polaków.

Tę wyraźnie nieprzypadkową ewolucję tłumaczy jedynie sukcesywne doskonalenie tej samej koncepcji operacyjnej. Zważywszy, że wspólnym mianownikiem tych trzech tragedii jest obecność Einsatzgruppe B pod dowództwem SS-Obersturmführera Hermanna Schapera, wyłącznie niemieckie autorstwo „zbrodniczego planu" oraz jego kolejnych udoskonaleń wyjaśnia tę prawidłowość.

Na drugim etapie realizacji tego planu rozkazano jedwabieńskim Żydom zebrać się na rynku ze stołowymi łyżkami. Następnie zmuszono ich, by tymi łyżkami wydłubywali z bruku trawę. To, że dokładnie tak samo Żydów upokorzono dwa dni wcześniej w Radziłowie, można by ewentualnie wytłumaczyć czasową i geograficzną bliskością. Natomiast żadna bliskość nie tłumaczy spędzenia rok wcześniej przez niemieckich żandarmów na rynek w Gilgenburgu (dziś Dąbrówno) polskich przymusowych robotników, też z łyżkami, i zmuszenia ich do wyskrobywania nimi trawy spomiędzy kamieni. Wyłącznie to samo przeszkolenie sprawców może wyjaśnić tę zbieżność. I wyjaśnia.

Wstępnie przyjęty, oparty na cytowanych w „Sąsiadach" zeznaniach świadków, trzeci etap jedwabieńskiej tragedii miał mieć następujący przebieg.

Spośród spędzonej na rynek większości jedwabieńskich Żydów wybrano grupę młodych, zdrowych mężczyzn, którym kazano rozbić stojący na rynku pomnik Lenina. Następnie grupę tę, z fragmentami pomnika na ramionach, poprowadzono na żydowski cmentarz, gdzie ich brutalnie zamordowano i pochowano. Kilka godzin później pozostałe ofiary zamknięto w zlokalizowanej naprzeciw cmentarza stodole i spalono. Dzień czy dwa później pochowano ich poza obrębem budynku. Grób ten oznaczono numerem 1.

Tymczasem śledztwo IPN wykazało, że na cmentarzu żadnego zbiorowego morderstwa nie było. Natomiast całkowicie niespodziewanie w obrębie stodoły odkryto „grób numer 2" zawierający osmalone fragmenty pomnika Lenina, a pod nimi zwłoki 40–50 mężczyzn zamordowanych kilka godzin przed pożarem.

Odkrycie to zaskoczyło tak śledczych, jak mieszkańców Jedwabnego. A przecież gdyby wyłącznymi sprawcami byli uzbrojeni w pałki i noże Polacy, to musiałoby być ich co najmniej trzy albo i cztery razy tylu co ofiar. Pamiętajmy, że nie byliby to przeszkoleni i zdyscyplinowani bojówkarze, ale prymitywne, przypadkowe wiejskie oprychy. Nie ma więc żadnej możliwości, żeby co najmniej kilku z nich się później po pijaku nie wygadało. A wtedy o przebiegu zbrodni wiedzieliby wszyscy. Tak się jednak nie stało.

Przypominam, że IPN ocenił liczebność polskich sprawców sensu stricte, czyli tych z krwią na rękach, na ok. 40, a zamordowanych – na 40–50 osób. Ten układ również wyklucza wyłącznie polskie sprawstwo. Zwłaszcza że u Polaków byliby to ludzie przypadkowi, natomiast u Żydów – wybrani, najsilniejsi i młodzi mężczyźni. Do tego mogący porozumiewać się w jidysz. Przy tym ci „bezpośredni wykonawcy", to nie paraliżujący

eprasa.pl 631be42f7a

Niemcy na rynku w Jedwabnem, 10 lipca 1941 r. FOT. ARCHIWUM

swoim umundurowaniem, uzbrojeniem i butą niezwyciężeni Übermenschen, ale uzbrojeni w kije i kłonice Janki, Maćki i Kaziki, z którymi mordowani Żydzi znaliby się od dziecka. Tak więc w momencie bezpośredniego zagrożenia Żydzi ci by się po prostu rozbiegli. A pogoń z kilkukilogramową kłonicą w ręku jest bez sensu. Bez kłonicy tym bardziej.

To jednak nie wszystko. Częściowe rozkopanie grobu numer 2 bezspornie wykazało, że po egzekucji młodych Żydów w stodole ich grobu praktycznie nie zasypano. Znaczy to, że po – jakkolwiek by ona przebiegała – ok. godziny trwającej egzekucji w słońcem nagrzanej stodole ubrani w sukienne mundury, spoceni Niemcy nie mieli ochoty na dłuższe machanie łopatami. Dlatego sypnęli tyle piasku, by zwłoki nie rzucały się w oczy późniejszym ofiarom, i opuścili miejsce zbrodni. Dopiero następnego dnia sami zasypali dół do końca. To czasowe pozostawienie praktycznie odkrytego grobu wyklucza udział w tej zbrodni nawet kilku polskich i to nie współsprawców, ale pomocników, których to natychmiast by zapędzono do łopaty. Wtedy jednak grób ten nie pozostałby tajemnicą, której odkrycie zajęło 60 lat.

BRAKUJĄCE OFIARY

Jednym z argumentów za wznowieniem ekshumacji jest ustalenie dokładnej liczby ofiar. W tym kontekście zwracam uwagę na następującą, związaną z grobem numer 2, okoliczność.

Szmul Wasersztajn (zeznanie pominięte przez J.T. Grossa): „Jako pierwszą ofiarę swoich diabelskich instynktów wybrali 75 najmłodszych i najzdrowszych Żydów, którym kazali podnieść z miejsca i zanieść wielką statuę Lenina, którą w swoim czasie Rosjanie postawili w centrum miasteczka".

Tę, datowaną na 5 kwietnia 1945 r., relację cytuję z uwagi na liczbę 75 oznaczającą „najmłodszych i najzdrowszych Żydów". Jest ona o tyle istotna, że dokładnie tę samą liczbę i w dokładnie tym samym kontekście, ale ponad pół wieku później przytoczył w trakcie dochodzenia IPN polski świadek o inicjałach T.L., syn polskiego kowala w Jedwabnem.

W roku 1941 miał on 13 lat i znał niemiecki na tyle, że rozumiał niektóre z wydawanych w tym języku komend, w tym tę, żeby oddzieleni od reszty młodzi Żydzi odliczyli do... 75.

Dodajmy, że S. Wasersztajn był jednym z odliczanych i, naturalnie, zwłaszcza po tym, co nastąpiło później, wynik procedury zapamiętał. To samo dotyczy 13-letniego chłopca.

S. Wasersztajn zmarł w 2000 r. Jego oświadczanie z 1945 r. IPN opublikował w roku 2002. Tak więc jest praktycznie niemożliwe, by T.L. miał do niego dostęp, nie mówiąc o sytuacji odwrotnej.

A zatem według dwóch niezależnych i bezpośrednich świadków 75 to liczba młodych Żydów wyselekcjonowanych do eliminacji w pierwszej kolejności i w tym celu poprowadzonych w kierunku cmentarza. Ich grób numer 2 w stodole zawiera jednak 40–50 zwłok. Oznacza to, że pomiędzy rynkiem a egzekucją liczba potencjalnych ofiar zmniejszyła się o co najmniej jedną trzecią. Eskortowali ich Polacy. Jednym z nich był kolega szkolny wówczas 19-letniego S. Wasersztajna, który za rzekomą obietnicę tytoniu, pozwolił mu uciec. Drugim uratowanym był wówczas 21-letni Abram Boruszczak. Podobnie jak S. Wasersztajn został przydzielony do „pochowania Lenina" i też uciekł.

Droga z rynku na cmentarz liczy ok. 550 m. Z wyjątkiem ostatnich 100 prowadzi ona ulicami miasteczka. W tych okolicznościach sugestia zamordowania za pomocą kłonic i noży 20–30 z 50–75 mężczyzn prowadzonych na stracenie jest niedorzeczna. Liczba uratowanych jest zbyt duża, a czas zbyt krótki, by rozważać wielokrotne indywidualne przekupstwo. Tak więc, skoro ich nie uwolniono i nie zamordowano, to znaczy, że uciekli. A zatem, kilku, jeśli

eprasa.pl 631be42f7a

nie kilkunastu z ponad 40 napiętnowanych w Postanowieniu „bezpośrednich wykonawców" ucieczki te umożliwiało, ratując tym samym życie uciekinierom. Bez względu na wielkość wiążącego się z tym ryzyka było to postępowanie będące jednoznacznym zaprzeczeniem roli sprawców sensu stricto.

W tym momencie należy podkreślić, że dyskretne wymordowanie wybranych, mogących stawić opór mężczyzn nie było jedynym celem tej operacji. W ten sposób zabezpieczono warunki do zamordowania pozostałych. Dlatego etap ten został wyegzekwowany ze zdumiewającą dyskrecją i precyzją.

POLOWA GASSKAMMER JEDNORAZOWEGO UŻYTKU

Jeśli chodzi o pozbawianie życia, to stodoła, wbrew zewnętrznym atrybutom prymitywizmu, jest niezwykle wyrafinowanym i efektywnym narzędziem masowej eksterminacji. Równocześnie określenie „spalenie" nie oddaje rzeczywistej natury zbrodni.

Po zamknięciu w niej ofiar strzecha stanęła w płomieniach. A te w ciągu kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu sekund zużyły większość zawartego w stodolnym powietrzu tlenu. Stąd pojedynczy rozpaczliwy krzyk, po którym nastąpiła śmierć wskutek uduszenia.

Stodoła stała ok. 400 m od rynku, przy prowadzącej w kierunku wschodnim drodze do Przestrzela. Dalej było i jest pole.

Żydów przyprowadzonych z Jedwabnego i zamknięto. Większość świadków twierdzi, że ściany stodoły oblano benzyną i podpalono. Przypominam, że zamkniętych było ponad 300 Żydów obserwujących przez szpary otoczenie, a uzbrojonych w kije Polaków zaledwie 40. Należało więc działać błyskawicznie, by nie dać zamkniętym szansy ratunku przez odruchowe wyważenie zbitych z cienkich desek wierzei. Zważywszy, że nawet chodzenie wzdłuż stodoły z 20-litrowym kanistrem mogłoby ostrzec ofiary, należałoby szybko polać krótką ścianę od strony Jedwabnego i natychmiast ją podpalić. Wtedy spanikowani ludzie stłoczyliby się w sąsieku od strony Przestrzela i tam zginęli. Natomiast rzeczywisty kierunek postępu pożaru był dokładnie przeciwny. Stodołę podpalono od strony Przestrzela, co wymagało uprzedniego zaplanowania i przygotowania, a to praktycznie wyklucza spontaniczno-pogromowy charakter zbrodni.

Klucz do zrozumienia przebiegu ostatecznego etapu zbrodni zawiera następujący zapis na str. 167 Postanowienia o umorzeniu śledztwa: „W dniu 3 kwietnia 2001 r. [...] ujawniono i zabezpieczono 15 łusek karabinowych [...] oraz spłonkę z napisami w języku niemieckim".

Była to spłonka odstrzelonego naboju sygnałowego.

Któryś z „bezpośrednich wykonawców" mógł mieć – co jednak trudno sobie wyobrazić – rakietnicę. Raczej jednak sowiecką, ostatecznie polską. Niemieckiej nigdy. Bo i skąd? Tak więc nabój ten musiał odstrzelić Niemiec.

Dodajmy, że podpalanie strzech z rakietnicy było wtedy swoistą rutyną. Jak chociażby niecałe dwa lata wcześniej pod pobliską Wizną, kiedy to niemieccy saperzy za pomocą rakietnic sygnałowych podpalili słomiane strzechy zabudowań i zmusili Polaków do ich opuszczenia.

Spłonkę znalezioną przy stodole wyprodukowano przed 1935 r. A to wyklucza odstrzelanie jej 23 stycznia 1945 r. przez broniącą tego odcinka przez niecały dzień 4. Armię Wehrmachtu, która w międzyczasie była pod Moskwą.

Powyższą hipotezę potwierdza także lokalizacja grobu spalonych ofiar. Wykopano go możliwie najbliżej spiętrzonych i stopionych zwłok, tak by można było je doń spychać, co też uczyniono. Znajduje się on dokładnie po przekątnej od miejsca znalezienia spłonki. Na osi tej jest również północno-wschodni fragment strzechy, którą podpaliłby pocisk sygnalizacyjny. Wyjaśnia to, dlaczego ofiary szukały ratunku w południowo-zachodniej części sąsieku od strony Jedwabnego. Czyli dokładnie po przekątnej od miejsca, od którego zaczął się pożar.

Zrozumiałe jest też, że żaden ze świadków opisanego odpalenia rakiety nie zauważył. Na tle słonecznego nieba przelot pocisku nie był widoczny. Normalnie wystrzelony, zapalał się dopiero po kilkudziesięciu metrach lotu. W tym przypadku – tkwił już w strzesze. Nietypowy odgłos odstrzału też nie zwrócił niczyjej uwagi.

I tak oto jedwabieńska polowa Gasskammera jednorazowego użytku okazała się narzędziem zbrodni nie tylko wyjątkowo skutecznym, lecz także dyskretnym w sensie bezpośredniego sprawstwa.

POST SCRIPTUM

29 czerwca 1941 r. szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) SS-Obergruppenführera Reinhard T. Heydrich wydał podległym sobie, operującym m.in. w woj. łomżyńskim, służbom następującą instrukcję: „Nie należy stwarzać żadnych przeszkód dążeniom do samooczyszczenia ze strony kręgów antykomunistycznych czy antyżydowskich na nowo zajmowanych terenach. Przeciwnie należy je wywoływać, nie zostawiając śladów, w razie potrzeby intensyfikować i kierować na właściwe tory. [...] Na razie trzeba unikać tworzenia stałych oddziałów samoobrony z centrum i kierownictwem; zamiast nich celowe jest wywoływanie miejscowych pogromów ludowych".

Instrukcja ta kwalifikuje przeprowadzone według niej akcje jako false flag operation, czyli pod obcą banderą. Określa się w ten sposób działania prowadzone w celu stworzenia wrażenia, że dana grupa, naród, państwo itp. jest odpowiedzialna za jakieś konkretne, najczęściej niezbyt chwalebne poczynania. False flag ma wyglądać tak, jakby została przeprowadzona przez tych, których ma zdyskredytować.

Jedwabne okazało się pierwszym i jedynym bezbłędnym wyegzekwowaniem tej instrukcji. Mistrzowsko zacierając po sobie ślady, podwładni Heydricha wkomponowali się w zamazane tło zbrodni, ustawiając na pierwszym planie polskich mieszkańców Jedwabnego. W rezultacie należna Niemcom część żydowskiej niechęci przypada kolejnym pokoleniom ich byłych polskich sąsiadów. Z tym że sąsiedztwo to nie ogranicza się do Jedwabnego, a obejmuje całą Polskę.

Takich rezultatów swoich operacji ich autorzy i wykonawcy nie mogli sobie w żaden sposób wymarzyć. Jest to ich ostateczny pośmiertny triumf.

Dlatego też, zanim rzucimy kolejne kamienie na przeciwne strony jedwabieńskiego szańca, pamiętajmy, że bez względu na to, którą stronę reprezentujemy, ostatecznymi zwycięzcami są tu zawsze SS-Obergruppenführer Reinhard T. Heydrich, SS-Obersturmführer Hermann Schaper i ich pretorianie z SS-Einsatzgruppe B. Tak więc, czy nam się to podoba, czy nie, to właśnie my jesteśmy ich ostatecznymi, choć oryginalnie niezamierzonymi ofiarami.

Gloria Victis!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Grupa 1 Sierpnia

Marek Jurek

Małgorzata Klunder w swojej najnowszej książce wydobywa z pamięci koleżeńskiej na powierzchnię historii uczestników Grupy 1 Sierpnia

W sobotni wrześniowy wieczór sala w dolnej kaplicy kościoła św. Wojciecha była wypełniona po brzegi. Na prezentację książki „Grupa 1 Sierpnia, czyli ekspropriacja" stawił się „cały prawicowy Konin". Przyszli, często z dorosłymi lub dorastającymi dziećmi, przypomnieć własną historię. Wielu z nich mieszka w Warszawie czy Poznaniu, ale ciągle są razem, związani z rodzinnym miastem. Rzadko spotyka się tak mocno zintegrowane środowisko lokalnej inteligencji.

PODZIEMNA WALKA

Z perspektywy całej epopei Solidarności to tylko jedna z akcji na prowincji. Jednak dla grona studentów, którzy postanowili czynnie zareagować na stan wojenny, była przełomowym momentem w ich życiu. I najbardziej efektowną akcją oporu w tamtych latach w Koninie. Kilkuosobowa grupa młodych działaczy, rozpoznając dokładnie teren, wykradła z Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego duży nowoczesny powielacz wraz z elektryczną maszyną do pisania (w tamtych czasach rzadkość). Akcja była nie tylko demonstracją, lecz także przyniosła realne korzyści podziemiu. Sprzęt przez pewien czas pracował w Koninie, potem został przerzucony do Poznania i tam przez kilka lat służył opozycyjnym wydawnictwom. Uczestnicy Grupy 1 Sierpnia zdecydowali się na akcję, którą bezpieka i sądy stanu wojennego mogły bez trudu zakwalifikować jako pospolite przestępstwo. Jednak właśnie o to chodziło, o sprzęt, nie o demonstrację.

Chociaż akcja zakończyła się pełnym sukcesem, to dla jej bohaterów nie miała szczęśliwego ciągu dalszego. Niektórzy zostali aresztowani i przeszli ciężkie, połączone z systematycznym biciem, śledztwo. Konińska bezpieka potraktowała sprawę prestiżowo, po swojemu. Nie dowiedziono im jednak zaboru mienia i nie znaleziono oczywiście służącego podziemiu sprzętu.

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 631be42f7a

Skazano ich za publikację podziemnego konińskiego pisma „Azyl Wojenny”.

O sprawie dowiedzieliśmy się wtedy, bo jeden z uczestników Grupy 1 Sierpnia był naszym kolegą z Ruchu Młodej Polski. Zaczynając więc od pomocy dla Tomka, zajęliśmy się wsparciem dla wszystkich aresztowanych. Potem – już w wolnej Polsce – z niektórymi z uczestników tych działań pracowaliśmy razem w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym. Stanowili trzon konińskiej struktury ZChN.

Rzecz jednak na tym się nie skończyła. Oprawcy, którzy „przesłuchiwali” chłopaków z Grupy 1 Sierpnia, w wolnej Polsce trafili za kratki. Był to chyba jedyny proces w III Rzeczypospolitej zakończony skazaniem esbeków na bezwzględną (a nie zawieszoną) karę więzienia.

NASZE PRZEDWCZORAJ

Książkę o tym epizodzie podziemnej walki napisała Małgorzata Klunder, katolicka pisarka, autorka poznańskiego cyklu o Niziołkach z ulicy Pamiątkowej. Wykorzystując swój powieściopisarski warsztat, stworzyła tym razem opowieść non fiction. Dzięki niej została w jednym miejscu spisana lokalna historia walki o niepodległość, którą dziś mamy. A w skali kraju luk jest ciągle o wiele więcej niż utrwalonych wydarzeń.

Jedną z największych porażek niepodległej Polski jest relatywizacja tego niepodległościowego wysiłku. Systematycznie go pomniejszano i lekceważono. Dla komunistów postkonformistyczny antypolityczny populizm, dezawuowanie i pomniejszanie znaczenia oporu społecznego były polityczną strategią. Zaczęło się to zmieniać za prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Jednak to, co zrobiono w planie państwowym, czas rozszerzyć na całą Polskę. Niedawno młody pisarz Krzysztof Tyszka-Drozdowski w świetnym zbiorze esejów „Żuawi nicości” pisał o potrzebie decentralizacji pamięci dla wzmocnienia i pogłębienia świadomości narodowej. Bo rzeczywiście, uczniowie na Podkarpaciu nie muszą wiele wiedzieć o Gryfie Pomorskim, ale na Kaszubach – powinni. Lubelskie szkoły nie muszą uczyć o prezydencie Cyrylu Ratajskim czy wojewodzie hrabim Bnińskim, ale poznańskie nie mogą tego nie robić. A wszystkie szkoły powinny uczyć o walce o wolność Polski żyjących jeszcze pokoleń. Nie będziemy cenić tego, co mamy, nie wiedząc, ile to kosztowało.

Na koniec epilog. Wśród uczestników Grupy 1 Sierpnia znaleźli się późniejszy minister (Tomasz Szyszko, który reprezentował Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe w rządzie prof. Buzka), menedżerowie (Mariusz Wiatrowski kieruje dziś lotniskiem w Poznaniu), ważni samorządowcy, ludzie, którym się powiodło w biznesie (Cezary Polski prowadzi dużą wielkopolską firmę energetyczną). Jednak inni (tacy jak Andrzej Dyka, Waldemar Sroczyński, Andrzej Orłowicz, Janusz Ładosz) pozostali bezimiennymi bohaterami. Z pamięci koleżeńskiej na powierzchnię historii wydobyła ich Małgorzata Klunder. Jej książka powinna być czytana w konińskich szkołach, ale nie tylko. Tak wyglądało nasze przedwczoraj, choć – jak pisze Herbert – „epizod ten jest jak szpilka / w lesie”. Właśnie z takich epizodów składa się naprawdę historia narodowa.

MAŁGORZATA KLUNDER
„GRUPA 1 SIERPNIA, CZYLI EKSPROPRIACJA”

Książka jest dostępna w księgarni internetowej www.debogora.com.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 631be42f7a

Brudne pieluszki

Gabriel Michalik

Ani go łatwo znaleźć, ani też, znalazłszy, cokolwiek zrozumieć. Bohater wstydliwej pamięci pierwszych lat obecnej Polski przebywa w rewirach cywilizacyjnie i geograficznie od naszego kraju najodleglejszych

Wobec reporterów jest nieufny. Sto razy już go wyśmiano, nazwano szarlatanem, oskarżono o zbrodnie i o zgwałcenia; usytuowano na granicy piekła i szaleństwa, pogrzebano. A on żyje, trwa. Mimo osiemdziesiątki na karku stale w drodze, w tournée z seansem „Moje niewidzialne strzały – pokaz fenomenów, jakich świat

eprasa.pl 631be42f7a

Anatolij Kaszpirowski podczas konferencji prasowej w Warszawie, 16 września 1998 r. FOT. PAP-ADAM URBANEK

III RP

nie widział". Jeździ po prowincjonalnych miastach Rosji i Kazachstanu, bywa w Stanach Zjednoczonych i w Izraelu, wszędzie tam, gdzie żyje jeszcze nie tyle rosyjska, ile sowiecka diaspora; ci, a częściej te, które pamiętają szczyt jego sukcesu i noszą w sercu patriotyczne uczucia wobec państwa nieistniejącego od blisko 30 lat. Seanse dla ekspatriantów ze Związku Sowieckiego Kaszpirowski zaczyna od słów: „Spotykamy się jak kiedyś, w naszej ojczyźnie, którą odebrali nam mali, podli ludzie...".

* * *

Błysk, grzmot, trzęsienie ziemi!

Polska, jesień 1990 r.

Kaszpirowski w telewizji; Kaszpirowski w Sali Kongresowej; Kaszpirowski w katowickim Spodku...

Liczy z telewizora: „Adin, dwa, tri...". Co liczy? Po co liczy? Do ilu doliczy?

Kto wie? Dwie trzecie Polski siedzi przed odbiornikami.

W siedzibie Solidarności z Lechem Wałęsą radzi o naprawie Rzeczypospolitej, w Hali Olivia uzdrawia tłumy. 19 października zjeżdża na Jasną Górę. Ojcowie paulini oddają do jego dyspozycji celę, w której dotąd zatrzymywał się Jan Paweł II. Kameralny, by nie powiedzieć ekskluzywny seans dla zakonników i ich gości – sióstr zakonnych, księży diecezjalnych i świeckich – odbywa się w podziemiach klasztoru.

* * *

Co to było? Co zdarzyło się w Polsce odradzającej się z letargu PRL, że potrzebny był nam mag? Dlaczego w 1990 r. z honorami przyjmowali go hierarchowie Kościoła, profesorowie, lekarze, ministrowie i noblista prezydent? Czemu w superlatywach pisał o nim postrzegany wówczas jako wszechwładny organ środowiskowy inteligencji tygodnik „Polityka", a telewizja oddawała uzdrowicielowi najlepszy czas antenowy? Co stało się wtedy z nami, a w końcu – co się stało wtedy z Kaszpirowskim, z tym zajadłym ateistą i antyklerykałem, że wygłaszał z telewizora pobożne pogadanki, których pozazdrościć mogliby mu katoliccy proboszczowie?

Czy swoim „Adin, dwa, tri..." usypiał, mylił czujność, znieczulał opór społeczny, gdy rosły miliardowe fortuny współpracowników policji politycznej minionego (teoretycznie) reżimu, a tysiące robotników z „prywatyzowanych" zakładów lądowały na bruku?

Na potwierdzenie spiskowej teorii, jak zwykle, brak jednoznacznych dowodów. Brak ich jednak także dla jej obalenia. A Andrzej Milczanowski, dzisiaj emerytowany notariusz, wówczas zaś kolejno wiceszef Urzędu Ochrony Państwa, szef UOP i w końcu minister spraw wewnętrznych, brzmi doprawdy zaskakująco, gdy tłumaczy mi, że nie zastanawiał się nad tym, czy Kaszpirowskiego przysłało KGB czy GRU, a rozpadający się ZSRS miał w tamtych latach na głowie ważniejsze problemy niż instalowanie w Polsce figur o tak niejednoznacznym charakterze (ten sam minister Milczanowski niedługo po tym, jak Kaszpirowski zawojował Polskę, oskarży o współpracę z rosyjskimi służbami premiera Józefa Oleksego, a zatem chyba jednak możliwość ingerencji ze Wschodu dopuszczał).

* * *

Jest w nim moc. Nie nadprzyrodzona, nie ta z zapachem siarki (Cerkiew prawosławna, a w ślad za nią rosyjskie tabloidy zapisały już dawno Kaszpirowskiego do orszaku ziemskich sług szatana). To moc, którą prowincjonalny psychiatra, szeregowy lekarz w winnickiej klinice psychiatrycznej, kumulował, wędrując przeszło ćwierć wieku po salkach kołchozów i domów kultury od Berdyczowa do Władywostoku z pokazami hipnozy estradowej; gdy grupy i jednostki na jedno jego słowo padały, grały na nieistniejących skrzypcach, przyjmowały na wiarę, że biorą właśnie udział w wojnach napoleońskich. Organizowało te pokazy wszechsowieckie Towarzystwo „Wiedza", filar oświeconej władzy, młot na prawosławnych, pas transmisyjny „światopoglądu naukowego", wyrosły ze Związku Wojujących Bezbożników. Hipnoza estradowa miała ukazać potęgę sowieckiej nauki i rozprawić się z „bajkami o biblijnych cudach".

W 1995 r., jeszcze na oparach nieziemskiej popularności, jeszcze przed nieodwracalnym, choć rozłożonym na etapy upadkiem, znaczonym kampanią drwin w rosyjskich mediach, Kaszpirowski dokonał rzeczy bezdyskusyjnie wielkiej: wszedł do zajętego przez terrorystów szpitala w Budionnowsku, w którym ludzie Szamila Basajewa przetrzymywali nie mniej niż półtora tysiąca zakładników. W toku dziewięciogodzinnych rozmów doprowadził do tego, że Basajew, który ledwie kilka godzin wcześniej kazał strzelać do zakładników jak do tarczy, zmienił długą listę żądań wobec rosyjskich władz na kilka łatwych do spełnienia postulatów. Na znak zgody od razu wypuścił kilkudziesięciu zakładników, a w końcu udało się ocalić całą resztę. Odjechali autokarami do Czeczenii, eskortowani przez ludzi Basajewa i przez m.in. Siergieja Kowalowa

eprasa.pl 631be42f7a

w charakterze żywej tarczy. Tam ich uwolniono.

W Rosji nie pamięta się tego Kaszpirowskiemu choćby z tej przyczyny, że walka z terrorystami to w narracji Kremla pole zwycięstw dzielnych specnazowców i czekistów (nie zaś mediatorów i szemranych hipnotyzerów), a doktryna nie przewiduje czegoś takiego jak ocalenie życia zakładników za cenę ustępstw.

I w końcu ta moc Kaszpirowskiego zaznaczyła się i w moim życiu, gdy przez dwa lata pracowałem nad książką, którą od dawna chciałem przeczytać: nad próbą kompletnej relacji o tym, co stało się z nami w roku 1990, że Kaszpirowski w ogóle był w Polsce możliwy. Anatolij Michajłowicz poddał mnie – całkiem wbrew mojej woli – szczególnemu treningowi, po którym kontakt z nim mógł przebiegać niemal wyłącznie na kolanach. Tygodnie mi zajęło uwalnianie się od dziwnego czaru doprawdy genialnego manipulatora. Napisałem więc książkę o sowieckich czarach, o Polsce sprzed 30 lat, ale też i o moim własnym wychodzeniu z uwiedzenia przez Kaszpirowskiego.

* * *

W Polsce prawie nikt się do niego nie przyznaje. Jeden z najbardziej znanych obecnie psychoterapeutów, który skok ku sławie zawdzięcza temu, że przed 30 laty pojawiał się w kręconej na Woronicza „Teleklinice doktora Kaszpirowskiego", grozi mi procesem za samo wspomnienie jego nazwiska w kontekście mojego bohatera. Nie żyją już biskupi i arcybiskupi, którzy żyrowali rajd Kaszpirowskiego po najważniejszych świątyniach Polski, ale żyją ich dawni kapelani, żyją zaangażowani w sprawę urzędnicy kurialni. Żyją i nabierają wody w usta.

Nieco śmielej postąpił jeden z paulinów, którzy organizowali na Jasnej Górze seans Anatolija dla osób konsekrowanych. Owszem, oprowadzał sowieckiego gościa po skarbcach klasztoru, nie on go jednak zaprosił, lecz przeor. Przeor ma już sto lat i brak mu sił na rozmowy z reporterem.

O Kaszpirowskim mówią za to bez wstydu i zastrzeżeń Halina Aczkasowa, pochodząca ze Związku Sowieckiego wieloletnia redaktor TVP, która sprowadziła uzdrowiciela na polską antenę, i Mirosław Kuliś, niegdyś dziennikarz PRL-owskich gazet, teraz biznesmen i filantrop. Kuliś stał się w 1990 r. polskim impresariem Kaszpirowskiego. Pieniądze zarobione na biletach wstępu na seanse wydał na uruchomienie tygodnika „Angora". Pismo, mimo zmiennej koniunktury na rynku prasy papierowej, rozchodzi się Kulisiowi nadal w imponującym nakładzie.

Jednak większość milczy, jakby tamto uwiedzenie przed laty było dziś sprawą w najwyższym stopniu krępującą, dowodem braku umysłowych kompetencji do odgrywania tych ważnych ról, które udało im się w nowej Polsce odegrać.

Ze zdjęć uśmiechają się umarli, fetujący niegdyś Kaszpirowskiego na salonach: Tadeusz Mazowiecki, prymas Józef Glemp, Aleksander Małachowski, abp Bronisław Dąbrowski, a nawet Stefan Kisielewski.

Seans Anatolija Kaszpirowskiego w kościele św. Teresy w Łodzi w 1990 r. FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI/PAP

W 1995 r. Kaszpirowski zdołał przekonać Basajewa, aby nie zabijał zakładników FOT. YOU TUBE

* * *

Zły los, a może zbieg okoliczności sprawił, że najważniejsi sprawcy obecności Kaszpirowskiego w Polsce zakosztowali więziennego chleba. Doktor Grzegorz Wójtowicz, wiceprezes NBP w latach 1989–1991 (później prezes tego banku), który zagwarantował finansowe podstawy działalności uzdrowiciela w Polsce, wydając zgodę na transfery zarobionych na seansach pieniędzy do Związku Sowieckiego – przesiedział w areszcie kilka miesięcy w jednym z wątków afery Art-B (ostatecznie uniewinniony).

Profesor Janusz Baranowski, jeden z pierwszych polskich milionerów, założyciel Westy, która oficjalnie organizowała pobyty Kaszpirowskiego między Odrą a Bugiem, spędził w areszcie przeszło trzy lata, oskarżony o malwersacje w firmie (sprawa się przedawniła, Baranowski uzyskał prawo do odszkodowania za areszt). W końcu prof. Lechosław Gapik, psychoterapeuta i seksuolog, który na zlecenie TVP sporządził opinię o „metodzie Kaszpirowskiego", swoisty naukowy glejt legalizujący telewizyjne seanse, odbył niedawno czteroletni wyrok za molestowanie pacjentek.

* * *

Spiski przeplatają się z hipotezami, cała historia ocieka sokiem sowieckiej nauki udekorowanej sztafażem magii. Kaszpirowski trwa gdzieś sobie jako świadek naszej wstydliwej historii, a my możemy przejrzeć się dzisiaj w jego oczach, pewni, że jednak coś bardzo ważnego i dobrego wydarzyło się przez minione 30 lat. Że w pełnym sporów i mankamentów dzisiejszym polskim życiu tamto szaleństwo jest już tylko wspomnieniem, które można powtarzać ku pokrzepieniu serc, dla uświadomienia sobie, z jak wielkiego upadku udało nam się podnieść.

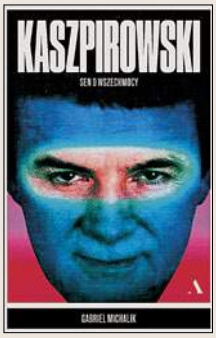

Tekst powstał na podstawie książki „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwone krety

Jubileuszowy, 10. tom redagowanej przez Tadeusza Dubickiego serii „Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP". W środku – jak zawsze – trzymające w napięciu opisy afer szpiegowskich i tajnych operacji, sylwetki agentów i oficerów polskich służb oraz ciekawe analizy.

Przykładem może być tekst Marka Świerczka o biało-czerwonych czy też raczej czerwonych renegatach. Oficerach wywiadu II RP, którzy przeszli na stronę bolszewików i od środka rozłożyli na łopatki wywiad młodego państwa polskiego. Świerczek podkreśla, że naczelnym celem każdej służby specjalnej jest zinfiltrowanie i przejęcie kontroli nad służbą przeciwnika. Czyli zwerbowanie jak największej liczby oficerów wrogiego wywiadu. W ten sposób nie tylko można posiąść pełną wiedzę na jego temat, lecz także inspirować jego działania.

„Kret – pisze Świerczek – jest wrotami zakażenia, przez które do organizmu wdzierają się zarazki, z czasem przekształcając lokalne zakażenie w ogólnoustrojową sepsę".

Na taką właśnie śmiertelną chorobę zapadły tajne służby odrodzonej Rzeczypospolitej. Już u progu niepodległości kilku kluczowych oficerów polskiego wywiadu zostało zwerbowanych przez Czeka. Zdrady w 1920 r. dopuścili się Ignacy Dobrzyński wraz z kierowaną przez siebie siatką wywiadowczą w Moskwie, a także Wiktor Steckiewicz, Wiktor Marczewski-Witkowski i – według źródeł sowieckich – Tadeusz Kobylański. Dobrzyński i jego współpracownicy już na wstępie doprowadzili do całkowitego zniszczenia struktur Polskiej Organizacji Wojskowej na ziemiach wschodnich przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. A następnie sparaliżowali wywiad i kontrwywiad II RP za pomocą słynnej operacji „Trust". W efekcie polskie służby na odcinku wschodnim „oślepły".

„Wywiadowcza ślepota – pisze Świerczek – skutkowała bodaj największym błędem wywiadowczym w historii Rzeczypospolitej Polskiej. To jest błędną oceną geopolitycznych planów ZSRS w 1939 r. Renegaci stali za klęską wywiadowczą, pośrednio doprowadzając do IV rozbioru Polski 17 września 1939 r". ©℗

★★★★★☆

REDAKCJA: TADEUSZ DUBICKI
„WYWIAD I KONTRWYWIAD WOJSKOWY II RP"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Księstwo biskupie w Siewierzu

Wprawdzie monarchia piastowska przegrała rywalizację o Śląsk z Czechami, jednak władcy z dynastii Jagiellonów, gdy trafiała się okazja, starali się przesunąć granice na zachód. Operacje zbrojne z różnych powodów nie wchodziły w rachubę, zatem pozostawała ekspansja finansowa. I tak Kazimierz Jagiellończyk nabył księstwo oświęcimskie (21 lutego 1457 r.), a Jan Olbracht księstwo zatorskie. Oba do 1564 r. stanowiły własność królewską, a następnie zostały wcielone do Rzeczypospolitej.

Inny los spotkał księstwo siewierskie, które na przełomie lat 1443 i 1444 zakupił bp Zbigniew Oleśnicki, przejmując je na własność krakowskiego Kościoła. Ciekawostką zaś pozostaje, że ostatnią ratę należności w jego imieniu przekazał Wacławowi kanonik krakowski Jan Długosz. Nasz znakomity kronikarz był bowiem nie tylko doskonałym historykiem, lecz także zaufanym człowiekiem Oleśnickiego.

Siewierz wraz z najbliższą okolicą na ponad 300 lat stał się niezależnym państwem, a miejscowymi książętami byli kolejni biskupi krakowscy. Tylko Nysa na Śląsku miała podobny status, ale zarządzali nią biskupi wrocławscy, którzy uznawali zwierzchność władców Czech.

Księstwo siewierskie posiadało: własną armię, skarb, sejm, a biskupi krakowscy występowali tutaj nie jako hierarchowie kościelni, ale świeccy władcy. Sprawowali rządy twardą ręką, o czym świadczy powiedzenie: kradnij, zabijaj, ale Siewierz omijaj. Tutejsze sądy nie miały bowiem litości w ferowaniu wyroków.

Oczywiście książęta biskupi musieli posiadać odpowiednią siedzibę, zatem rozbudowali zamek w Siewierzu. Powstała renesansowa rezydencja, z dwoma skrzydłami i dodatkową linią murów obronnych. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniono ziemią, dzięki czemu powstało miejsce dla zamkowej artylerii złożonej z 10 dział. Wzmocniono też walory obronne od strony wjazdu do budowli, bramę umocniono barbakanem wyposażonym w dwa moździerze. Miał on oddzielne wejścia, dla pieszych i dla konnych, co było dość rzadkim rozwiązaniem. Stała załoga zamku liczyła ok. 60 osób.

Jednak niezależny status księstwa ani umocnienia zamkowe nie powstrzymały Szwedów, którzy zdewastowali warownię podczas potopu. Wprawdzie odbudowano ją niebawem, dodając barokowe elementy, jednak w XVIII w. zaczęła popadać w ruinę. Gdy w 1790 r. Sejm Wielki włączył Siewierz w granice Rzeczypospolitej, zamek był już tylko cieniem dawnej świetności. Obecnie jest zabezpieczoną ruiną, czasami zaliczaną do Szlaku Orlich Gniazd. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

Namaszczona przez Angelę Merkel na jej następczynię Annegret Kramp-Karrenbauer 10 lutego podała się do dymisji FOT. AP/EAST NEWS

Walka o schedę po Mutti

Cezary Gmyz z Berlina

Niemiecka chadecja znalazła się w największym kryzysie w powojennej historii Republiki Federalnej. A dokładniej rzecz ujmując – nie tylko chadecja, lecz także cała niemiecka klasa polityczna

Turyngia nie była żadnym wypadkiem. Turyngia była początkiem – tak skwitował przygrywkę do kryzysu, który rozpętał się w niemieckiej polityce, jeden z najlepszych jej znawców – wicenaczelny „Die Welt" Robin Alexander. Jego proroctwo oblekło się w ciało już następnego dnia – do dymisji podała się rządząca ledwie rok z okładem szefowa chadecji Annegret Kramp-Karrenbauer zwana AKK.

Wstępem do kryzysu było zdarzenie, którego skala była stosunkowo niewielka. Gdyby chcieć je porównać z czymś w Polsce, to trzeba by przywołać sprawę Wojciecha Kałuży, który zmieniając barwy partyjne, dał swoim pojedynczym głosem władzę PiS w sejmiku śląskim. Sprawa, choć głośna, nie wywołała kryzysu demolującego życie polityczne w całym kraju. Inaczej stało się Turyngii. Tutejszy Landtag, czyli – z grubsza rzecz biorąc – odpowiednik sejmiku właśnie, przewagą jednego głosu wybrał na premiera tego landu Thomasa Kemmericha, kandydata wysuniętego na to stanowisko przez FDP. Partię, która ledwo prześlizgnęła się nad pięcioprocentowym progiem wyborczym i jest najmniejszą frakcją w Landtagu.

Chociaż wybory premiera landu odbywają się w sposób tajny, to oczywiste było, że chadecy i liberałowie mieli za mało głosów, by zwyciężyć koalicję lewicową dowodzoną przez lidera postkomunistów i dotychczasowego premiera Bodo Ramelowa. Innymi słowy – lider ugrupowania, które wygrało wybory, przegrał z kandydatem partii, która ledwo załapała się do landowego parlamentu. Taki urok demokracji.

Historia parlamentaryzmu zna wiele takich przypadków, że o kluczowych kwestiach decydował jeden głos przewagi. Wystarczy przypomnieć upadek rządu Hanny Suchockiej, któremu do wotum zaufania zabrakło właśnie głosu jednego ministra, który zatrzasnął się w ubikacji. Bywa? Bywa. Ale nie w Niemczech. Nie trzeba było bowiem specjalnie zgłębiać zawiłości politycznej arytmetyki, by ustalić, że kandydatowi FDP fotel premiera przypadł dzięki głosom frakcji Alternatywy dla Niemiec. To wystarczyło, by niemieckie elity dostały kociego rozumu. „Przerwanie tamy", „złamanie standardów", „otwarcie wrót faszystom" – to tylko niektóre z wypowiedzi, które padły w dyskusji. Rzecz w tym, że AfD, która w tej chwili ma reprezentację nie tylko w landtagach, lecz także w Bundestagu, jest otoczona kordonem sanitarnym przez wszystkie bez wyjątku siły polityczne na niemieckiej scenie politycznej. Jest szczerze znienawidzona przez lewicowy mainstream, a także przez liderów chadecji z kanclerz Angelą Merkel na czele. Najczęściej stosowanym epitetem wobec AfD jest „faszystowska", odmieniany przez wszystkie przypadki, i to nie tylko przez polityków. Dość powiedzieć, że niemieckie sądy zezwoliły na używanie tego epitetu wobec lidera AfD w Turyngii – Björna Höckego. A nawet bardziej – uznały, że dopuszczalne było nazwanie liderki tej partii na antenie telewizji publicznej określaniem nazistowskiej wywłoki (Nazischlampe).

Kiedy się jednak wyciszy tę retorykę i wgłębi w partyjne programy, okazuje się, że niemiecką chadecję i AfD cechuje dość duża zbieżność programowa.

Oczywiście w CDU, a zwłaszcza w jej partyjnej centrali, do bliskości programowej nikt się nie przyznaje. Jednak faktem jest, że już kilkakrotnie CDU odrzucała projekty ustaw autorstwa AfD („przecież nie będziemy głosować za faszystowskimi pomysłami"), by po pewnym czasie zgłosić prawie identyczne rozwiązania już jako swoje projekty.

eprasa.pl 631be42f7a

Wprawdzie chadecja w sferze deklaratywnej zachowuje wobec postkomunistycznej Die Linke podobną wstrzemięźliwość jak w stosunku do AfD. Jednak w wielu miejscach chadecja toleruje postkomunistów o wiele bardziej niż przedstawicieli Alternatywy. Podobnie jest zresztą z niemieckimi mediami, które są o wiele mniej krytyczne wobec partii muru berlińskiego, jak niekiedy nazywa się Die Linke.

Jeśli wgłębić się w istotę problemu, to szybko się okaże, że nienawiść, którą darzą berlińskie elity chadecji AfD, niekoniecznie musi być związana z oskarżeniami tej partii o kryptofaszyzm. Problem wydaje się w gruncie rzeczy leżeć gdzie indziej – Alternatywa po prostu łowi ryby w tym samym stawie co chadecja. To tu – że użyję określania z przedwojennego polskiego kabaretu – jest pies pogrzebany. AfD utworzyli bowiem działacze chadecji, początkowo ich paliwem był sprzeciw wobec odejścia od Deutsche Mark i wprowadzenia euro. Jednak prawdziwym katalizatorem AfD był sprzeciw wobec polityki imigracyjnej Angeli Merkel. Otwarcie granic Republiki Federalnej dla rzesz uchodźców sprawiło, że AfD zaczęła wyrażać to, co wielu Niemców czuło w głębi duszy.

Przeciętny niemiecki Hans Schmidt ćwierć wieku po upadku muru berlińskiego miał powody, by wielbić Mutti, jak nazywają swoją kanclerz Niemcy. Rosnące dochody, znikome bezrobocie i wszystko to, co Niemcy określają jako Gemütlichkeit, a na co nie ma dobrego polskiego tłumaczenia. Co najlepiej się chyba wyraża w domku z ogródkiem, ogniu buzującym w kominku, mercedesie zaparkowanym na podjeździe i wczasach w tropikach. Wszystko to zapewniały rządy Merkel. Do czasu. A konkretnie do roku 2015, kiedy granice Niemiec zaczęli szturmować imigranci. A granice te szeroko bez żadnych przewidzianych prawem zabezpieczeń otworzyła właśnie Angela Merkel. Niemieckie media przez wszystkie przypadki odmieniały określenie Willkommenskultur, co można przetłumaczyć jako afirmację gościnności. Kanclerz w kluczowym momencie kryzysu imigracyjnego, po osobistej rozmowie z Markiem Zuckerbergiem w urzędzie kanclerskim udało się skłonić nawet Facebook, by tak ustawił algorytmy, aby komentarze krytyczne wobec polityki imigracyjnej nie były eksponowane.

Wszystko na nic. Dobra opinia o rządach Merkel ostatecznie została rozjechana kołami polskiej ciężarówki porwanej przez islamskiego terrorystę, który rozjechał kilkanaście osób na jarmarku bożonarodzeniowym w samym centrum Berlina. Wybory, które obyły się niespełna rok później, dla Wielkiej Koalicji były najgorsze w całej powojennej historii Niemiec. Negocjacje nad utworzeniem nowego gabinetu z liberałami i zielonymi załamały się. Z wielkim trudem udało się doprowadzić do powstania rządu z socjalistami. Kolejne kryzysy przychodziły jednak falami. W końcu w 2018 r. Merkel sięgnęła po rzecz niebywałą w historii Republiki Federalnej – zrezygnowała z funkcji szefowej partii, zachowując urząd kanclerski i namaszczając na swoją następczynię w partii – AKK. Z grubsza rzecz biorąc, porównywalne to było z namaszczeniem Ewy Kopacz na następczynię Donalda Tuska w roli szefowej rządu. Rychło okazało się, że charyzmą i zdolnościami przywódczymi AKK dysponuje raczej w ilościach homeopatycznych. Przetrwała raptem jeden Parteitag, by paść po tym, gdy doły partyjne z małoznaczącego landu, jakim jest Turyngia, faktycznie wypowiedziały jej posłuszeństwo. Wprawdzie kanclerz Merkel resztkami swojego autorytetu i pewną dozą brutalności zdołała przygasić bunt, ale nie zdołała go już stłumić.

Tym razem wszystko wskazuje, że najbliższy nadzwyczajny Parteitag, który odbędzie się latem, będzie tym, który wyłoni nie tyle nowego przywódcę partyjnego i kandydata na kanclerza, ile człowieka, który zada żelaznej damie niemieckiej polityki sztych, który przed laty ona zadała swojemu mentorowi Helmutowi Kohlowi. Już w tej chwili elity partyjne starają się, żeby to zabójstwo miało kontrolowany przebieg. Zarówno zwolennicy Merkel, jak i jej przeciwnicy skłaniają się ku temu, by o przywództwie zadecydowały partyjne gremia, a nie partyjne referendum, które będzie kompletnie niesterowalne. Za takim sposobem wyboru opowiedział się nawet główny oponent Merkel, którym jest Friedrich Merz, strącony przed laty z bundestagowego Parnasu przez kanclerz na dno politycznego piekła.

Nie ma się jednak co czarować – choć dyszy on chęcią odwetu za lata poniewierki, to w gruncie rzeczy jest ulepiony z tej samej politycznej gliny co większość elit chadecji. Inna sprawa, że ta poniewierka miała całkiem luksusowy przebieg. Merz operował bowiem na szczytach niemieckiego biznesu. Z całą pewnością nie jest to typ jowialnego Helmuta Kohla zajadającego się faszerowanymi świńskimi żołądkami. Znacznie więcej sympatii u elektoratu budzi jego potencjalny konkurent, którym jest wiecznie uśmiechnięty premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschet. Jego serdeczna powierzchowność idzie w parze ze skutecznością. Jest on bowiem autorem gigantycznego sukcesu, którym było odbicie Nadrenii w 2017 r. z rąk socjalistów, którzy uważali ten land za swoją twierdzę. Sympatię wielu niemieckich wyborców budzi jego konserwatywny rys. Jest praktykującym katolikiem, w jednym związku małżeńskim i ma troje dzieci, a w dodatku krytycznym wobec zrównania związków homoseksualnych z małżeństwami.

Kolejnym kandydatem na giełdzie jest Jens Spahn, obecny minister zdrowia. Przeciwieństwo Lascheta – zdeklarowany gej. Jednak jak pokazały już poprzednie wybory na szefa partii – eksponowanie swojego homoseksualizmu, choć cieszące się afirmacją medialnego mainstreamu niekoniecznie przekłada się na poparcie delegatów. Otwartą kwestią pozostaje, czy w tych wyborach nie pojawi się czarny koń i kto mógłby nim być.

Wielu komentatorów upatruje go w Hansie-Georgu Maassenie, byłym szefie Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji. Człowieku wspieranym przez rosnącą w siłę WerteUnion, czyli frakcję konserwatywną w chadecji. Po jego odwołaniu z urzędu rozpoczął on tournée po Niemczech, gromadząc tłumy. Nic dziwnego. Maassen jest bowiem wyrazicielem wielu poglądów, które grają w duszy przeciętnego Niemca. Otwarcie krytykuje politykę imigracyjną i opowiada się za powrotem do tradycyjnych – czytaj: konserwatywnych – wartości chadecji. Bez pardonu mówi rzeczy, które dla większości niemieckiego mainstreamu są herezją. Wciąż jednak nie są herezją dla tych, którzy chcieliby, by na czele Niemiec stał ktoś w rodzaju Helmuta Kohla. Kanclerza, którego nienawidziła i którym gardziła większość niemieckich elit, a który potrafił dotrzeć do duszy zwykłego Niemca bez pośrednictwa elit.

Wszystko to sprawia, że najbliższy czas w niemieckiej polityce będzie bardzo, ale to bardzo interesujący. Również dla Polski. Jak powiada bowiem stare porzekadło – jeśli Niemcy kichają, to cała Europa ma wkrótce grypę. I mimo wielu różnic, które nas dzielą z Niemcami – powinniśmy Republice Federalnej życzyć zdrowia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest korespondentem TVP w Berlinie.

eprasa.pl 631be42f7a

Z Abby Johnson, amerykańską działaczką pro-life, byłą pracownicą kliniki aborcyjnej
rozmawia Piotr Włoczyk

W klinice aborcyjnej widziałam piekło

FOT. CHRISTIAN SCIENCE MONITOR/GETTY IMAGES

PIOTR WŁOCZYK: W Polsce film „Nieplanowane", bazujący na pani historii, okazał się wielkim hitem, choć lewicowe media przestrzegały, że to stek kłamstw na temat aborcji mający zmanipulować widzów. Jak to wyglądało w USA?

ABBY JOHNSON: Dokładnie tak samo. Ta reakcja była jednak bardzo pomocna, ponieważ wiele osób z „drugiej strony" zaczęło zadawać sobie pytanie: „Dlaczego komuś tak bardzo zależy, żebyśmy nie oglądali tego filmu?". Wiem, że część z nich weszła do sal kinowych jako zwolennicy „prawa do wyboru", ale po obejrzeniu filmu stali się pro-liferami. I o to w tym wszystkim chodziło.

Lewica zarzucała nam kłamstwo, twierdząc, że aborcja tak nie wygląda. Rozumiem tę reakcję. Ludzie, którzy chcą wierzyć, że aborcja powinna być legalna, muszą zamykać oczy na rzeczywistość i wierzyć, że to, co zostało pokazane w filmie, to kłamstwo. W innym przypadku musieliby porzucić swoje przekonania. Nie da się oglądać aborcji kilkunastotygodniowego dziecka, która jest po prostu barbarzyńskim torturowaniem na śmierć istoty ludzkiej, i na koniec powiedzieć: „OK, to jest w porządku". Wielu ludzi nie może przyjąć tej prawdy, bo sami mieli aborcje i nie wyobrażają sobie, by zmienić w tej kwestii zdanie. Z własnego doświadczenia wiem, że porzucenie swoich przekonań i przejście na stronę pro-life jest w takim przypadku bardzo trudne. Łatwiej powiedzieć: „To kłamstwo, to nie może tak wyglądać".

Kim są ludzie, którzy decydują się na pracę w klinikach aborcyjnych?

Niektórzy z ruchu pro-life mogą sobie wyobrażać, że ci ludzie mają rogi, ogony i widły. Tymczasem większość z nich to zupełnie normalni ludzie, tak jak pan czy ja, a nie żądni krwi ekstremiści. To często matki i ojcowie. W którymś momencie podejmują jednak decyzję, która doprowadza ich do pracy w klinikach. Większość z nich – szacuje się, że 70 proc. – ma za sobą aborcje. Dla niektórych ta praca jest potwierdzeniem, że ich wybór był słuszny.

Jak przeciętny człowiek może przechodzić nad takimi obowiązkami zawodowymi do porządku dziennego? W klinikach aborcyjnych jednym z takich obowiązków jest np. złożenie w całość poszarpanych szczątków dziecka, żeby upewnić się, że macica została dokładnie oczyszczona. Oprócz człowieka, który musi to zrobić, są jeszcze pracownicy, którzy to widzą...

Wiele rzeczy można w sobie zagłuszyć za odpowiednią sumę pieniędzy. Pamiętajmy, że to bardzo dobrze płatne miejsca pracy. Poza pieniędzmi jest jeszcze jedno – strach. Jeżeli raz się wejdzie do tego świata, to może się potem pojawić niepokojące pytanie: „Kto mnie przyjmie po pracy w klinice aborcyjnej?". Ludzie boją się też złych referencji.

Tak było z panią: w 2008 r. została pani ogłoszona przez Planned Parenthood (PP) – największą w USA sieć klinik aborcyjnych – pracownicą roku...

... a rok później, kiedy rzuciłam tę pracę, ci sami ludzie twierdzili w mediach, że byłam beznadziejna i tylko dlatego stamtąd uciekłam. Nad pracownikami klinik aborcyjnych wisi też bat prawny. Wiedzą, że w przypadku oporu PP nie będzie się wahało podać ich do sądu. Tak się stało ze mną.

Przemysł aborcyjny żyje dzięki strachowi. Za pomocą strachu przekonują wiele kobiet, że jedynym wyjściem jest aborcja, strachem przymuszają pracowników do pozostania w firmie i niewynoszenia na zewnątrz jej sekretów.

eprasa.pl 631be42f7a

W pani przypadku przełomowy moment nastąpił w 2009 r., gdy była pani świadkiem tego, jak wygląda aborcja przeprowadzana przy wykorzystaniu aparatury USG. Od tamtej pory pomaga pani ludziom, którzy myślą o rzuceniu pracy w klinice aborcyjnej. Jak zazwyczaj wyglądają takie przełomowe momenty u innych?

Potworna sytuacja potrafi zmienić wszystko. Na przykład dziecko rodzi się żywe i powoli umiera na oczach tego człowieka… Lub gdy jest się świadkiem – tak jak było to w moim przypadku – aborcji wykonywanej przy użyciu USG, kiedy widać, jak kilkunastotygodniowe dziecko stara się uciec od narzędzi. Widziałam wtedy piekło. Zdarzają się również sytuacje, gdy coś strasznego dzieje się z kobietą. Najczęściej jest to krwotok. Takie sytuacje potrafią zachwiać w ludziach przekonanie, że „prawo do wyboru" to coś dobrego.

Ilu osobom pomogła pani organizacja?

Prawie 560. Byli pracownicy klinik aborcyjnych przychodzą do nas falami. Są miesiące, gdy nikt się nie zgłasza, a potem naraz 10 osób odchodzi z przemysłu aborcyjnego i potrzebuje wsparcia. Bo to nie jest tak jak rzucenie pracy kelnerki. Wychodzenie z tego często wymaga wsparcia duchowego, psychologicznego i materialnego. Przemysł aborcyjny terroryzuje ich, grożąc sądem i brakiem zatrudnienia, strasząc, że znajdą się na czarnej liście w środowisku medycznym. Robią, co w ich mocy, by zniszczyć wiarygodność ludzi, którzy odchodzą.

Mamy doświadczonych specjalistów, którzy pomagają wyjść z traumatycznych przeżyć z okresu pracy w klinice. Dysponujemy specjalnym cichym miejscem, gdzie te kobiety mogą się odciąć i wspierać nawzajem w tym ciężkim czasie.

Przeciwnicy pro-liferów zżymają się, gdy ci mówią o „przemyśle aborcyjnym" lub „lobby aborcyjnym". Kliniki aborcyjne mają przecież być miejscami, w których kobiety otrzymują pomoc…

Obrońcy legalnej aborcji chcieliby to widzieć w ten sposób, ale w działaniu klinik aborcyjnych nie ma niczego charytatywnego. Wszystko kręci się tam wokół

eprasa.pl 631be42f7a

pieniędzy. To biznes, zwykła transakcja. Pieniądze za zabicie człowieka.

Przez kilka lat kierowała pani kliniką aborcyjną w Teksasie. Jak wyglądały biznesowe kulisy jej działalności?

Spotkania z kierownictwem dotyczyły przede wszystkim wywiązywania się z narzuconych kwot aborcji. Każda klinika musi wykonać w miesiącu przewidzianą liczbę aborcji. Jeżeli nie uda się osiągnąć założonych celów, to trzeba zwolnić tych, którzy nie potrafią sprzedać „produktu".

Do kliniki przychodzi kobieta, która nie jest pewna, czuje się zagubiona. Czy pracownicy kliniki zostawiają w takich przypadkach choćby minimum przestrzeni na zastanowienie? W końcu w prawach kobiet chodzi chyba o to, żeby decyzje były w pełni świadome.

Proszę nie żartować. W momencie, gdy drzwi kliniki zamykają się za kobietą w ciąży, to pracownicy zrobią wszystko, by wyszła ona stamtąd już bez dziecka. Naszą pracą nie było pokazywanie kobietom pełnej gamy dostępnych opcji, tylko sprzedawanie aborcji. Strach jest głównym narzędziem manipulowania kobietami, które nie są pewne swojej decyzji. Aborcja ma być najlepszym sposobem na poradzenie sobie z tym „problemem". Jak się osiąga cel kwotowy? Tłumaczyliśmy kobiecie przykładowo, że nie może zostać w tym momencie matką i powinna dokonać aborcji. Ale to nic złego, bo taką decyzję podejmuje bardzo wiele kobiet. Na szczęście ma obok siebie troskliwych ludzi, więc to szczęście w nieszczęściu i na pewno wszystko się ułoży...

W Internecie można znaleźć filmy nagrane ukrytą kamerą przez organizację Live Action, która odkrywa kulisy działalności przemysłu aborcyjnego. W jednym z nagrań pracownica PP przekonuje aktorkę podającą się za kobietę w ciąży, że nie będzie jej stać nawet na pieluchy. Taki sposób argumentacji to inwencja twórcza tej kobiety?

Nie. Byliśmy tego uczeni na szkoleniach. Poza podkreślaniem kosztów pieluch i środków higienicznych były też inne pytania. Kto się będzie opiekował dzieckiem, kiedy będziesz w pracy? A co, jeżeli zachorujesz, mając pod opieką małe dziecko? Wszystko to bazuje na strachu kobiety, która znalazła się w trudnej sytuacji.

W 2012 r. dołączyła pani do Kościoła katolickiego. Wcześniej była pani wierną Kościoła Episkopalnego w Stanach Zjednoczonych. To bodaj najbardziej liberalna wspólnota chrześcijańska w USA, która wprowadziła w życie właściwie wszystkie postulaty środowiska LGBT i akceptuje nawet najbardziej skrajne pomysły feministek. Da się być pro-liferem w ramach tej wspólnoty?

Nie, to kompletnie niemożliwe. To coś jak bycie demokratą i pro-liferem (śmiech). Wraz z mężem byliśmy bardzo zżyci z naszym kościołem. Dobre relacje trwały wiele lat. Do czasu… Kiedy już rzuciłam pracę w klinice, udzieliłam wywiadu jednej z ogólnokrajowych stacji. W kolejną niedzielę, jak zawsze, wybrałam się z rodziną do naszego kościoła. Wszyscy ludzie, z którymi modliłam się tyle razy, traktowali mnie nagle jak powietrze. Tydzień później pastor wezwał nas do siebie i oznajmił nam, że nie jesteśmy już mile widziani w kościele...

Wygląda to trochę tak, jakbyście naruszyli fundamenty wiary.

Tak to niestety wygląda. Wiara w „prawo do wyboru" jest wbudowana w DNA tej wspólnoty. W Kościele Episkopalnym ważną rolę odgrywa „kapłanka", która jest jednocześnie szefową Krajowej Federacji Aborcyjnej [mowa o Katherine Hancock Ragsdale, która powiedziała m.in.: „Ludzie przeprowadzający aborcje są moimi osobistymi bohaterami i świętymi naszych czasów" – przyp. red.]. Powtórzmy to: bardzo wpływowa postać w Kościele Episkopalnym kieruje organizacją aborcyjną. To musi siłą rzeczy oddziaływać na całość wspólnoty.

W debacie na temat legalności aborcji częstym argumentem jest rzekomo niewielki odsetek kobiet, które żałują pozbycia się dziecka. Z ostatniego badania opublikowanego w czasopiśmie naukowym „Social Science & Medicine" wynikać ma, że 95 proc. kobiet nie żałuje dokonania aborcji...

Zwolennicy „prawa do wyboru" twierdzą, że większość kobiet czuje ulgę po aborcji. I myślę, że mają rację. Ja sama tak się właśnie czułam – stanęłam w obliczu największego problemu w moim życiu, zapłaciłam klinice 500 dol., żeby pozbyć się tego problemu, i wracając autem do domu, czułam, jakby ktoś zdjął z moich barków wielki ciężar. Problem w tym, że trauma pojawia się po latach. Tymczasem te wszystkie badania przeprowadzana są w okresie do pięciu lat po dokonaniu aborcji. To nie daje pełnego obrazu sytuacji. Prawdziwa trauma i wyrzuty sumienia przychodzą zazwyczaj dużo później, ok. 15 lat po aborcji.

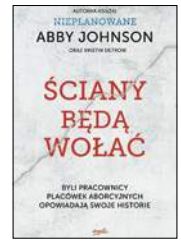

Efektem ubocznym realizacji „prawa do wyboru" bywa niekiedy niepłodność. Pani to jednak nie dotknęło – ma pani ośmioro dzieci. Dlaczego zdecydowała się pani na tak dużą rodzinę?

Sama nie wiem (śmiech). Kiedy wyszłam z aborcyjnego świata, przeszłam głęboką przemianę pod każdym względem. Jej efektem było wejście do wspólnoty katolickiej. Podjęliśmy z mężem decyzję, że pozwolimy Bogu zaplanować naszą rodzinę. Jedno z naszych dzieci jest adoptowane. Kiedy już zostałam katoliczką – mieliśmy wtedy tylko dwoje dzieci – w czasie modlitw o rodzinę chodziła mi cały czas po głowie cyfra „8". Miałam wrażenie, że Bóg mówi mi, iż będę miała tyle dzieci… Śmiałam się z tego, myśląc: „No nie, aż tylu to chyba jednak nie będę miała!". A jednak z każdym kolejnym dzieckiem miałam poczucie, że jeszcze mi mało. Ta ósemka cały czas do mnie wracała. Pytałam siebie samej, czy ciąże się w końcu skończą? Czy będę matką 20 dzieci? (śmiech)

A dziś? Czuje się pani spełniona?

Tak, dziś już czuję, że moja rodzina jest pełna. Bóg wlał spokój w moje serce. Chociaż oczywiście – jak na katoliczkę przystało – nigdy nie zamykam się na życie.

Jak świetnie pani wie, aborcja dozwolona jest w Polsce tylko w trzech przypadkach, choć środowisko katolickie próbuje to zmienić. Co tak naprawdę zmienia pełna liberalizacja aborcji, jak miało to miejsce choćby w USA?

Liberalizacja zmienia wszystko, nie tylko prawo. Zmienia przede wszystkim kulturę. Jeżeli prawo zaczyna traktować jedną grupę ludzi jako wyłączonych ze wspólnoty ludzkiej, to wszyscy na tym cierpią. Na czele ze schorowanymi staruszkami, których często dramatyczna sytuacja staje się pretekstem do rozpoczęcia debaty na temat „miłosierdzia", jakim ma rzekomo być eutanazja. A wszystko zaczyna się od pójścia na kompromis z aborcją…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Abby Johnson (ur. 1980 r.)** – jest amerykańską działaczką pro-life. Do 2009 r. kierowała kliniką aborcyjną Planned Parenthood w Teksasie. Na podstawie jej historii powstał film „Nieplanowane". W Polsce ukazała się właśnie jej najnowsza książka pt. „Ściany będą wołać", w której Johnson zebrała wstrząsające świadectwa byłych pracowników klinik aborcyjnych.*

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. GETTY IMAGES

ŚPIEW DLA ROŚLIN KSIĘCIA KAROLA

Książę Walii wybrał ambasadorkę organizacji charytatywnej British Asian Trust (zajmuje się walką z biedą w południowej Azji). Wskazał amerykańską gwiazdę muzyczną Katy Perry. Celebrytka z okazji nominacji wygłosiła przemówienie. Oprócz oczywistych peanów na temat tego, jak książę Karol walczy z biedą, piosenkarka ujawniła też, że ma „niesamowicie dobre serce". Perry wyznała, że książę Walii mówi do swoich roślin i pytał ją, czy mogłaby dla nich zaśpiewać. Obiecała, że to zrobi.

PREZYDENT ZAKAZAŁ FARBOWAĆ WŁOSY

Rządzący Turkmenistanem Gurbanguly Berdymuchamedow dwa lata temu po raz pierwszy pokazał się publicznie z siwymi włosami (prezydentem jest od 2006 r.). W tym roku wszystkie instytucje muszą wymienić portrety władcy, na których miał ciemne włosy, na takie, na których widać już srebrzyste pasma. A to nie wszystko. Jak poinformowało turkmeńskie radio – w rejonie lepabskim wszystkim urzędnikom mężczyznom, którzy skończyli 40. rok życia, zakazano farbowania włosów. W dodatku ci urzędnicy, którzy starzeją się bez siwizny, mają ją sobie domalowywać.

GENERAŁ PŁAKAŁ PO GANGSTERZE

W kolumbijskim szpitalu zmarł niedawno na raka Jhon Jairo Velásquez pseudonim Popeye. To były bandyta z gangu Pablo Escobara. Dokonał co najmniej 300 morderstw. Po przesiedzeniu 22 lat w więzieniu wyszedł na wolność i po czterech latach wrócił tam ponownie – tym razem za wyłudzenia. Na wolności napisał książkę o swoim „skruszeniu" i przestrzegał młodych ludzi przed przemocą. Po śmierci tego gangstera dowódca kolumbijskiego wojska Eduardo Zapateiro na konferencji prasowej złożył rodzinie „najserdeczniejsze kondolencje". W kraju zawrzało, zwłaszcza wśród rodzin ofiar Popeye'a. Generał wyjaśnił, że jego słowa były zwykłym ludzkim odruchem.

DYPLOMATYCZNA WPADKA

Ojciec premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona został zaproszony do ambasady Chin. Odbył tam długą rozmowę z ambasadorem Liu Xiaomingiem. Panowie omawiali m.in. zbliżające się szczyty klimatyczne w Wielkiej Brytanii i Chinach. Mówili też o sprawie koronawirusa. A wiadomo to stąd, że Stanley Johnson podsumował w wiadomości e-mailowej swoje spotkanie i wysłał ją do wiceministra środowiska. Jednak przez omyłkę wysłał tę wiadomość również do mediów, a konkretnie do jednej z pracownic BBC. „Zdarza się" – skwitował to Johnson.

ZJEDZ ŻUKA NA ZDROWIE?

W Rosji rozprzestrzenia się nowa moda paramedyczna. Cudowną terapią ma być jedzenie owadów. Żywych. Specjalne gatunki żuków sprowadzane są z Chin oraz Ameryki Południowej. Wielu Rosjan zakłada też własne hodowle. Ludzie wierzą, że jedzenie żuków może pomóc w ponad 70 schorzeniach. Lekarze ostrzegają jednak, że może to stanowić dla nich zagrożenie. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kalizm

Kalizm, kalizm i jeszcze raz kalizm. To najkrótszy komentarz do zakłócania uroczystości rocznicy zaślubin Polski z Bałtykiem z udziałem Andrzeja Dudy przez antypisowskich aktywistów. Gdy przeciwnicy PO buczeli w czasie rocznicy wybuchu powstania warszawskiego na Powązkach – pierwszy raz w 2011 r. – politycy PiS gimnastykowali się niemiłosiernie, żeby jakoś to usprawiedliwić. Ci z Platformy byli oburzeni.

Dziś role się odwróciły: ci z PiS są święcie oburzeni, za to Małgorzata Kidawa-Błońska brnie, stwierdzając, że prezydent Duda „musi się przyzwyczaić". Tak jakby nie odróżniała wiecu wyborczego, podczas którego publiczność ma prawo reagować niechętnie, od państwowej uroczystości.

Obie strony wychodzą też z siebie, żeby dowieść, że te sytuacje nie są tożsame, ale to nawijanie makaronu na uszy. Ważne jest bowiem tylko jedno: buczenie, przeklinanie, gwizdanie podczas uroczystości państwowych przez kogokolwiek i na kogokolwiek to nie tylko schamienie – to atakowanie i obrażanie własnego państwa. Oraz pamięci ludzi, których się w danym momencie wspomina – czy to warszawskich powstańców, czy żołnierzy gen. Hallera. Reszta to nieistotne didaskalia. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

Zarabianie na rewolucjach

Jacek Przybylski

Niemal 40 mld zł. O tyle w ciągu zaledwie dwóch lutowych dni powiększył się majątek Elona Muska, ekscentrycznego miliardera, który próbuje jednocześnie zrewolucjonizować motoryzację, zlikwidować korki w metropoliach i skolonizować Marsa

Tesla w Ameryce, i nie tylko, stała się synonimem najnowszej hossy na rynku spółek technologicznych. Od początku 2020 r. notowania wyjątkowo modnego wśród inwestorów producenta aut elektrycznych wzrosły z 430 dol. za sztukę do ponad 900 dol.

Majątek kierującego Teslą 48-letniego Elona Muska – posiadającego pakiet 21 proc. akcji spółki – wzrósł od początku roku niemal o 18 mld dol., z czego o ok. 9,5 mld dol. zaledwie w ciągu dwóch dni: 3 i 4 lutego. Na początku lutego majątek ekscentrycznego miliardera, wynalazcy i wizjonera szacowany był nawet na ok. 45 mld dol., co dało mu awans do pierwszej dwudziestki najbogatszych ludzi świata i pozwoliło patrzeć z góry m.in. na Michaela Della. Oczywiście można złośliwie zauważyć, że Jeff Bezos potrafi w ciągu dwóch dni zarobić jeszcze więcej (ostatnio 11 mld dol.) lub że Musk dość szybko spadł znów do trzeciej dziesiątki najbogatszych (gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", zajmował 23. pozycję z majątkiem wynoszącym 39 mld dol.), ale i tak elektryczny miliarder początek roku 2020 może zaliczyć do wyjątkowo udanych.

FERRARI DALEKO W TYLE

Akcje Tesli po tak wielkich wzrostach znalazły się blisko granicy kompletnego obłędu. I chociaż wspomniana korekta sprowadziła notowania producenta samochodów elektrycznych w okolice 770 dol., to nie jest wcale wykluczone, że jeszcze w roku 2020 elektryczny odpowiednik takich firm jak Apple czy Google stanie się najdroższym producentem samochodów na całym świecie.

Kapitalizacja założonej w 2003 r. Tesli, która w ubiegłym roku sprzedała zaledwie 367 tys. aut, sięgnęła już niemal trzech czwartych wartości rynkowej japońskiej Toyoty (232 mld dol.), czyli największego pod względem kapitalizacji producenta samochodów na świecie. Tej samej Toyoty, która w 2019 r. sprzedała 30 razy więcej egzemplarzy swoich samochodów niż amerykańska Tesla.

Akcje Tesli (wyceniane w pewnym momencie tego roku na 159 mld dol.) stały się w tym roku warte więcej, niż wynosi wycena BMW oraz Volkswagena razem wziętych (ich łączna giełdowa wartość szacowana jest na 137 mld dol.). Firma zarządzana przez Elona Muska jest też uznawana przez inwestorów za bardziej wartościową niż takie koncerny jak Ferrari, Fiat Chrysler Automobiles.

Jak to możliwe, że Tesla, sprzedająca zaledwie 5 proc. egzemplarzy, które co roku produkuje grupa Volkswagena, jest warta aż tak gigantyczne pieniądze? Tym powodem jest ekscentryczny prezes spółki. Elon Musk zdołał przekonać gwiazdy Hollywood, że czerwona Tesla Roadster jest ich wymarzonym samochodem, a inwestorów – że kierowana przez niego firma stanie się w bliskiej przyszłości niekwestionowanym liderem rewolucji w motoryzacji.

Akcjonariusze Tesli wydają się więc tak bardzo pochłonięci marzeniami o przyszłych zyskach, że ignorują wiele informacji, które w przypadku innych firm doprowadziłyby już do poważnego załamania kursu. Dla przykładu: prezes amerykańskiego producenta samochodów elektrycznych długo jedynie topił pieniądze, nie umiejąc udowodnić, że potrafi je również zarabiać. Tesla na plus wyszła dopiero niedawno (przez dwa kwartały 2019 r. była mocno na minusie). Kiedy jednak pod koniec stycznia ogłosiła, że osiągnęła zysk już drugi kwartał z rzędu (105 mln dol. netto), to mimo że cały 2019 r. zamknęła stratą wynoszącą aż 862 mln dol., giełda i tak zareagowała entuzjastycznie i wartość jednej akcji podskoczyła do ponad 600 dol. Na początku lutego wartość jednej akcji pierwszy raz w historii przekroczyła zaś na krótko 920 dol.

Tesla nie tylko poprawia wyniki finansowe, lecz także wreszcie zaczyna dotrzymywać słowa i dostarczać obiecane samochody swoim klientom. W 2019 r. firma kierowana przez Elona Muska sprzedała o 50 proc. więcej samochodów niż rok wcześniej. A już wkrótce chce sprzedawać pół miliona sztuk każdego roku. To całkiem prawdopodobny scenariusz. Dzięki otwarciu nowych fabryk – m.in. w Szanghaju oraz niemieckiej Brandenburgii – w 2020 r. powinna przyspieszyć produkcja coraz bardziej popularnego Modelu 3, a także Modelu Y.

To ważna informacja. Model 3 ze stajni Muska stał się bowiem jednym z najchętniej kupowanych samochodów na świecie, zamawianym częściej niż takie sprzedażowe hity jak Volkswagen Polo, Peugeot 208, Nissan Qashqai czy Škoda Octavia.

PLAYBOY I PRACOHOLIK

Kim jest Elon Musk? Porównywany do Henry'ego Forda, Thomasa Edisona czy Nikoli Tesli wynalazca, wizjoner i miliarder pochodzi z RPA. Gdy miał 10 lat, kupił swój pierwszy komputer i nauczył się programowania. W wieku lat 12 napisał swoją pierwszą grę – Blastar –

eprasa.pl 631be42f7a

Kapitalizacja Tesli na nowojorskiej giełdzie przekroczyła łączną wycenę BMW i Volkswagena FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

którą sprzedał za 500 dol. Jako 17-latek wyjechał z rodzinnej Republiki Południowej Afryki do Kanady – m.in. po to, aby uniknąć obowiązkowej służby wojskowej. Pieniądze zarabiał, pracując fizycznie: czyścił kotłownię w tartaku i wycinał drzewa za kilkanaście dolarów za godzinę.

Z Kanady w ramach wymiany studenckiej wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Multimilionerem został już jako 23-latek, sprzedając za grubo ponad 300 mln dol. założone wraz z bratem Kimbalem przedsiębiorstwo Zip2, zajmujące się pisaniem oprogramowania dla serwisów informacyjnych. Kolejne miliony zgarnął, gdy w 2002 r. szefowie serwisu eBay zdecydowali się kupić PayPal (początkowo firma nosiła nazwę X.com) za opcje o wartości 1,5 mld dol. Na tej transakcji Musk, który miał ok. 12 proc. akcji PayPal, zarobił niemal 200 mln dol. Tych kilkaset milionów na koncie pozwoliło ekscentrycznemu wizjonerowi spełnić najbardziej szalone marzenia: zamiast wydać fortunę na luksusowe wakacje lub oryginalne hobby, zaczął szykować rewolucję na ziemi i w kosmosie. W wywiadach często mówi, że chce „zbawić ludzkość" i że nie zazna szczęścia dopóty, dopóki pierwsi ludzie nie osiedlą się na Marsie.

Kim jest prywatnie? „Wolałbym sobie wbić widelec w dłoń, niż pisać o swoim życiu osobistym" – wyznał szczerze Musk w 2010 r. I chociaż bogacz z Tesli stara się nie zdradzać zbyt wielu szczegółów tego, co dzieje się w ścianach jego pięciu kalifornijskich rezydencji, to wiadomo z pewnością, że – jak na miliardera przystało – nie narzeka na brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej. Z pierwszą byłą żoną Justine, poznaną na Queen's University kanadyjską pisarką i aktorką, Elon Musk ma pięciu synów: bliźniaki oraz trojaczki. Jak pisała sama Justine na łamach „Marie Claire", miliarder uwiódł ją, dając jej kartę kredytową i stwierdzając, że może za nią kupić tyle książek, ile tylko zapragnie. Para pobrała się w 2000 r. a związek przetrwał osiem lat.

Po rozwodzie Musk ledwo wiązał koniec z końcem i żył, pożyczając pieniądze od znajomych. Gdy jednak w 2010 r., po debiucie Tesli na nowojorskiej giełdzie, jego fortuna się odwróciła i biznesmen szybko stał się bogaczem, brytyjska aktorka Talulah Riley bez wahania stanęła z nim na ślubnym kobiercu. Zaledwie dwa lata później – w roku 2012 – miliarder był już jednak po rozwodzie.

eprasa.pl 631be42f7a

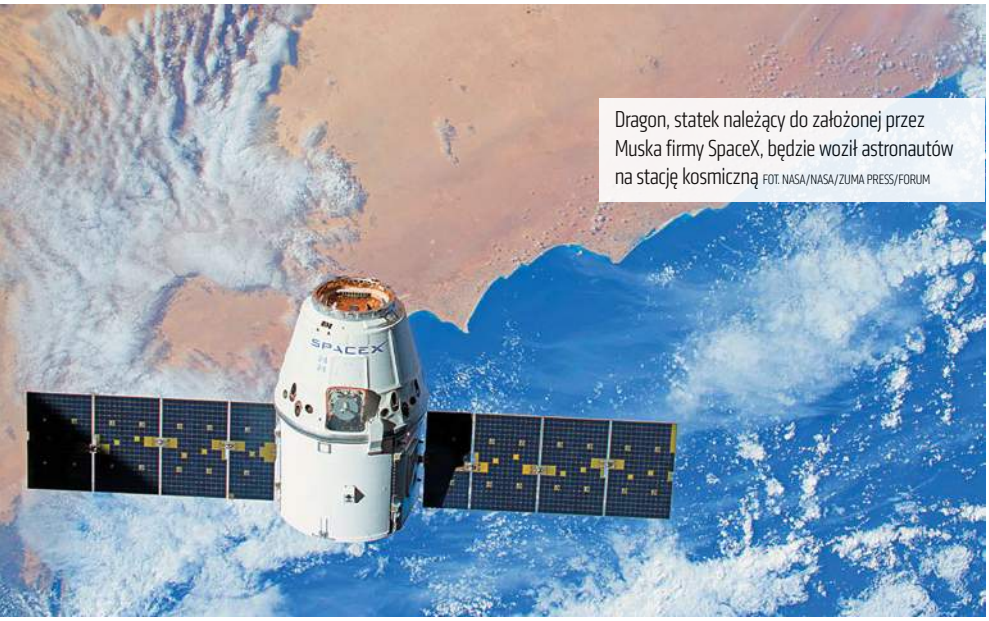

Dragon, statek należący do założonej przez Muska firmy SpaceX, będzie woził astronautów na stację kosmiczną FOT. NASA/NASA/ZUMA PRESS/FORUM

W 2013 r. bogaty Elon i piękna Talulah znów ślubowali, że nigdy się nie opuszczą. Tym razem miliarder ze złożeniem pozwu o ponowny rozwód wytrzymał do grudnia 2014 r. Wycofał go jednak i para była razem do roku 2016, gdy pozew rozwodowy złożyła Talulah Riley.

Elon Musk nie narzekał jednak na samotność. Jego płomienny romans z Amber Heard – seksowną żoną Johnny'ego Deppa – zaczął się zaledwie miesiąc po jej ślubie z aktorem i po dwóch latach zakończył się rozwodem pięknej blondynki ze znanym Piratem z Karaibów. W 2017 r. w mediach pojawiły się nawet pogłoski o przygotowaniach do ślubu 31-letniej wyuzdanej aktoreczki z 15 lat starszym miliarderem. Do ceremonii jednak nie doszło: Elon Musk porzucił bowiem niewierną żonę Deppa. Według plotkarskich magazynów miliarder dostrzegł w porę, że prawdziwą miłością blondynki są… pieniądze. Oficjalnie poszło jednak o to, że Amber rozwijała karierę w Australii, tymczasem Elon nawet w USA miał dla niej zbyt mało czasu.

Ekscentryczny biznesmen nie jest łatwym we wspólnym życiu partnerem, nie jest również łatwym szefem. Nie lubi wakacji. A pracoholizm Muska stał się już znany na całym świecie. 48-letni miliarder pracuje jednocześnie na ponad dwóch „etatach", ponieważ wyrabia średnio 90–100 godzin tygodniowo. Bardzo często osobiście nadzoruje pracę w kalifornijskiej fabryce Tesli i to właśnie w niej spędził tegorocznego sylwestra, a także swoje ostatnie i przedostatnie urodziny.

Świetnie posługuje się również mediami społecznościowymi. Rekrutację kandydatów do pracy w dziale sztucznej inteligencji – zajmującym się m.in. autopilotem, który umożliwia autonomiczną jazdę samochodom Tesli – ogłosił za pomocą Twittera. Podkreślił, że nie wymaga doktoratu. „Nie obchodzi mnie nawet, czy skończyłeś liceum" – przekonywał Musk, zaznaczając, że liczy się dla niego nie tyle formalne wykształcenie, ile po prostu duża wiedza. Trudno się dziwić. Gdyby amerykańscy pracodawcy zawsze wymagali dyplomu, to kariery nie zrobiliby ani Bill Gates, ani Steve Jobs. Obaj byli zbyt zajęci, aby ukończyć studia.

Sam Musk ma co prawda licencjat z fizyki i ekonomii, ale w dużym stopniu jest samoukiem.

Aby się przekonać, że legenda o współzałożycielu Tesli jako o wyjątkowo pracowitym menedżerze nie jest tylko wyssana z palca marketingowca, wystarczy spojrzeć na listę przedsięwzięć, w które zaangażował się ten urodzony w Pretorii wizjoner.

KOSMICZNE INTERESY

Musk stworzył nie tylko producenta samochodów elektrycznych, lecz także projekt szybkiej kolei Hyperloop oraz takie firmy jak SolarCity – zajmującej się produkcją ogniw fotowoltaicznych – czy kosmiczna SpaceX. Celem tej ostatniej, założonej przez Muska w czerwcu 2002 r., jest skonstruowanie pojazdu, który pozwoli ludziom dolecieć na Marsa i rozpocząć kolonizację Czerwonej Planety. Sam Musk wielokrotnie opowiadał dziennikarzom o tym, że marzy, aby umrzeć właśnie na Marsie, i przekonywał, że jeśli nasz gatunek ma przetrwać, to musimy jak najszybciej zacząć kolonizować inne planety. I wcale nie jest wykluczone, że jego marzenie kiedyś się spełni. We wrześniu 2009 r. należąca do spółki SpaceX rakieta Falcon 1 przeszła do historii podboju kosmosu jako pierwszy prywatny pojazd kosmiczny, który umieścił satelitę na orbicie Ziemi.

SpaceX szybko i niespodziewanie stał się konkurentem dla takich amerykańskich gigantów jak Lockheed Martin i Boeing. Od 2013 r., gdy Elon Musk podpisał z NASA wart 1,6 mld dol. kontrakt na dostawy zaopatrzenia na Międzynarodową Stację Kosmiczną, a także szacowaną na 2,6 mld dol. umowę na transport załóg do laboratorium na orbicie, udział firmy SpaceX w rynku komercyjnych usług kosmicznych wzrósł z 5 proc. do 45 proc. w 2017 r. Pierwszy załogowy lot na Międzynarodową Stację Kosmiczną założona przez miliardera firma ma zrealizować jeszcze w pierwszej połowie 2020 r. Według portalu „Business Insider" za miejsce dla jednego astronauty w załogowym statku Dragon NASA będzie płacić 55–58 mln dol. A że Amerykanie chcą wysłać dwóch astronautów, to firma Muska wzbogaci się co najmniej o 110 mln dol. To sporo, choć i tak taniej, niż wcześniej brali Rosjanie, którzy jeden bilet na Sojuza sprzedawali za 72–86 mln dol.

Dzięki przychodom z misji załogowych, a także z opłat za wynoszenie satelity na orbitę (taka usługa kosztuje ponad 60 mln dol.), SpaceX zyskuje pieniądze na doskonalenie pojazdu, który ma dostarczyć ludzi na Czerwoną Planetę. Pierwsza misja na Marsa ma – według założeń Muska – wyruszyć najpóźniej w 2024 r. Do 2050 r. ekscentryczny miliarder chce wysłać na Marsa co najmniej milion ludzi.

Zanim to nastąpi, Musk chciałby zlikwidować korki na powierzchni ziemskich metropolii. Założona przez niego The Boring Company pracuje nad stworzeniem sieci podziemnych tuneli, które mają pozwolić ominąć zatłoczone centra miast. W 2020 r. w Las Vegas ma zostać oddany do użytku pierwszy komercyjny podziemny tunel, którym będą jeździć autonomiczne elektryczne samochody. Wkrótce potem mają zacząć się prace nad budową całej sieci podziemnych tuneli, łączącej kasyna, a także centrum najsłynniejszego miasta grzechu z lotniskiem. Czy Musk też na tym zarobi? Przekonamy się już wkrótce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

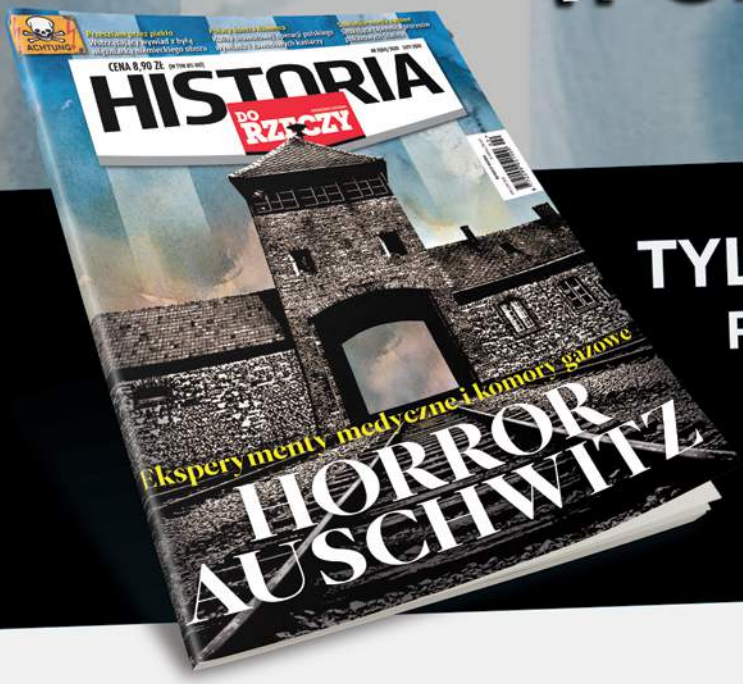

TYLKO U NAS!
Przeżyłam piekło – szokujący wywiad z więźniarką Auschwitz

Piotr Cywiński – **Fabryka śmierci**
Piotr Zychowicz – **Eksperymenty doktora Mengele**
Mikołaj Iwanow – **Sowieckie psy kamikadze**
Grzegorz Janiszewski – **Wywiad II RP kontra Abwehra**
Jochen Böhler – **Zabójcza machina Waffen-SS**
Sławomir Koper – **Swawole Cata-Mackiewicza**
Leszek Lubicki – **Krwawe porachunki Kazimierza Wielkiego**
Tomasz Stańczyk – **Spór o mordy rytualne dzieci**
Sławomir Cenckiewicz – **Polska wiktoria 1920**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 631be42f7a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A co TY zrobiłeś dla górników?!

Stanowczo nie podoba mi się pozbawiona empatii, by nie rzec – arogancka, polityka rządu wobec górników. Jak bowiem inaczej opisać utrzymującą się od dekad niechęć władz do zmuszenia podatników do całkowitego wzięcia górników na swe utrzymanie i wieczne handryczenie się z nimi o te drobne kilka miliardów złotych rocznie? Naprawdę wstyd.

W końcu czy to wina górników, że tak drogo wydobywają nasz polski węgiel – drożej niż ich konkurencja z wielu stron świata? Czy to ich wina, że nie są w stanie utrzymać rodzin za 12 pensji w roku i dlatego muszą dostawać ich więcej (14?), windując w ten sposób koszty wydobycia? I że te nieniskie pensje wciąż są dla nich dużo za niskie, więc muszą żądać wyższych, mimo że ich kopalnie przynoszą straty lub są blisko tego? Chyba nie!

Tymczasem rządy RP – jeden po drugim – rzucają górnikom kłody pod nogi. Z tego powodu – dane za WiseEuropa – w latach 1990–2016 polscy podatnicy dopłacili wydobywcom polskiego „czarnego złota" na różne sposoby: dokładając do wysokich emerytur, spłacając za nich zaległe składki do ZUS i najzwyczajniej dotując kopalnie – zaledwie 230 mld zł, co daje średnio – proszę zauważyć – tylko po 8,5 mld zł rocznie. Toż to ledwie po 239 zł rocznie (w 2016 r.) na obywatela. Na domiar wcale nie jest pewne, że po roku 2016 chociaż tyle grosza płynęło od skąpych podatników do górniczej braci w potrzebie.

I do tego dopiero teraz – gdy z powodu taniego węgla wartko płynącego z zagranicy (w tym z Rosji) i ciepłej zimy na kopalnianych hałdach piętrzą się zwały drogiego polskiego węgla – wiceszef rządu zapowiedział, że spółki Skarbu Państwa będą miały zakaz (całkowicie dobrowolnie przez siebie przyjęty) kupowania taniego węgla z zagranicy, czyli – inaczej mówiąc – będą miały nakaz (też przyjęty dobrowolnie, a jakże) kupowania drogiego polskiego węgla. Ale dlaczego dzieje się to dopiero teraz, a nie wcześniej – i to najlepiej z datą wsteczną? I dlaczego rząd nie zakazuje kupna taniego węgla z zagranicy ani nie nakazuje kupna drogiego polskiego węgla również odbiorcom prywatnym (a także korzystania przez nich wyłącznie z energii wytworzonej z drogiego polskiego węgla)? Jako oczywistego, patriotycznego obowiązku?

I w dodatku obowiązek ten – kupowania drogiego polskiego węgla zamiast taniego zagranicznego – powinien spoczywać na Polakach, nawet gdy tego polskiego brakuje – a rok temu tak było – bo się go górnikom nie udało w potrzebnej ilości wydobyć. Wtedy należy grzecznie czekać na polski węgiel, a nie zdradziecko ogrzewać się zagranicznym.

Albowiem jakoś trudno sobie wyobrazić, by rząd odważył się poprosić górników – w imieniu obywateli, żeby z patriotycznego obowiązku wydobywali polski węgiel taniej i w potrzebnej ilości, nieprawdaż? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Opodatkowanie uciążliwości

Gdy Jan idzie w przerwie na lunch do restauracji, nie powoduje to zbyt wielu uciążliwości dla innych osób. Jednak gdy Jan zamówi lunch w Internecie i wkrótce pojawi się dostawca na rowerze, skuterze lub w samochodzie, to sytuacja ulega zmianie. Ponieważ taka dostawa przyczynia się do pogorszenia jakości powietrza z powodu spalin, powiększa korki, wydłuża czas podróży innym lub zwiększa ryzyko wypadków, np. gdy rower porusza się po chodniku. Ponadto pojawiają się opakowania, które muszą zostać zutylizowane. Zamówienie lunchu z dostawą do pracy lub domu powoduje więc całą masę uciążliwości i chociaż każda z nich pojedynczo jest niewielka, łącznie wszystkie w swojej masie radykalnie pogarszają jakość życia mieszkańców wielu miast. Gdy Jan płaci za dostawę obiadu, pokrywa koszty samego obiadu i dostawy, ale nie rekompensuje społeczeństwu wygenerowanych uciążliwości. Dostawa lunchu to tylko jeden z wielu możliwych przykładów generujących uciążliwości, inne to car-sharing czy odwożenie dzieci samochodem do szkoły.

Załóżmy, że ulubiona wegańska sałatka Jana kosztuje 22 zł w pobliskiej restauracji a 20 zł z dostawą (taniej, bo w cenie nie ma kosztu wynajmu pomieszczeń restauracji). Jan zatem wybiera dostawę. Pojawiają się jednak koszty wygenerowanych uciążliwości, które wynoszą np. 4 zł, tyle tylko że tych kosztów nikt nie liczy. Gdyby je liczyć i gdyby Jan musiał je pokryć, to dostawa kosztowałaby 24 zł i Jan wybrałby lunch w restauracji.

No dobrze, ale jak liczyć te koszty? W czasach big data i sztucznej inteligencji można integrować dane z wielu źródeł, takich jak smartfony, czujniki smogu, mapy korków i wyceniać koszty uciążliwości. Na przykład takie koszty zamówienia Jana mogą wynosić 4 zł w porze lunchu i gdy jakość powietrza jest zła lub tylko 1 zł w weekend rano i w czasie, gdy wiatr przewiał smog.

Zintegrowane dane pozwoliłyby na stworzenie systemu opartego na uczeniu maszynowym, który opracowałby optymalny poziom opłat (podatków) i którego celem byłaby minimalizacja łącznej uciążliwości przy zapewnieniu danego poziomu zaspokajania potrzeb. W efekcie jakość życia w mieście byłaby znacznie wyższa.

Jeżeli czytelnikowi kojarzy się ten pomysł z socjalizmem, gdy też próbowano zaspokajać potrzeby, kontrolować i centralnie planować, to jest to poprawne skojarzenie. Algorytmizacja naszego życia doprowadzi do sytuacji, gdy decyzje będą za nas podejmowały algorytmy. Kiedyś partia dawała kartkę na towar, teraz algorytm da rekomendację. Partia wysyłała do pracy, teraz algorytm akceptuje CV.

Możemy być pewni, że takie rozwiązanie zostanie wdrożone w imię dobra mieszkańców miast. Jak to dobrze, że będę już wtedy na emeryturze na wsi. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 631be42f7a

TEST „DO RZECZY": OPPO RENO 2

Ładny design, dobre aparaty fotograficzne oraz niezła bateria – to najważniejsze zalety smartfona ze średniej półki chińskiej firmy Oppo.

Wprawdzie Reno 2 nie jest ani najcieńszy, ani najmniejszy na rynku, jednak i tak może się podobać. Jakość jego wykonania przywodzi na myśl flagowce droższe o co najmniej tysiąc złotych.

Do gustu użytkowników przypaść może także 6,5-calowy ekran AMOLED bez żadnego „notcha", czyli po prostu zajmujący całą powierzchnię przedniego panelu smartfona. Obraz jest ostry, kąty widzenia bardzo dobre, podobnie jak odwzorowanie kolorów. Na niezłym poziomie jest również maksymalna jasność, dzięki czemu spokojnie można oglądać film nawet w mocnym słońcu. Rozdzielczość Full HD+ (1080 x 2400 pikseli) dla większości użytkowników powinna być zupełnie wystarczająca, choć warto pamiętać, że flagowce mogą się pochwalić już QHD+.

Cechą wyróżniającą Reno 2 są również aż cztery aparaty fotograficzne na tylnej klapie oraz wysuwany automatycznie obiektyw do selfie (tzw. płetwa rekina). Główny obiektyw ma rozdzielczość 48 MP i niezłą jasność f/1.7. Oprócz tego do dyspozycji mamy również teleobiektyw, obiektyw szerokokątny oraz obiektyw zaprojektowany specjalnie z myślą o trybie portretowym. Zdjęcia zrobione przy użyciu głównego obiektywu są dobrej jakości: kolory są wyraziste, a kadry pełne detali. Całkiem nieźle prezentują się również fotografie zrobione przy użyciu trybu nocnego. Bardzo fajnie wychodziły także zdjęcia powstałe za pomocą obiektywu szerokokątnego. Na pochwałę zasługuje też sprawnie działająca optyczna stabilizacja obrazu, która znacząco ułatwia kręcenie filmików wideo.

Po stronie plusów można zapisać również szybki skaner linii papilarnych, nowoczesny port USB-C oraz tradycyjne wejście audio: jack 3,5 mm (to już bowiem coraz większa rzadkość w najnowszych smartfonach). Opłacalność zakupu testowanego modelu zwiększa także dołączane w zestawie etui. Fabrycznie na ekranie jest również montowana folia ochronna. Wytrzymała bateria o pojemności 4000 mAh sprawia z kolei, że testowany smartfon może spokojnie pracować przez cały dzień na jednym ładowaniu. W razie potrzeby Reno 2 możemy podładować przy użyciu szybkiej ładowarki 20 W.

Wady? Reno 2 pracuje w oparciu o niezbyt mocny ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 730G. Wielkość pamięci RAM wynosi 8 GB.

Dla przeciętnego użytkownika taka konfiguracja może okazać się wystarczająca, ale wielu konkurentów Oppo wyposaża swoje modele w wydajniejsze procesory niż ten z Reno 2. To zła wiadomość zwłaszcza dla tych, którzy lubią testować na swych smartfonach bardziej wymagające gry.

Testowany smartfon nie jest też niestety wodoodporny. A przynajmniej producent nie może pochwalić się żadnym certyfikatem, który pozwalałby nam z czystym sumieniem korzystać z tego urządzenia w silnym deszczu czy blisko krawędzi basenu. Testowany model jest również stosunkowo ciężki (waży aż 189 g). Mimo tych minusów Reno 2 może być ciekawą propozycją dla tych, którzy nie potrzebują w swoim smartfonie najbardziej wydajnego procesora czy też najlepszych na świecie obiektywów.

Cena: 2295 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

CIŚNIENIOMIERZ W ZEGARKU

Udar zabija. Truizm? Tak, ale nadal zwłaszcza osoby w podeszłym wieku trudno skłonić do częstego, regularnego badania ciśnienia. Wszystko kończy się najczęściej: „Przecież dobrze się czuję" lub też: „Po kawie może być trochę podniesione". Tymczasem nadciśnienie tętnicze jest uznawane za główny czynnik ryzyka udaru mózgu, zawału serca, niewydolności nerek. Teraz może być nieco łatwiej. A wszystko za sprawą zgrabnego, estetycznie wykonanego inteligentnego zegarka, który noszony na przegubie stale i systematycznie bada ciśnienie krwi i stan zdrowia potencjalnego udarowca. Gadżet nazywa się YHE BP Doctor Wearable Blood Pressure Smartwatch i dzięki opatentowanej konstrukcji nadmuchiwanego mankietu, potężnemu algorytmowi i czujnikowi o wysokiej dokładności jest w stanie dokładnie zmierzyć ciśnienie tętnicze delikwenta. Urządzenie zawiera ok. 30 chipów monitorujących stan zdrowia. A jak działa? Używa nadmuchiwanego mankietu w opasce zegarkowej do dokładnego pomiaru ciśnienia krwi, tak jak zwykła maszyna oscylometryczna zakładana na ramię, której używa się podczas badań w gabinetach lekarskich. Dane są następnie synchronizowane z aplikacją, co daje wnikliwe raporty o wysokości ciśnienia i pulsu. Aplikacja APP zapewnia również możliwość łatwego i dokładnego monitorowania, jak styl życia wpływa na odczyty. Urządzenie kosztuje ok. 1,1 tys. zł i można je zamawiać na portalu Indiegogo – dostawa w czerwcu.

PEREŁKI DOUSZNE

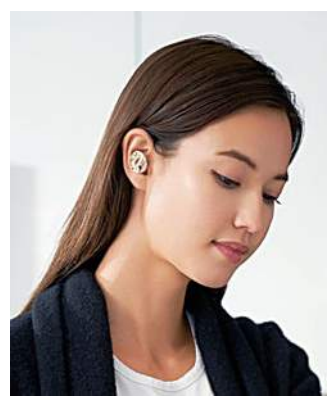

Tak nazwał producent swój gadżecik. W rzeczywistości mamy do czynienia z kolejnymi, w miarę inteligentnymi słuchaweczkami ładowanymi energią słoneczną i odpornymi na wilgoć. Solarne ładowanie jest największą zaletą słuchawek Pearl, wystarczy 30 minut, by pracowały przez dwie godziny. Dodatkowo oczywiście mają funkcje wyciszania hałasu, wyboru dźwięków, niezłe podbicie basów. Cena: ok. 400 zł. Zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w kwietniu. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 631be42f7a

Dotacja za „praworządność”

FOT. ADOBE STOCK

Olivier Bault

Powiązanie budżetu Unii Europejskiej z praworządnością to najprostsza recepta na rozpad wspólnoty

Wieloletnie Ramy Finansowe (WRF) Unii Europejskiej to prawnie wiążący akt, który wyznacza priorytety działania na kilka lat. Na bazie WRF przyjmowane są roczne budżety. Obecnie obowiązujące ramy finansowe Unii obejmują lata 2014–2020, a zatem wygasają z końcem bieżącego roku. Negocjacje w sprawie WRF na lata 2021–2027 wciąż trwają. Na 20 lutego przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel zwołał specjalny szczyt UE, aby omówić tę kwestię. Michel skierował list do unijnych przywódców, aby przypomnieć im, że dalszy brak zgody może spowodować „poważne problemy praktyczne i polityczne oraz zagroziłby kontynuacji obecnych programów i polityki, a także uruchomieniu nowych”.

Jedna z osi sporów wokół przyszłych WRF przebiega między płatnikami netto a beneficjentami netto pieniędzy unijnych. Spór ten zaostrza wyjście Wielkiej Brytanii z Unii, ponieważ kraj ten był drugim po Niemczech największym płatnikiem netto, z nadwyżką środków wpłacanych do unijnego budżetu w stosunku do otrzymanych na poziomie prawie 10 mld euro rocznie (wobec ponad 17 mld w przypadku Niemiec). Kolejnymi płatnikami netto są Francja, Włochy, Holandia, Szwecja, Austria, Dania, Finlandia i Irlandia. Wszystkie pozostałe kraje Unii były w 2018 r. beneficjentami netto budżetu unijnego, co oznacza, że otrzymywały więcej, niż wpłacały. Największymi beneficjentami netto w 2018 r. były Polska (z nadwyżką otrzymanych środków w stosunku do wpłacanych w wysokości 11,6 mld euro) oraz Węgry (5 mld euro).

ROZBIEŻNE INTERESY

Beneficjenci netto tworzą grupę „przyjaciół spójności”. 1 lutego spotkała się ona w Portugalii, aby uzgodnić wspólne stanowisko dotyczące europejskich funduszy spójności wydawanych na wspieranie rozwoju najbiedniejszych regionów kontynentu. Jeszcze w poprzedniej kadencji Parlament Europejski postąpił podobnie i przyjął stanowisko, które mówi, iż należy utrzymywać politykę spójności na zadowalającym poziomie pomimo wyjścia Wielkiej Brytanii z UE i podejmowania nowych zobowiązań, m.in. w ramach pakietu klimatycznego, a budżet Unii na lata 2021–2027 powinien wynosić 1,3 proc. połączonego dochodu narodowego brutto (DNB) państw członkowskich, tj. ok. 1,324 mld euro. Komisja Europejska proponowała, aby było to 1,11 proc. unijnego DNB, co przekładałoby się na ok. 1,135 mld euro wydatkowanych w latach 2021–2027. Gdy pracom Rady UE przewodniczyła w drugim półroczu 2019 r. Finlandia, proponowała inny kompromis, na poziomie 1,07 proc. DNB. Ze swojej strony płatnicy netto trzymają się postulatu ograniczania wydatków do poziomu 1 proc. DNB, co wymagałoby ostrych cięć w funduszach spójności oraz we wspólnej polityce rolnej, które stanowią lwią część unijnych wydatków (razem ponad dwie trzecie całego budżetu).

6 lutego, podczas wizyty w Brukseli, polski premier Mateusz Morawiecki rozmawiał o przyszłym budżecie Unii z przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen oraz z przewodniczącym Rady Europejskiej Charles’em Michelem. Na konferencji prasowej tak podsumował polskie stanowisko: „Ze smutkiem stwierdzamy, że Wielka Brytania opuszcza Unię i będzie mniej środków na przyszłe cele. Ale wszystkie nowe cele nie mogą być realizowane kosztem polityk traktatowych – polityki spójności, funduszu kohezyjnego, czyli funduszy, z których pochodzą środki na budowę dróg, kolei i mostów”.

Po drugiej stronie, czyli po stronie płatników netto, austriacki kanclerz Sebastian Kurz postawił sprawę jasno. W wywiadzie radiowym udzielonym 1 lutego mówił: „Austria zawetuje każdą propozycję wieloletnich ram finansowych, zakładającą budżet powyżej 1 proc. DNB”. Kurz stwierdził, że inni płatnicy netto, tacy jak Niemcy, Holandia, Dania i Szwecja, także zawetują każdą taką propozycję. I faktycznie, kanclerz Niemiec wyraziła podobne stanowisko już w październiku, stwierdzając przed Bundestagiem, że sama rezygnacja ze wszystkich specjalnych „rabatów”, które przysługiwały do tej pory niektórym płatnikom netto, o którą wnioskuje Komisja Europejska w związku z brexitem,

eprasa.pl 631be42f7a

spowoduje, iż nawet przy budżecie na poziomie 1 proc. obciążenie finansowe dla Niemiec wzrośnie. Tylko z tego powodu nadwyżka netto w przypadku składki Niemiec do unijnego budżetu może osiągnąć nawet 30 mld euro w 2027 r.

O zniesienie tych rabatów wnioskują też beneficjenci netto unijnego budżetu, tacy jak Polska i Węgry czy kraje bałtyckie, a także Francja. Niemcy, Austria, Holandia, Dania i Szwecja chciałyby je utrzymywać w mocy.

NIEBEZPIECZNY MECHANIZM

Niemal jednak dwa lata temu pojawił się inny postulat popierany przez Komisję, Parlament Europejski, a także przez niektórych płatników netto, w tym Francję i Niemcy. Postulat ten zakłada powiązanie wypłaty funduszy unijnych z kwestią przestrzegania praworządności i stał się przedmiotem trwających negocjacji. Obecny komisarz ds. sprawiedliwości, Belg Didier Reynders, zapowiedział dalsze prace nad propozycją wprowadzenia takiego mechanizmu, opracowaną za czasów poprzedniej Komisji. 24 stycznia, podczas konferencji w Brukseli poświęconej praworządności Polski, wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński skrytykował ten pomysł jako coś, co „jest niezgodne z traktatami" i co „nie może stanowić podstawy budżetu na siedem lat". „Polski rząd od samego początku tej debaty mówił jasno, że nie ma nic przeciwko wprowadzeniu dodatkowych kryteriów, które zabezpieczą lepiej unijny budżet – bo uważamy, że budżet unijny musi być dobrze zabezpieczony – ale kryteria muszą być jasno określone, muszą być precyzyjne, nie mogą być podatne na arbitralną interpretację polityczną" – powiedział wiceminister.

Węgierski rząd, podobnie jak polski, obecnie objęty procedurą z art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej, zapowiedział wprost, że nigdy się nie zgodzi na wieloletnie ramy finansowe obarczone mechanizmem uzależniającym wypłatę funduszy od oceny praworządności w danym kraju. Taki mechanizm mógłby bowiem być łatwo nadużywany, a poza tym stawia beneficjentów netto w pozycji nierównej w stosunku do płatników netto. Najlepiej, choć może i nieświadomie, ujął to prezydent Francji w swoim wykładzie nt. Polski i Francji w Europie, wygłoszonym 4 lutego na Uniwersytecie Jagiellońskim, ostrzegając: „I niech państwo nie wierzą w to, że ktoś powie, iż Europa mi da pieniądze, ale pozostawi mi pełną swobodę polityczną".

Pierwszym członkiem Komisji Junckera, który głośno zaczął mówić na początku 2018 r. o potrzebie utworzenia specjalnego mechanizmu, aby powiązać wypłatę funduszy europejskich z przestrzeganiem praworządności, była czeska komisarz ds. sprawiedliwości, spraw konsumenckich i równości płci Věra Jourová. Obecnie jest ona wiceprzewodniczącą komisji odpowiedzialną za wartości i przejrzystość – cokolwiek to znaczy. Idea powiązania wypłaty funduszy unijnych z praworządnością wzięła się ze świadomości, że uruchomiona przeciwko Polsce procedura z art. 7 o stwierdzenie „wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez państwo członkowskie wartości, o których mowa w art. 2" nie miała większych szans powodzenia. Przewodniczący grupy EPL w europarlamencie, Niemiec Manfred Weber, tłumaczył na początku 2019 r., gdy kandydował na stanowisko szefa Komisji Europejskiej, że procedury z art. 7 uruchomione przeciw Polsce i Węgrom wysyłają mocny sygnał do tych krajów, ale potrzebny jest instrument, który pozwoliłby ukarać państwa członkowskie bez potrzeby osiągania jednomyślności w Radzie Europejskiej. Obecna przewodnicząca KE Ursula von der Leyen wielokrotnie opowiadała się za stworzeniem takiego mechanizmu.

W kwietniu ubiegłego roku Parlament Europejski zaaprobował utworzenie tego mechanizmu, zatwierdzając rezolucję ustawodawczą dotyczącą rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady „w sprawie ochrony budżetu Unii w przypadku uogólnionych braków w zakresie praworządności w państwach członkowskich". W związku z tym to Rada (czyli państwa członkowskie) powinna wypowiadać się teraz na ten temat. W postaci przegłosowanej w poprzedniej kadencji PE projekt rozporządzenia przewiduje, że Komisja Europejska mogłaby proponować odcięcie funduszy dla danego kraju, jeżeli stwierdziłaby, iż działania tego kraju zagrażają niezależności sądownictwa i ogólnie rozumianej praworządności.

W tym celu Komisja miałaby stworzyć specjalną grupę „niezależnych ekspertów", którzy mieliby pomagać jej identyfikować braki w przestrzeganiu praworządności w danym kraju. Przy tym w tekście przyjętym przez Parlament Europejski praworządność jest zdefiniowana w sposób tak ogólny, że Komisja Europejska mogłaby co do zasady ingerować we wszystkich obszarach działalności państw, nie będąc ograniczona surowymi, trudnymi do spełnienia warunkami ukarania danego państwa przewidzianymi w art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej.

Taki mechanizm nie byłby zgodny ani z literą, ani z duchem obowiązujących traktatów europejskich i stanowiłby najlepszą receptę na rychły rozpad Unii z powodu nieustających konfliktów, które wynikałyby z działań Komisji i TSUE. Nie liczby są zatem największym wyzwaniem toczących się negocjacji w sprawie wieloletnich ram finansowych Unii na lata 2021–2027, lecz wyjątkowo groźny postulat powiązania funduszy z domniemanym przestrzeganiem praworządności.

KTO NAPRAWDĘ ZYSKUJE?

Natomiast rozmawiając o liczbach, mówimy tu wyłącznie o przepływach do i z budżetu unijnego. Nie należy jednak zapominać, że zgoła inaczej wygląda sprawa przepływów pieniężnych ogółem. Jak to dokładnie wyliczył francuski ekonomista Thomas Piketty, przepływy pieniężne netto z krajów postkomunistycznych do Europy Zachodniej – w postaci dywidend i zysków zachodnioeuropejskich firm działających na rynku byłego bloku wschodniego – grubo przewyższają nadwyżkę pieniędzy unijnych otrzymanych przez te kraje. Na przykład w przypadku Polski w latach 2010–2016 o ile nadwyżka otrzymanych funduszy unijnych wynosiła średnio 2,7 proc. polskiego PKB, o tyle odpływ pieniędzy związanych z zyskami z inwestycji zachodnioeuropejskich firm wynosił 4,7 proc. PKB. W przypadku Węgier było to odpowiednio 4 proc. i 7,2 proc.

Unijną politykę spójności można zatem pojmować, jak to czyniła w ubiegłym roku na portalu Politico rumuńska eurodeputowana Clotilde Armand, jako częściową rekompensatę za udostępnianie rynków zachodnim koncernom, którym wyprzedano krajowy majątek po upadku komunizmu. I jest to kolejny powód, dla którego beneficjenci netto budżetu unijnego nie powinni się uginać pod szantażem, streszczonym w słowach: „Niech państwo nie wierzą w to, że ktoś powie, że Europa mi da pieniądze, ale pozostawi mi pełną swobodę polityczną". Nikt tutaj nikomu łaski nie robi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

WOJCIECH CEJROWSKI „PIECHOTĄ DO ŹRÓDEŁ ORINOKO" 2019 BERNARDINUM

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Boso przez dżunglę

Maciej Pieczyński

Wojciech Cejrowski zaprasza czytelników w pasjonującą podróż. „Piechotą do źródeł Orinoko", wznowienie książki sprzed lat, to mrożąca krew w żyłach i jednocześnie zabawna opowieść o przygodzie, w której każdy chciałby wziąć udział, by poznać – cytując autora – „piękny świat"

Memento mori – w dżungli stale pamiętaj o swojej śmierci, która na ciebie nie czeka. W dżungli śmierć nie czeka, lecz czyha, a czasami ściga lub rzuca się znienacka" – tę uwagę zanotował Cejrowski w swoim zeszycie w kratkę. To jeden z niewielu fragmentów książki „Piechotą do źródeł Orinoko", w którym podróżnik pisze z – nomen omen – śmiertelną powagą o tym, co w każdym momencie mogło przydarzyć się jemu i jego towarzyszom. A gdyby się przydarzyło, teraz zapewne nie recenzowałbym drugiego wydania książki Wojciecha Cejrowskiego. Chyba że byłoby to wydanie pośmiertnych zapisków. Tak czy inaczej podróżnik robi wiele, aby czytelnik zamiast łacińskiej sentencji „memento mori" zapamiętał raczej latynoską mañanę. „W dżungli nikt nie obraca się w proch, bo dżungla jest wilgotna i nie marnuje takich zasobów jak cudze ciało, cudze mięso, cudze życie" – w tych słowach Cejrowski pokazuje, jak bardzo podejście do śmierci w indiańskiej kulturze różni się od naszego.

Nawet najbardziej mrożące krew w żyłach sytuacje podróżnik próbuje obrócić w żart. Ewentualnie opowiedzieć je w takiej formie, aby czytelnika rozśmieszyć bardziej niż przestraszyć. To zresztą dobrze przemyślany i z antropologicznego punktu widzenia uzasadniony zabieg, który Cejrowski stosuje na dwóch poziomach. Jako pisarz i jako podróżnik. Jako autor książki i jako jej bohater.

„Bardzo dobrze radzisz sobie ze słowami, Gringo" – pochwałę o tej treści słyszy „Antonio" (bo tym imieniem przedstawia się nieznającym języka polskiego Latynosom i Indianom autor oraz bohater książki w jednej osobie) niemal na każdym kroku, niemal od każdego, kogo spotyka na swojej drodze. Można byłoby tę frazę uznać za pretensjonalną, nieskromną i niezbyt wiarygodną. Można byłoby pomyśleć, że autor sam włożył w usta swoich bohaterów tę pochwałę. Można byłoby, gdyby nie fakt, że to pochwała zasłużona. Cejrowski na każdej stronie książki udowadnia, że świetnie radzi sobie ze słowami. Jego styl jest spójny, konsekwentny, odpowiednio dopasowany do okoliczności. W świecie, w którym rządzi mañana, mowa musi być prosta – potoczna, nie patetyczna. Styl Cejrowskiego jest wiernym zapisem stylu życia, który opisuje. Lekko nie oznacza łatwo, ale na pewno oznacza przyjemnie. Bo nawet czytając o najtrudniejszych, najbardziej niebezpiecznych momentach wyprawy można być przekonanym, że wszystko skończy się dla uczestników wyprawy pozytywnie. A nawet jeśli coś się nie uda, to będzie można to skwitować wzruszeniem ramion. Radosna beztroska,

eprasa.pl 631be42f7a

przelana na papier, udziela się czytelnikowi.

Nie oznacza to jednak, że książka nie trzyma w napięciu. Niemal na każdej stronie można wraz z Cejrowskim i jego kompanami przeżyć jakąś kolejną, z reguły zaskakującą, przygodę. Za każdym razem, kiedy autor zapowiada kolejną opowieść jednym słowem „posłuchajcie", czytelnik zamienia się w słuch. Nie tyle we wzrok, ile właśnie w słuch. Cejrowskiego czyta się bowiem tak, jakby się go słuchało. Cejrowski nawet nie tyle opowiada, ile zaprasza czytelnika do rozmowy, nie tolerując odmowy. Stosuje typowo gawędziarski sposób bezpośredniego zwrotu do odbiorcy. Wskazany palcem czytelnik bierze wręcz udział w przygodach Cejrowskiego.

Jako autor i jako bohater Cejrowski zręcznie posługuje się humorem. Jako autor rozśmiesza czytelnika. Jako bohater rozśmiesza Indian. Humor pozwala rozładować atmosferę w okolicznościach, w których ani się obejrzysz, a już stajesz się pokarmem dla piranii. Te krwiożercze ryby to zresztą tylko jedno z setek zagrożeń, które czyhają na ludzkie życie w dzikich ostępach nad Orinoko. W dżungli zabić może wszystko, każdego, w każdym momencie. Wystarczy jeden nieostrożny ruch… Osy, pająki, węże, kapibary, tapiry, jaguary, piranie, wreszcie – Indianie. Jak się zresztą okazało, gniew Indian właśnie okazał się decydujący w całej tej wyprawie…

PODRÓŻE DOKSZTAŁCAJĄ

Cejrowski ze zmysłem antropologa praktyka objaśnia swoim odbiorcom bardzo prostą, ale nadzwyczaj skuteczną zasadę postępowania w sytuacjach skrajnych. Otóż, parafrazując na wspak Sienkiewiczowską maksymę – lepiej by się z ciebie śmiali, niż by się ciebie bali. Robienie z siebie głupka – pisząc stylistyką Cejrowskiego – to w oczach zdolnych do okrucieństw i zabójczo nieprzewidywalnych Indian najlepsza metoda na przetrwanie. Podróżnik i antropolog, żeby przeżyć, a potem to przeżycie opisać, musi być czasem komikiem. Cejrowski to potrafi.

Opowiadając sytuacje budzące grozę, podróżnik zarzeka się: „Nie chcecie tam być". Takie ostrzeżenie w rzeczywistości jest zaproszeniem. Kto by nie chciał być tam, gdzie można przeżyć albo przynajmniej mieć przygodę życia?! Ciekawość bywa silniejsza niż strach. A książki Cejrowskiego zaspokajają ciekawość podróżniczych przygód.

Cejrowski opisuje swoją pełną nieoczekiwanych zwrotów akcji wyprawę do źródeł Orinoko. Opisuje po raz drugi. W pierwszym wydaniu nie mógł zawrzeć wszystkich, wartych uwagi, szczegółów. „W trakcie tamtej wyprawy do Wenezueli wszedłem w posiadanie woreczka szmaragdów […]. Jedna garść drogocennych kamyków (ukrytych w rozporku) i zostajesz bogaczem. Niestety… W tej samej chwili zostajesz też przestępcą, i to na całe lata" – tymi słowami Cejrowski rozpoczyna swoją opowieść. Książka czekała na drugie wydanie 20 lat, aż do przedawnienia. Zanim jednak Cejrowski staje się „przestępcą", przeżywa mnóstwo nie mniej emocjonujących chwil. Prowadzi czytelników przez kolumbijsko-wenezuelskie pogranicze, wchodzi w niebezpieczne kontakty z przemytnikami, poznaje świat południowoamerykańskich „kowbojów" żyjących na bezkresnej sawannie (llanos), dociera do bram dżungli, a potem, płynąc w górę Orinoko, trafia na terytoria Indian Yanomami. O tym, jak groźne i zdolne do wszystkiego jest to plemię, świadczyć może nietypowy sport, którym parają się jego członkowie. Mianowicie – biją się maczugami po głowach…

Jedną z najbarwniejszych postaci, które Cejrowski i jego towarzysze napotkali na swojej drodze, jest szaman Yere Yere, przez współplemieńców nazywany „leczycielem". „Yere Yere był najgorszym szamanem, jakiego poznałem. Widziałem wielu, kolegowałem się z kilkoma, ale Yere Yere… Hm. Bił ich na głowę" – pisze podróżnik. Szczegółowe streszczanie fabuły to zawsze intelektualna zbrodnia. A już w przypadku książki opisującej podróżniczą przygodę zbrodnia szczególnie okrutna. Kto zechce, ten sam po nią sięgnie i przygodę… przeżyje. Na własnej skórze, można powiedzieć. Czytelnika nie dosięgnie gniew Indian Yanomami, czary szamana Yere Yere ani pazury jaguara. Dosięgnie natomiast z pewnością gęsia skórka. I bąble z nosa… Podróżnik robi bowiem wiele, aby czytelnika nie tylko wystraszyć, lecz także rozbawić. Rozśmieszyć tak, aby – jak to się mówi w rodzimej dla Cejrowskiego kociewskiej gwarze – „bąble z nosa poleciały".

Czytelnik nie tylko przeżywa przygody wraz z autorem, lecz także dowiaduje się o nim wielu ciekawych rzeczy. Nic dziwnego – jak podkreśla sam Cejrowski – podróże zmieniają człowieka. Nie tyle kształcą, ile odkształcają. Po nich już człowiek nie jest taki sam. Cejrowski opisuje m.in. dzień, w którym został pisarzem.

„Nie słyszałem o nikim innym, kto wiedziałby, kiedy mu się to stało. Ja wiem. I wiem, że to dziwne, ale… Takie jest Orinoko. Ono cię zmienia; nieodwracalnie" – pisze. Tę nieodwracalną zmianę uświadomił sobie podczas rozmowy ze swoim towarzyszem podróży, Pedrem. To było zderzenie dwóch światów, dwóch mentalności. Latynos dziwił się, po co zapisywać na kartce papieru historię, którą przecież można zapamiętać?! Cejrowski, zgodnie z mentalnością białego człowieka, potrzebuje uwiecznić to, co przeżył, w materialnej formie. „Po co? Zawsze mogę opowiedzieć te wszystkie rzeczy raz jeszcze; ja pamiętam. Albo mogę ci opowiedzieć rzeczy całkiem nowe. Nic nie szkodzi, gdy się coś zapomni. Wystarczy poprosić, ja opowiem" – przekonywał Pedro. Cejrowski skwitował te słowa wiele mówiącą refleksją: „Oto mentalność człowieka dżungli. Rzeczy materialne są tam nietrwałe, a jednocześnie łatwo dostępne – według zasady: uciekła mi kapibara, napatoczy się druga".

CEJROWSKI NIE ŻAŁUJE NICZEGO

„Ktoś, kto przywiązuje się do własnych planów, odbiera sobie wolność lub radość – jest przywiązany, czyli nie-wolny". W ten sposób znany podróżnik wyjaśnia, dlaczego nie zawsze osiągnięcie celu jest najważniejsze. Dlaczego niekoniecznie musi być ono wartością samą w sobie. Barwnie opisuje: „Marzenia są jak forsa w kieszeni – głupio byłoby wydać wszystko do samego dna. Lepiej, gdy ci coś zostanie na zaś. Choćby jedna mała garstka marzeń niespełnionych. A mnie przecież już tyle się zdarzyło i tyle jeszcze może zdarzyć".

Zarówno na początku, jak i na końcu książki pojawia się ta sama refleksja – „Nie żałowałem niczego, nawet niepowodzeń". Jak zauważa znany ze swojego przywiązania do wiary podróżnik, „Czasami właśnie takie niespełnione modlitwy są bożym błogosławieństwem – bo tak miało ci się zdarzyć, a gdyby się zdarzyło, tak jak chciałeś, byłbyś nieszczęśliwy. Lub martwy". Widać, że Cejrowski nauczył się od Latynosów i Indian tego, co najważniejsze – mañany. Beztroskiego przyjmowania życia takim, jakim ono jest. Podróżnik nie żałował niczego, nawet niepowodzeń. A przynajmniej się starał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 631be42f7a

FOT. KRZYSZTOF MYSKOWSKI/KFP

Z prof. Piotrem Czauderną, koordynatorem Sekcji Ochrony Zdrowia Narodowej Rady Rozwoju
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Mamy polski cancer plan

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno prof. Cezary Szczylik w jednym z wywiadów powiedział, że leczenie nowotworów w Polsce to „cywilizacyjna pomyłka" i jesteśmy pod tym względem krajem Trzeciego Świata. Zgadza się pan z taką opinią?

PROF. PIOTR CZAUDERNA: To nieprawda, nie jesteśmy Trzecim Światem, choć na pewno nie jesteśmy też pierwszym. Nakłady na onkologię są w Polsce niewystarczające, jednak takie uproszczenia są krzywdzące. Sytuacja onkologii nie jest katastrofalna, choć na pewno poniżej naszych oczekiwań. Podejmujemy liczne działania, żeby to zmienić, nie da się jednak wszystkiego zrobić od razu. Niemniej jednak porównanie do Trzeciego Świata jest skrajnie nieobiektywne i niesprawiedliwe.

Jak wygląda stan polskiej onkologii? Niepokoi, że liczba zachorowań na nowotwory jest w Polsce mniejsza niż w Europie Zachodniej, za to liczba zgonów – wyższa.

To prawda, że są różnice między onkologią w Polsce a onkologią w najbardziej rozwiniętych krajach Europy. Nie dotyczy to jednak całej onkologii, np. jeśli chodzi o leczenie dzieci, to właściwie nie ma różnic w wynikach. W ciągu ostatnich 10 lat wyniki leczenia większości nowotworów u dorosłych w Polsce bardzo się poprawiły, jednak w krajach zachodnich również są coraz lepsze. Wciąż jest między nami różnica. Świadomość tego oraz to, że stopniowo wzrasta liczba zachorowań, co częściowo ma związek ze starzeniem się społeczeństwa, były głównym powodem nakłonienia pana prezydenta oraz rządu do konkretnych zmian.

Niedawno została przyjęta przez rząd Narodowa Strategia Onkologiczna, czyli polski cancer plan. Co zmieni?

Kilka spraw jest kluczowych. Po pierwsze: profilaktyka. 50 proc. nowotworów można uniknąć dzięki odpowiedniemu stylowi życia, niepaleniu tytoniu, odpowiednim nawykom żywieniowym, ograniczeniu ekspozycji na promieniowanie UV. W cancer planie są konkretne działania, które trzeba podjąć: regulacje prawne, by zmniejszyć liczbę palaczy, kształtowanie postaw prozdrowotnych, lekcje o zdrowiu w szkołach, szczepienia przeciw wirusowi HPV, który jest głównym czynnikiem zachorowań na raka szyjki macicy oraz nowotwory jamy ustnej i gardła. Drugi element to prewencja wtórna: trzeba zmienić system badań przesiewowych, by wcześniej wykrywać nowotwory. Obecnie jest zbyt niska zgłaszalność na badania przesiewowe. System powiadamiania o nich musi się zmienić, bo zaproszenia listowne są już anachronizmem. Poza tym niektóre badania trzeba zmienić: przykładem jest kolonoskopia. To świetne badanie, jednak wiele osób obawia się go wykonywać, dlatego w wielu krajach pierwszym krokiem jest badanie na obecność krwi utajonej w kale.

A co zmieni strategia, jeśli chodzi o leczenie nowotworów?

Konieczna jest inwestycja w kadry medyczne – brakuje nam onkologów, chirurgów onkologicznych, patomorfologów, trzeba zwiększyć liczbę specjalistów, poprawić jakość kształcenia. W strategii są zaplanowane znaczny wzrost liczby refundowanych nowoczesnych leków, a także zwiększenie liczby badań klinicznych, zarówno komercyjnych, jak niekomercyjnych. Chcemy również zbudować system ochrony zdrowia bardziej przyjazny dla pacjentów. Do tej pory często byli oni pozostawieni samym sobie: wiele osób pytało, gdzie się udać po diagnozie, co robić.

Największa różnica między onkologią dziecięcą a onkologią dorosłych

eprasa.pl 631be42f7a

polegała właśnie na tym, że w dziecięcej pacjent był lepiej „zaopiekowany", lekarze świetnie ze sobą od lat współpracowali, zarówno w Polsce, jak i w całej Europie. To było koniecznością, gdyż nowotworów u dzieci jest znacznie mniej, często występują bardzo rzadko, niewiele ośrodków ma doświadczenie w leczeniu. Rocznie odnotowujemy 1,3 tys. nowych zachorowań na nowotwory u dzieci, a ponad 160 tys. u dorosłych, dlatego stworzenie spójnego systemu opieki nad dorosłymi jest trudniejsze. Jednym z głównych celów Krajowej Sieci Onkologicznej, która obecnie jest wdrażana w formie pilotażu, jest właśnie „wymuszenie" współpracy pomiędzy ośrodkami, a także koordynacja opieki nad pacjentem. Wstępne analizy ankiet pacjentów będących w pilotażu już pokazały, że czują się oni lepiej „zaopiekowani". Ma być też uruchomiony Narodowy Portal Onkologiczny – wiarygodne źródło informacji dla pacjentów, którzy będą mogli sprawdzić, jak powinien wyglądać proces ich leczenia, jakie są możliwe opcje terapii. Wszyscy szukają takich informacji w Internecie, nie zawsze w odpowiednich i godnych zaufania źródłach.

Chory z takiego portalu dowie się o możliwościach leczenia?

Tak, również Agencja Badań Medycznych ma uruchomić portal na temat badań klinicznych, w przyszłości będzie tam również wyszukiwarka badań. To bardzo ważne, ponieważ jeśli chodzi o pierwsze linie leczenia, to nie ma wielkiej różnicy pomiędzy Polską a innymi krajami. Różnice pojawiają się, gdy dochodzi do oporności choroby, kolejnej wznowy. Wtedy pomocą mogą stać się badania kliniczne. Pacjenci w USA często żyją dłużej właśnie dlatego, że mają możliwość korzystania z badań klinicznych. Oczywiście nie zawsze kończą się one powodzeniem, jednak znaczna część pozwala wydłużyć życie chorych.

Czy nie ma ryzyka, że cancer plan pozostanie kolejnym dokumentem na papierze?

Mam nadzieję, że nie. To m.in. dlatego tak poprowadzono proces legislacyjny, by najpierw powstała ustawa o strategii onkologicznej przyjęta przez parlament. Pewne rzeczy już są realizowane, np. wzrost akcyzy na papierosy i alkohol, a także tzw. podatek cukrowy. Doświadczenia francuskie pokazują, że wzrost akcyzy na papierosy powoduje spadek liczby palących. Wiem, że są głosy, iż pojawi się przemyt papierosów, jednak we Francji po znacznym wzroście cen papierosów liczba palaczy spadła o 2 mln. Również doświadczenia krajów, które wprowadziły podatek cukrowy, wskazują, że poprawiają się dzięki temu nawyki żywieniowe społeczeństwa.

Fundacja Alivia zarzucała, że cancer plan jest niedopracowany. Z kolei wiele środowisk onkologicznych uważa, że to może być przełom.

Tworząc cancer plan, konsultowaliśmy się m.in. z MD Anderson Cancer Center z USA – to największy szpital onkologiczny na świecie: rocznie leczy się w nim niewiele mniej pacjentów niż w Polsce zachorowuje na raka. Z kolei Francja jest uznawana za kraj, który w Europie ma najlepszy cancer plan. Konsultowaliśmy z Amerykanami oraz Francuzami naszą strategię i została ona oceniona bardzo wysoko. Jest to dokument całej Rady Ministrów, przypisano mu określone finansowanie i harmonogram działań. Dlatego śmiało mogę powiedzieć, że takiego dokumentu do tej pory w polskiej onkologii nie było. Wcześniejszy projekt cancer planu, opracowany z inicjatywy prof. Jacka Jassema przez Polskie Towarzystwo Onkologiczne, nie został nigdy przyjęty przez Ministerstwo Zdrowia. Dobrze jednak, że powstał, zbudował on świadomość konieczności i niejako stał się podstawą do przygotowania tego dokumentu.

Działania, które prowadzimy w Polsce, są doceniane na świecie. W najnowszym (2020) raporcie na temat nowotworów autorstwa Światowej Organizacji Zdrowia (Report on Cancer – WHO) jako przykład skutecznych działań prewencyjnych podane zostały polskie działania w postaci ustawy o przeciwdziałaniu szkodliwemu wpływowi solariów. To również była inicjatywa ustawodawcza prezydenta. Ustawa przyniosła efekt: kontrole wykazały, że 95 proc. solariów stosuje się do jej zapisów, to znaczy nie wolno korzystać z nich osobom poniżej 18. roku życia, a w widocznym miejscu znajdują się informacje o szkodliwym wpływie promieniowania UV na ludzkie zdrowie i o ryzyku zachorowania na czerniaka.

Czy cancer plan pokazuje cele, do których dążymy?

Tak, są podane konkretne mierniki, które należy osiągnąć. Na przykład do końca 2023 r. ma zmniejszyć się odsetek palących kobiet z 18 do 15 proc., a mężczyzn z 24 do 20 proc. Do 2028 r. o 10 proc. ma wzrosnąć liczba lekarzy, którzy mają specjalizację onkologiczną, a szczepieniem przeciw HPV ma zostać objętych co najmniej 60 proc. dziewcząt i chłopców. Nadrzędnym celem jest spadek umieralności z powodu nowotworów.

Jedną z bolączek, o których mówił prof. Szczylik, jest to, że lekarz przyjmuje dziennie nawet 40–50 pacjentów, a dla każdego ma tylko kilka minut. Czy to się zmieni?

Widzimy problem braku kadr, mamy mało lekarzy, a dużo pacjentów, jednak ten problem jest wszędzie na świecie. Trzeba przeorganizować system tak, by niekoniecznie wszystko robił lekarz, mogą mu pomóc pielęgniarka czy osoby z innych zawodów medycznych. W ramach Krajowej Sieci Onkologicznej utworzono nowy zawód koordynatorów, którzy pomagają pacjentom umówić się na wizyty, kierują ich leczeniem. Trzeba szukać nowych sposobów rozwiązania problemów kadrowych.

Mamy wiele problemów, próbujemy się z nimi zmierzyć, doprowadzić, żeby system zaczął działać inaczej. Jednak to długa droga, a my właśnie ją zaczynamy. Pierwsze efekty powinny być widoczne już po trzech–czterech latach.

Mamy wiele problemów, próbujemy się z nimi zmierzyć, doprowadzić, żeby system zaczął działać inaczej. Pierwsze efekty powinny być widoczne już po trzech–czterech latach

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Piotr Czauderna – jest kierownikiem Kliniki Chirurgii i Urologii Dzieci i Młodzieży Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, koordynatorem Sekcji Ochrony Zdrowia Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP.

eprasa.pl 631be42f7a

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Suchorzewski przeciwko konstytucji

Jan Suchorzewski herbu Zaremba, poseł ziemski kaliski, zapisał się wyjątkowo ohydnie w dziejach Sejmu Wielkiego i Rzeczypospolitej, stając się jednym z pierwszych oświeconych idiotów, a także protoplastą wielu polityków opozycji. Wszystkich tych, którzy wbrew zdaniu większości bredzą o zamachach na wolność i konstytucję, urządzając teatralne protesty, aby tylko zablokować reformy ustroju państwa.

Suchorzewski, w czasie obrad Sejmu Wielkiego związany z moskiewskim stronnictwem, stał się narzędziem w ręku biskupa inflanckiego Józefa Kossakowskiego, który podpuścił go do stawiania oporu przeciwko uchwaleniu Konstytucji 3 maja. Kiedy owego pamiętnego dnia zwołano sesję sejmu, dał prawdziwy popis marnego aktorstwa. Najpierw domagał się głosu, krzycząc w izbie, że zamierza wyjawić „wielkie i okropne rzeczy". A kiedy król Stanisław August zaproponował odczytanie depesz zagranicznych, pokazujących, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazła się Rzeczpospolita, jak podaje Leon Wegner: „Nie przestawał domagać się głosu z wielkim wrzaskiem". Gdy izba przeszła nad tym do porządku dziennego, zerwał się z miejsca, wyskoczył na środek i publicznie zerwał z piersi Order św. Stanisława, który tydzień wcześniej otrzymał od króla. Wił się na ziemi, czołgał ku władcy, żądając, aby nie odbierał mu głosu i nie gwałcił świętych wolności szlacheckich. Na koniec, dopuszczony przez marszałka do głosu, wrócił na miejsce i oświadczył, że konstytucja to zamach na wolność wszystkich stanów, wprowadzona na wzór szwedzki [sic!], który zmieni wolność kraju w niewolę

FOT. WIKIPEDIA

i wprowadzi absolutyzm. Domagał się sądu sejmowego, twierdząc, iż zawiązano sprzysiężenie przeciwko wolnościom. Bredził, mówiąc, że chciano zabić na sali sejmowej marszałka wielkiego litewskiego Potockiego i Stanisława Potockiego, posła lubelskiego, wzywał ich do wyjaśnienia, dlaczego mdlały ich żony. Wywołało to śmiech, bo marszałek żony nie miał. Posłowie się tym nie przejęli, odczytano depesze, a potem król przedstawił projekt konstytucji. Suchorzewski natychmiast zgłosił protestację, nie chcąc, aby propozycję w ogóle poddano pod rozprawy, jego głos jednak przepadł, konstytucję odczytano.

Wówczas wprowadził na salę swego sześcioletniego syna, po czym uniósł go nad sobą i zaczął krzyczeć: „Wiem ja, że nie tylko na Rzeczpospolitą, ale na najpierwszego obrońcę jej, na moje życie jest sprzysiężenie, nie dbam o nie i zabiję własne dziecię tu, na miejscu, pośród obrad sejmowych, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje". „Ogolić łeb wariatowi i odesłać do czubków!" – miał powiedzieć wówczas zwolennik konstytucji, biskup kamieniecki Adam Stanisław Krasiński.

Na koniec, kiedy po mowach i licznych perturbacjach projekt przyjęto, gdy rozległy się okrzyki: „Wiwat król, wiwat nowa konstytucja!", Suchorzewski próbował zostać nowym Rejtanem. Zaczął znowu przedzierać się do tronu królewskiego, rzucił się krzyżem na posadzkę, wołając, że tylko po trupie jego: „Przejdą do przysięgi zabójczej dla staropolskich swobód i wolności!". Opozycjonistę podeptano, a poseł Stanisław Kublicki z Litwy, odznaczający się wyjątkową siłą, podniósł go i odstawił na bok. Następnie król, dostojnicy i posłowie udali się na przysięgę do katedry św. Jana na dzisiejszym Starym Mieście. Tę właśnie scenę uwiecznił na obrazie Jan Matejko, gdzie Suchorzewski przytrzymuje wyrywającego się syna, a zza pasa sypią się mu karty do gry. W rzeczywistości nasz antybohater nigdzie nie wychodził, gdyż wraz z nielicznymi opozycjonistami pozostał na zamku, okupując część sali sejmowej (czy to nam dziś czegoś nie przypomina?), gdzie uchwalili manifest, w którym nazywali konstytucję szkodliwą dla kraju. Następnego dnia w grodzie warszawskim wnieśli protestację przeciwko ustawie, a zwłaszcza zlikwidowaniu wolnej elekcji.

Suchorzewski wyjechał do Petersburga i rok później, zgłosiwszy akces do konfederacji targowickiej, został jej konsyliarzem. W czasie insurekcji kościuszkowskiej nie było go w Warszawie, dzięki czemu uniknął zasłużonego stryczka razem z innymi targowiczanami. Skazany został przez sąd na karę śmierci przez powieszenie, wieczystą infamię, konfiskatę majątków i urzędów. Wyrok wykonano in effigie, to znaczy wieszając jego portret na szubienicy pod koniec września 1794 r. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

POTRÓJNIE MALINOWE MUFFINKI GRUSZECKICH

Bardzo lubimy piec muffinki. To jedne z najprostszych wypieków, a zarazem najsmaczniejszych. Nasze dzisiejsze pyszności przygotowaliśmy na specjalne zamówienie przyjaciół. Miejmy nadzieję, że będą im smakować!

Jeśli wydaje się wam, że nie umiecie piec słodkości, bierzcie się za muffiny. One wychodzą każdemu. Wystarczy mieć dwie miski i dużą łychę. Mieszacie składniki, nakładacie do papilotek i bum. Gotowe. Cały dom pachnie, a ślinka cieknie nawet sąsiadom (a może przede wszystkim).

Dzisiaj upiekliśmy muffiny malinowe z malinowym kremem. O rety! O reeety! Są przepyszne, a do tego wyglądają tak pięknie, że chciałoby się wciąż na nie patrzeć.

Składniki:

Muffiny:

- 2 szklanki mąki pszennej
- 3/4 szklanki cukru
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 0,2 łyżeczki sody
- szczypta soli
- cukier waniliowy
- 2 jajka
- 1 duży jogurt naturalny
- 125 ml oleju
- 1 szklanka mrożonych (nieodmrożonych) malin

Krem malinowy:

- 1 puszka mleka kokosowego (schłodzonego w lodówce przez noc)
- 2 czubate łyżki serka mascarpone
- 3 łyżki cukru pudru
- 0,5 szklanki pudru malinowego (zmielonych, suszonych malin)

Przygotowanie:

W jednej misce wymieszać suche składniki: mąkę, cukry, proszek i sodę. W drugiej lekko ubić jajka, dodać olej i jogurt. Mokre składniki wlać do suchych. Wymieszać łyżką do połączenia składników. Nie ubijać. Dodać zamrożone maliny. Lekko wymieszać. Nakładać do foremki na muffinki wyłożonej papilotkami do 3/4 wysokości. Piec w temp. 180 st. C przez ok. 20 min.

Z mleka kokosowego odłożyć stałą, białą część. Ubić na sztywno mikserem jak bitą śmietanę. Dodać cukier puder. Ponownie ubić. Następnie łyżką delikatnie wmieszać do masy serek mascarpone i puder z malin. Po połączeniu składników dekorować wystudzone muffiny. Wierzch można posypać pudrem malinowym. Schłodzić w lodówce. Smacznego! ©℗

oprac. raw

FOT. JOANNA CZARNOTA

Paulina i Bartek Gruszeccy to śpiewający małżeński duet, uczestnicy 10. edycji „The Voice of Poland", prowadzą blog kulinarny jazzowesmaki.com.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dziesięć tysięcy kroków

Moja znajoma spytała swego męża, który po powrocie z pracy i zjedzeniu obiadu z rodziną włożył dres i zbierał się do wyjścia, choć było ciemno: – Dokąd idziesz o tej porze? – Idę wyrobić 3 tys. kroków, bo brakuje mi dzisiaj do 10 tys. – odpowiedział.

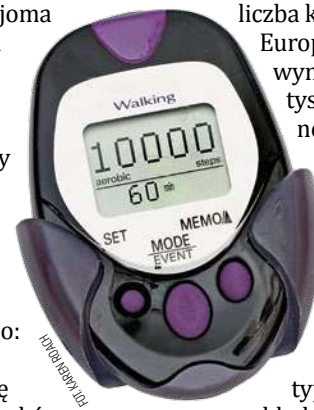

FOT. KARIN POLAKI

Tak to wygląda. Widać, jak mocno utrwalił się w zbiorowej świadomości przymus zrobienia „10K" – 10 tys. kroków dziennie, warunek utrzymania się w dobrej kondycji. Ale skąd to się wzięło?

Nie wiadomo, chociaż wiadomo. Liczba ta urodziła się przy okazji igrzysk olimpijskich w Tokio w roku 1964. Wtedy właśnie firma Yamasa Corporation wypuściła na rynek swój podometr o nazwie „Manpo-kei". Jaki slogan reklamowy wybrano? „Zmierzmy nasze 10 tys. kroków". Liczbę tę skwapliwie „zatwierdził" Yoshiro Hatano, naukowiec z japońskiego uniwersytetu w Kyushu. I poszło w świat.

Tylko że przedmiotem badań pana Hatano była populacja japońska. A wiadomo, że wymiary przeciętnego Europejczyka są inne niż Japończyka i trudno do nich odnosić dane japońskie. Stąd dla nas płyną dobre wiadomości. Wymiar kary istotnie zmniejszony: według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) liczba kroków dla Europejczyka wynosi od 5 do 6 tys. Taka aktywność, regularnie wykonywana, pozwala zmniejszyć o 30 do 40 proc. ryzyko zachorowania na raka, cukrzycę typu 2 i choroby układu naczyniowego. Aby produkować energię, mięśnie pobierają glukozę i tłuszcze, co pozwala uniknąć gromadzenia się ich wokół serca, wątroby i jelit. WHO zaleca również dla osób między 18. a 64. rokiem życia 150 minut sportowej aktywności tygodniowo. Tylko 20 minut dziennie.

Nie jest to trudne i nawet nie trzeba się bardzo starać. Wejść po schodach, zamiast pojechać windą, na schodach ruchomych też wchodzić (zawsze się dziwię, że ludzie stoją – przecież stanie bardziej męczy niż chodzenie). Pojechać komunikacją miejską zamiast samochodem i chodzić, chodzić.

W Warszawie warunki ku temu są coraz bardziej sprzyjające, bo i tak nie ma gdzie zaparkować, do punktu docelowego od auta czy od autobusu zawsze trzeba dojść. A jak dowodzą niedawne badania amerykańskich uczonych (jakżeby inaczej?), nawet zwykłe czynności gospodarcze są dobroczynne. Gotowanie, pieczenie, zakupy – to też aktywność. Byle nie zalec na kanapie. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

AUDI Q3 SPORTBACK: NAJLEPSZE SKRZYŻOWANIE COUPÉ Z SUVEM 2020

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Młodszy brat klasycznego kompaktowego SUV-a z Ingolstadt głosami czytelników wygrał plebiscyt „Best Cars" niemieckiego wydania magazynu „Auto motor i sport". Zdobył również m.in. tytuł „Car of the Year 2020" brytyjskiego portalu motoryzacyjnego WhatCar?. Co w nim takiego specjalnego? Wariant Sportback jest dłuższy od tradycyjnego Q3 o 16 mm, ale jednocześnie jest o 29 mm niższy. Mimo ściętego tyłu pojemność bagażnika Sportbacka jest jednak taka sama jak w klasycznej odmianie Q3 i wynosi 530 l. Jedynym zauważalnym minusem jest mniejsza przestrzeń nad głową. W zamian samochód zyskał bardziej agresywny wygląd, który wciąż pozwala wyróżnić się z tłumu innych użytkowników SUV-ów (i to mimo tego, że niemal wszystkie marki zauważyły już popyt na konstrukcję łączącą zalety coupé i praktycznego, offroadowego wozu). Dzięki odważnej stylistyce Q3 mocno przypomina nieco pomniejszoną Q6.

Q3 Sportback ma też bardziej sportowy charakter. W najsilniejszej wersji silnikowej auto od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 6,5 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 231 km/h. Inne zalety to precyzyjny układ kierowniczy, nieźle działająca skrzynia S tronic oraz nowocześnie zaprojektowana kabina z funkcjonalnym i ładnym zestawem wirtualnych wskaźników i 10-calowym ekranem infotainment. „ŚciętoSUV" Audi zapewnia również komfortową jazdę. Czasem może jednak nieco irytować sztywne zawieszenie, które nie zawsze da sobie radę z cakowitym tłumieniem większych wybojów.

Audi Q3 Sportback w najtańszej wersji kosztuje 143,4 tys. zł. Za najbardziej dynamiczną wersję 45 TFSI quattro S tronic z napędem na cztery koła, dwulitrowym silnikiem o mocy 230 KM i kilkoma pakietami stylizacyjnymi trzeba już zapłacić ok. 200 tys. zł. Wersja ze wszystkimi bajerami to zaś koszt ok. 300 tys. zł.

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI / FORUM

ROBERT KUBICA WYSTARTUJE W DTM

Fani 35-letniego Roberta Kubicy mają nowe powody do radości. W zeszłym tygodniu oficjalnie potwierdzono, że pierwszy Polak w Formule 1 w nadchodzącym sezonie wystartuje w serii wyścigów samochodowych Deutsche Tourenwagen Masters. Wspierany przez PKN Orlen Kubica zasiądzie za kierownicą bmw przygotowanego przez francuski zespół ART GP. Jednocześnie najsłynniejszy polski kierowca pozostanie kierowcą testowym zespołu F1 Alfa Romeo Racing Orlen. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 631be42f7a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Hymn do zakłamania

Zacznijmy sobie od prowokacji, a co tam! Korzystajmy z okazji dopóty, dopóki nie ma Izby Dyscyplinarnej dla Felietonistów (niby „he, he", że żarcik taki, ale strach jest). Otóż według mnie (uwielbiam się mylić) podstawową cechą cywilizacji i osobników cywilizowanych jest zakłamanie. Nie mówię, że to coś złego. Co to, to nie. Przeciwnie nawet. Uważam, że zakłamanie, przemilczanie, oburzanie się są czynnikami cywilizacyjnotwórczymi i wspólnotowymi wręcz. Niezbędnymi. Za mało gloryfikowanymi. Hymn by się jakiś przydał.

Należy się zakłamywać, przemilczać, oburzać, ale tak po cichu, między nami, to dobrze też zdawać sobie z tego sprawę. Albowiem rozum także jest podstawową cechą cywilizacji (według mnie na drugim miejscu). To dzięki zakłamaniu, przemilczaniu, oburzaniu człowiek może osiągnąć wyżyny duchowości, separując się niejako od niskich instynktów, żądz, czy popędów – weźmy na to – do sławy. Nie, nie, na przykłady zakłamania z obszaru fizjologii mnie tu państwo nie namówią, ale przykładem z obszaru popędu do sławy, służę.

Otóż dojrzewająca jak najlepsze wino Kinga Rusin pokazała w mediach społecznościowych selfie z piosenkarką Adele. Zdjęcie pochodziło z pooscarowej imprezy, która była podobno prywatna. I to zdjęcie stało się sławne na całym wszechświecie. Między innymi mieszkańcy planety Ziemia tłumnie wgapiali się w zdjęcie z troską i niedowierzaniem. „Jak nam ta Adele schudła".

Pamiętam, że lat temu kilka Adele powiedziała w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji CBS: „Nie chcę być chudą laską z cyckami na wierzchu". I wtedy właśnie była na okładce „Vogue", nie że na wierzchu, ale z dekoltem taaakim, że w tych wybrzuszeniach mieścił się Ocean Atlantycki duchowości (przecież nie Ocean Spokojny, gdzie przy takim dekolcie, zastanówcie się!). A teraz co? Może to ocieplenie klimatu?

Chuda Adele, piersi w zaniku, duchowość w zaniku (na marginesie, dekolt Kingi na tym zdjęciu owszem, owszem). I jak już ludzkość poznała dzięki Kindze prawdę i zafrasowała się tym wychuszczupleniem Adele. No i zamiast podziękować, to huzia na Rusin. I im kto się dłużej gapił, im bardziej rozpowszechniał, to bardziej czuł się w obowiązku na Kingę oburzyć i powiedzieć: „No tak nie można". Że niby nie można selfie z piosenkarką wrzucać z prywatnej imprezy. Jakby cywilizacja napawając się patrzeniem, analizowaniem, porównywaniem, wyciąganiem wniosków, zaprzeczała chęcią tego robienia. No par excellence zakłamanie. W sumie dobrze, co będzie mnie tu denerwować. No, jak się oburzę i powiem jej, że się nie umie zachować, że takich zdjęć się nie publikuje, co na nie chętnie patrzę, to mnie się lepiej zrobi. Przepraszam, ale teraz muszę zrobić małą przerwę na oburzenie się: „Kinga! Jak mogłaś! A masz jeszcze?". ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Oscar za weganizm

Myślę, że niezależnie od tego, czy mówimy o nierówności płci, rasizmie, prawach queer, prawach tubylczych czy prawach zwierząt, mówimy o walce z niesprawiedliwością. Mówimy o walce z przekonaniem, że jedno państwo, jeden naród, jedna rasa, jedna płeć, jeden gatunek mają prawo dominować, wykorzystywać i kontrolować inne bezkarnie" – stwierdził w swojej mowie po otrzymaniu Oscara aktor Joaquin Phoenix. Im dłużej mówił, tym oczywistsze stawało się, że nie ekipa filmu „Jocker", nie kinematografia, nawet nie społeczna wymowa dzieła, ale jego osobiste przesłanie do świata gra tutaj pierwszoplanową rolę. „Bardzo odłączyliśmy się od natury. Wielu z nas jest winnych egocentrycznego poglądu na świat i wierzymy, że jesteśmy centrum kosmosu. Wchodzimy do świata przyrody i plądrujemy go ze względu na jego zasoby. Czujemy się uprawnieni do sztucznego zapłodnienia krowy i kradzieży jej dziecka, chociaż jej krzyki udręki są oczywiste i nie do pomylenia. Następnie bierzemy jej mleko przeznaczone dla cieląt i wlewamy do naszej kawy i dodajemy do płatków śniadaniowych" – stwierdził Phoenix.

Słuchając jego słów, zastanawiałem się, czy to jeszcze gala nagród filmowych, czy już prawybory prezydenckie w partii demokratycznej. Gdyby przypisać je któremuś z kandydatów debatujących chwilę wcześniej w New Hampshire, właściwie nie dałoby się zauważyć różnicy. W Polsce niektórzy chyba też jej nie widzą. „Bardzo dobra wiadomość z gali Oscarów. Jedną ze statuetek zdobył Joaquin Phoenix. Aktor od lat jest zaangażowany w walkę o prawa zwierząt i promowanie weganizmu. To kolejny ważny sygnał, że weganie i weganki rulez. #GoVegan" – zatweetowała np. w entuzjastycznym tonie Sylwia Spurek.

Żeby była jasność, nikt nie zabrania aktorom mieć poglądów i ich publicznie wygłaszać. Problem polega jednak na tym, że wielu aktorom te dwa światy coraz częściej się mylą. Dostając Oscara za aktorstwo, zachowują się, jakby odbierali Pokojową Nagrodę Nobla. Wygłaszając przemówienie na gali BAFTA, grzmią, jakby wylądowali na konferencji klimatycznej. Błyszcząc na srebrnym ekranie, z tą samą pewnością siebie wygłaszają nawet najbardziej absurdalne tezy dotyczące polityki, gospodarki, kryzysu migracyjnego… Dlaczego mamy ich traktować poważniej niż kogokolwiek innego? „Jeśli wygrasz dziś wieczorem nagrodę, nie używaj jej jako platformy do wygłaszania przemówień politycznych. Nie możesz pouczać opinii publicznej na żaden temat. Nic nie wiesz o prawdziwym świecie. Większość z was spędzała mniej czasu w szkole niż Greta Thunberg. Więc jeśli wygrasz, przyjdź, zaakceptuj swoją małą nagrodę, podziękuj swojemu agentowi i swojemu Bogu i sp…j, OK?" – radził komik Ricky Gervais na gali Złotych Globów. Czy trzeba dodawać coś jeszcze? ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

REPUBLIKA

STUDIO PRASOWE

Niedziela 10:06

MOCNA DEBATA

NA ŻYWO

ZAPRASZA
Adrian Stankowski

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Meksyk, czyli piramida

Octavio Paz, meksykański laureat Literackiej Nagrody Nobla z 1990 r., zauważył, że jego ojczyzna przypomina piramidy z czasów prekolumbijskich. Tak jak Majowie i Aztekowie budowali je, nakładając nową piramidę na starą, tak i oblicze kulturowe Meksyku tworzą kolejne, nakładające się na siebie warstwy – od czasów azteckich, przez kolonialną Nową Hiszpanię, do rewolucji z początku XX w.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Krótki, bo dwutygodniowy pobyt w Meksyku pozwala potwierdzić to spostrzeżenie autora „Labiryntu samotności". Z jednym zastrzeżeniem – warstwy meksykańskiej piramidy nie tylko nakładają się na siebie, lecz także miejscami przenikają się, tworząc niekiedy zadziwiające amalgamaty. Najwyraźniej zjawisko to występuje w sferze religijnej. Meksyk, w którym niemal w każdym miejscu – od wielkich hoteli do małych, przydrożnych „paradorów" – widać ołtarzyki poświęcone Matce Bożej z Guadalupe, jest jednocześnie miejscem dynamicznie rozwijającego się kultu „świętej śmierci", przedstawianej jako kościotrup ubrany w kobiece szaty, niejednokrotnie łudząco przypominające wizerunek La Morenity.

A do tego trzeba dodać meksykańskie Święto Zmarłych (1–2 listopada), przy którym nasz obrzęd „dziadów" wydaje się skromnym przyjęciem, oraz gdzieniegdzie spotykany (widziałem na własne oczy) obrzęd składania w kościołach ofiar ze zwierząt (najczęściej z kury). Z kolei bossowie karteli narkotykowych modlą się co roku do „świętego" Jesúsa Malverde o powodzenie w swoich „interesach". Jakby powiedział Feliks Koneczny – istny kołobłęd duchowy.

Pomniki św. Jana Pawła II („Meksykanina urodzonego w Polsce", jak tam mówią) sąsiadują z – widocznymi w wielu miejscach publicznych w większych miastach – symbolami masońskimi lub bolszewickimi. W stolicy kraju, nieopodal katedry, stoi jeden z większych pomników polskiego („meksykańskiego") papieża. Niedaleko od niego, w patio rządowego Sekretariatu Edukacji Publicznej (odpowiednik naszego Ministerstwa Edukacji Narodowej), eksponowane są murale Diega Rivery. Jak przystało na zadeklarowanego komunistę, ozdabiał je sowieckimi gwiazdami oraz sierpem i młotem. Jeśli pojawia się na nich postać księdza, to tylko w roli wyzyskiwacza, którego pozbycie się jest gwarancją prawdziwej emancypacji ludu meksykańskiego dzięki bohaterskiej rewolucji 1910 r.

Do dzisiaj murale Rivery – również te eksponowane w Pałacu Prezydenckim – stanowią jedną z głównych atrakcji turystycznych. Ot, kaprys artystyczny, słynnego męża słynnej Fridy Kahlo, która swoje oddanie sprawie rewolucji udowadniała nie tylko uprawianą przez siebie sztuką, lecz także fascynacją (nie tylko intelektualną) postacią bolszewickiego ludobójcy Lwa Trockiego.

Octavio Paz, niekryjący swoich liberalno-lewicowych przekonań, na kartach „Labiryntu samotności" pisał, że na całej historii Meksyku odcisnęło się piętno zerwanej ciągłości. Hiszpanie programowo zerwali ciągłość z prekolumbijskimi cywilizacjami (jakże inaczej mogliby postąpić w przypadku kultur uprawiających rytualny kanibalizm i masowe składanie ofiar z ludzi), a kreolskie elity ulegające oświeceniowym prądom zerwały w 1810 r. łączność z Koroną Hiszpańską. Tak uzyskana niepodległość w krótkim czasie pogrążyła Meksyk w chaosie wewnętrznym i pociągnęła za sobą utratę niemal połowy terytorium na rzecz Stanów Zjednoczonych. Na początku XIX w. Meksyk sięgał aż do dzisiejszego stanu Utah. Po 1846 r. granica meksykańsko-amerykańska oparła się na linii Rio Grande.

Kolejne fatalne zerwanie nastąpiło na początku XX w., gdy w 1910 r. doszło do kolejnego rewolucyjnego przewrotu, którego intelektualne inspiracje – podobnie jak sto lat wcześniej – pochodziły zza oceanu i z północy (wolnomularstwo). Rewolucja na swoich sztandarach oprócz haseł społecznych (ponowne nadziały ziemi) umieściła hasło tzw. rozdziału Kościoła od państwa. Eksponowane w nowej bazylice Matki Bożej z Guadalupe relikwie 15-letniego św. José – męczennika czasów powstania cristeros – przypominają, czym w praktyce był ten „rozdział".

Dopóki jednak w sercach Meksykanów żyje kult dla La Morenity, dopóty jest nadzieja. Nie z takimi bowiem zerwaniami i kołobłędami radził sobie ten 12-gwiazdkowy generał. ©℗

eprasa.pl 631be42f7a

fot. Jerzy Gumowski

Lapsusy

U progu lutego 2020 kandydatka PO w wyborach prezydenckich, rugająca PiS Małgorzata Kidawa–Błońska, przejęzyczyła się oświadczając: *„ — Czuję wsparcie kolegów i koleżanek z PiS, bo jesteśmy jedną drużyną i chcemy wygrać te wybory”*. Kilka dni później jej partyjny kolega Andrzej Halicki skrytykował pisowski rząd za rezygnację z zakupu karaluchów (rzekł: *„karakanów”* miast caracali). Inny salonowy Andrzej, aktor Chyra, należąc dekadę temu do Komitetu Honorowego kandydata PO na prezydenta, Bronisława Komorowskiego, zapytany w trakcie obrad tego gremium kogo popiera, odparł, że *„Władysława Komorowskiego”*. Takich lapsusów Salon zalicza dużo (vide Petru), ale i druga strona barykady nie jest od nich wolna, że przypomnę deklarację Jarosława Kaczyńskiego wygłoszoną z sejmowej trybuny: *„ — Żadne krzyki czy płacze nas nie przekonają, iż białe jest białe, a czarne jest czarne!”*. Polityka przez samą swą naturę bywa bujną pepinierą rozmaitych *„qui pro quo”* (ktoś za kogoś) lub *„quid pro quo”* (coś zamiast czegoś), przejęzyczeń, pomyłek, lapsusów, a stymulowanie tych *„palnięć”* ignorancją lub zwykłą głupotą polityków przynosi obfite żniwo, radujące dyrygentów i konsumentów mediów. Świat ciągle huczy śmiechem z tych *„wpadek”*, niżej garść przykładów:

Wizytując Japonię prezydent Francji François Hollande wziął udział (obok premiera Japonii Shinzõ Abe) w konferencji prasowej, na której oznajmił, że solidaryzuje się z tak gościnnie go przyjmującym narodem chińskim. *„Ugryźć się w język”* powinien również prezydent USA Bill Clinton, który wizytując Czarnogórę zaczął swój powitalny spicz następująco: *„ — Bardzo się cieszę, że przybyłem do Macedonii!”*. Prawie wszyscy prezydenci Stanów paplali podobne głupoty wskutek złej pracy swych sztabów i wskutek własnego nieuctwa bądź prostactwa. Prezydent Richard Nixon na pogrzebie gen. Charlesa de Gaulle'a rzekł do żałobników i (via TV) do wszystkich Francuzów: *„ — To wielki dzień dla Francji!”*. Prezydent Gerald Ford, wznosząc bankietowy toast ku chwale siedzącego obok prezydenta Egiptu, Anwara Sadata, wygłosił formułę: *„ — Za pomyślność rządu i wielkiego narodu Izraela, którym pan przewodzi!”*. Prezydent George Bush rzekł przemawiając do narodu: *„ — Mam nadzieję, iż moje stanowisko jest jasne — reprezentuję antybigoterię, antyrasizm, antysemityzm. Takie są motywy, które mną kierują!”*. Jeszcze gorszą *„wpadkę”* z antysemityzmem zaliczyła kanclerzyca Angela Merkel przemawiając w Bundestagu: *„ — Antysemityzm jest naszą powinnością państwową i obywatelską”*. Merkel często się tak ośmiesza (m. in. pomyliła kilowatogodziny z kilokaloriami), lecz mimo wszystko przegrywa liczbowo z dzisiejszym prezydentem Stanów:

Przywódcom Litwy, Łotwy i Estonii Donald Trump publicznie wytknął, że te państwa rozwaliły współtworzoną przez nie Jugosławię. Po spotkaniu z brytyjskim następcą tronu, Karolem Księciem Walii (*„Prince of Wales”*) ogłosił na Twitterze: *„Spotkałem się dziś z Księciem Wielorybów”* (*„Prince of Whales”*). Witając w Białym Domu delegację włoską *„chlapnął”* (serio, nie był to żart), iż stosunki amerykańsko–włoskie sięgają czasów starożytnego Rzymu, a przy tym nazwał Mozzarellą swego gościa, włoskiego prezydenta Mattarellę. Co mi przypomniało *„pomyłkę freudowską”* tyczącą mojego nazwiska, gdy A.D. 1994 gościła mnie pompatycznie (orkiestry, czerwone dywany, sympozja) Polonia kanadyjska. W Convention Center (6 tysięcy miejsc, i nie wszyscy się zmieścili) mistrz ceremonii przedstawił mnie z estrady następująco: *„ — Szanowni państwo, przybył do nas z ojczyzny nasz...* [tu padło kilka apologetyzujących mnie przymiotników]... *pisarz Waldemar Pawlak!”*. Nie wiem czy ówczesny premier Waldemar Pawlak o tym słyszał i czy się ucieszył. Ja się uśmiechnąłem pod wąsem, tłum na sali zabuczał pełen gniewu, przerażony *„showmaster”* wybąkał: *„ — Sorry!... Oczywiście Waldemar Łysiak!”*. Później mi tłumaczono, że przed huczną imprezą był tak zestresowany, iż wypił za dużo *„dla kurażu”*. Identycznie (*„nadużyciem trunków”*) usprawiedliwiano księcia Henryka, małżonka holenderskiej królowej Wilhelminy, który podczas wizytowania prowincji przez parę królewską spytał katolickiego księdza czy jego ojciec też był księdzem.

określenie kulturalne:
przejęzyczyć się
określenie kolokwialne:
walnąć się

Niefrasobliwe *„chlapnięcia”* mogą być skutkiem zarówno alkoholu, jak i narkotyków czy dopingu sportowego. 13–letnia rosyjska łyżwiarka figurowa, Anastazja Szabotowa, wrzuciła na Instagram taki tekścik: *„Jak występować stabilnie? Bierzesz furę dopingu i masz stabilny występ. I tyle. Tylko trzeba brać właściwy doping”*. Gruchnął skandal. Szefowie Rosyjskiej Federacji Łyżwiarstwa Figurowego zapewniali, że to *„głupie nieporozumienie”*, Putinowskie media dowodziły, że to *„typowy wybryk niestabilnej emocjonalnie nastolatki, taki smarkaty żart”*, a matka dziewczęcia przysięgała, że córeczce chodziło o witaminę C. I gdy już tknęliśmy sport, warto odkurzyć niedawną lapsusową hecę na paryskim Stade de France, gdzie Francja grała eliminacyjny mecz z Albanią do Mistrzostw Europy 2020. Albańczycy wściekli się jeszcze przed pierwszym gwizdkiem, bo odegrano im hymn… Andory. Tuż po tym stadionowy spiker przeprosił za ten błąd, lecz przepraszając pomylił Albanię z… Armenią, więc skandal zrobił się *„do kwadratu”*.

Takie pomyłki wynikają z bałaganu i z kabotyństwa, ale sporo francuskich „pomyłek” jest dziś rezultatem premedytacji, choćby głoszenie przez władze, że obiekty kultu są objęte konstytucyjną ochroną prawną, i jednoczesne programowe przymykanie oczu na rzeź katolickich kościołów. Rokrocznie setki ich ulegają formalnemu zamknięciu lub bezkarnemu zniszczeniu, natomiast każdy, kto tknie palcem meczet, jest karany bardzo surowo. Dlatego nie była chyba *„pomyłką freudowską”*, tylko politpoprawną głupotą galijską, parlamentarna diagnoza prezydenta Hollande'a, że *„islam nie ma nic wspólnego z terrorystycznymi zamachami muzułmanów”*, podobnie jak wygłoszony z okazji 1500–lecia Chrztu Francji, „naukowy” werdykt czołowego francuskiego aktywisty LGBTQ, Pierre'a Bergé, iż chrzest króla Chlodwiga był *„spiskiem Kościoła przeciwko laickości Republiki”*. U nas się też analogiczne gierki praktykuje. Ponieważ wydawany przez lewacką **„Politykę”** dwutygodnik **„Forum”** zionie nienawiścią wobec Donalda Trumpa odkąd tylko ten zjawił się na scenie politycznej — można wątpić czy zmienianie przez ten periodyk nazwiska prezydenta USA na Donald Trup (exemplum nr 7/2019) to wyłącznie przejęzyczeniowa *„literówka”*, czy raczej chwyt celowy.

Wskutek złośliwości *„chochlika drukarskiego”* paskudne (czasami komiczne) *„literówki”* prześladują wszelkie druki (począwszy od pierwszych — oba pierwsze druki Gutenberga, z roku 1455, zarówno **„Biblia”**, jak i **„Kalendarz”**, pełne są „zecerskich” błędów). Dzisiaj sprzyja temu wysyłanie redakcjom tekstów pisanych pośpiesznie na komputerowych klawiaturach, tudzież brak w redakcjach korektorów (ten zawód umiera, podobnie jak zawód zdunów lub szewców), stąd irytujemy się później czytając cokolwiek, nie tylko w *„kolorówkach”*, lecz i w tzw. *„poważnych”* gazetach (cytat z **„Rzepy”** — z jej **„Plusa Minusa”** nr 40/2019: *„... miecze przekłują na lemiesze”* — niepotrzebna litera ł). Omyłkowa zamiana litery właściwej na niewłaściwą bywa cymesikiem czasami, jak w angielskim tłumaczeniu polskiego komiksu **„Kajko i Kokosz”** (firma Egmont), gdzie frazę *„ — Kokosz, daj mi fujarkę”*, przetłumaczoną *„ — Kokosh, give me the flute”*, wydrukowano: *„ — Kokosh, give me the fiute”*. Po wybuchu pełnego obscenicznych szyderstw skandalu (*„shitstorm”*) cały nakład wycofano do zniszczenia, miast podarować go kandydatowi Lewicy na prezydenta III RP. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 631be42f7a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE **KSIĄŻKA** ANNA POPEK „PIĘKNA 50-TKA"

~~619 ZŁ~~ > **235,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 384 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 631be42f7a